



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

3(9) 2009

Rok III

ISSN 1898-1801



„Kościół na wodzie” w Zwierzyńcu
Kościół pod wezwaniem św. Jana Nepomucena
powstał w latach 1741-1746 z fundacji Teresy Anieli
i Tomasza Antoniego Zamoyskich jako wotum
dziękczynne za narodziny syna Klemensa.
Wnętrze kościoła zdobią unikalne barokowe freski.

Zabytek z okładki



Foto A. Kicińska

Spis treści	
Słowo redaktora 2 <i>A. D. Misiura</i>	
Z ziemi krasnostawskiej do Uzbekistanu 3 <i>Lucjan Henryk Cimek</i>	
Maksymilian Janusz Kronland 7 <i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Wspomnienie o braciach Waręckich 8 <i>Daniel Piekaruś</i>	
Zaczęło się od jezuitów, czyli krótka historia aptekarstwa krasnostawskiego 12 <i>Zbigniew Atras</i>	
Rocznice coraz bardziej puste 17 <i>Leszek Janeczek</i>	
Poezja 18 <i>Stanisław Bojarczuk</i>	
Początki szkoły parafialnej 18 <i>Kazimierz Stofecki</i>	
Nieistniejąca cerkiew greckokatolicka 19 <i>Agnieszka Szykuła</i>	
Do końca wierni... 21 <i>Grzegorz Polikowski</i>	
Przez pół wieku... byłem bandytą 28 <i>rozm. Grzegorz Polikowski</i>	
Ballada 33 <i>Czesław Miłosz</i>	
Kartka z Powstania Warszawskiego 28 <i>Izabela Borowiczowa</i>	
Projekt „Gajcy” 36 <i>Elżbieta Szadura-Urbańska</i>	
Poezja 37 <i>Tadeusz Gajcy</i>	
Jego czas dopiero nadchodzi 39 <i>Krzysztof Lisowski</i>	
Epitafium dla Anny 41 <i>Henryk Radej</i>	
Poezja 43 <i>Anna Kicińska</i>	
Legendsy ziemi krasnostawskiej 45	
Nagrodzone prace 46	
Poezja 51 <i>Stanisława Wiśniewska</i>	
Fascynuje mnie cud życia 51 <i>wyw. Jan Henryk Cichosz</i>	
Poezja 52 <i>Iwona Chudoba</i>	
„Spotkania” nie tylko ze Słowackim 53 <i>Ewa Magdziarz</i>	
Mistyka i Sacrum 55 <i>Irena Iwańczyk</i>	
Poezja 56 <i>Izabela Drabińska</i>	

Spis treści	
Jubileuszowa Letnia Akademia Filmowa 57 <i>Ewa Magdziarz</i>	
Poezja 59 <i>Stanisław Rogala</i>	
Trzy dni z Dehnelem 60 <i>Mariusz Kargul</i>	
Poezja 63 <i>Zbigniew Strzałkowski</i>	
Dwie premiery w roku 64	
Bajeczny Babin 66 <i>Marek Kusiba</i>	
Figliki 67 <i>Mikołaj Rej</i>	
Z teatrem do Fajslawic 67	
„Ekle” 68 <i>Henryk Radej</i>	
Elektromontażyści 68 <i>Maurycy Witkowiak</i>	
Rzeź komunistów 70 <i>Ewa Klajman-Gomolińska</i>	
Lubelski kryminał, krasnostawski wątek 74 <i>Artur Borzęcki</i>	
Splot doznań i myśli serdecznych 75 <i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Szeptanie wierszem 76 <i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Liryczne księstwo Zbigniewa Dmitrocy 77 <i>Jadwiga Demczuk</i>	
Stasiuk na ziemi Bojarczuka 78 <i>Mariusz Kargul</i>	
Dziennik pilota Młynarczyka... 79 <i>Artur Borzęcki</i>	
Tragedia na AIR SHOW 2009 w Radomiu 80 <i>Saturnin Naliwajko</i>	
Dobre piwo, stara receptura 81 <i>Andrzej David Misiura</i>	
Wyniki Konsumenckiego Konkursu Piw... 82	
Krasnostawskie Spotkania z Literaturą Młodzieżową 82 <i>Elżbieta Patyk</i>	
Ośły i osłomęły 83 <i>Henryk Radej</i>	
O co chodzi? 83 <i>Alicja Wiech</i>	
Konkurs Poetycki im. Józefa Czechowicza 84	



NR 3(9) 2009 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficina Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 082-576 6009,
Konfederacja NESTOR e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

„TamgaGraf”, ul. Szymonowicza 29, Krasnystaw
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Gminy w Fajslawicach
Urząd Gminy w Żółkiewce, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Henryk Wróbel (skład i łamanie)
Stale współpracują:
Alicja Wiech
Mariusz Kargul
Dariusz Włodarczyk
Henryk Radej

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

słowo redaktora



Dawno już regionalista i lekarz zarazem Leszek Janeczek sugerował wydanie reprintu książki Franciszka Żurka „Powiat krasnostawski w walce o wolność” (wyd. 1937). Sprawa poszła w zapomnienie, aż niespodziewanie tego roku zaproszony zostałem przez Powiatową Bibliotekę Publiczną na promocję tegoż tytułu pod redakcją Krzysztofa Nizioła. Nie bez przyczyny więc dzisiejszą edycję Nestora otwiera wyczerpujące opracowanie o poczynaniach działacza ludowego F. Żurka, pióra jeszcze jednego pasjonata-regionalisty Lucjana Cimka. Kolejne strony zajmuje na odmianę poeta Edward F. Cimek i przypomina izbickiego lekarza Maksymiliana Kronlanda. Poznamy także tragiczne losy braci Waręckich, które po ubiegłorocznych artykułach w lokalnej prasie wymagały wielu uściśleń, czym zajął się dzisiaj historyk Daniel Piekarczyk.

Nawet w Krasnymstawie nie sposób przemilczeć pięknego i tragicznego zrywu wyzwolenieckiego sprzed 65 lat, jakim było Powstanie Warszawskie. W tamte chlubne i pełne honoru dni jednakowo trudno było przetrwać małym dzieciom jak i młodocianym żołnierzom. Izabella Borowiczowa, jako niemowlę, przeżyła je cudem. W mailu, do którego dołączyła wspomnienia specjalnie dla czytelników Nestora, napisała także: Na co dzień nie zastanawiamy się, że tutaj (Śródmieście Warszawy) od lat chodzimy po grobach. - A później: Gratuluję serdecznie „Nestora”. Zetknęłam się z nim w ubiegłym roku dzięki przyjaciółce i od razu stał się moją lekturą.

Historię sięgającą czasów ostatniej wojny uzupełnił Grzegorz Polikowski z Pomorza, zapoznając nas z wiernymi do końca - mjr. Zygmunt Szendzielarzem i mjr. Zygmunt Błażejewiczem.

Swojego pióra dla Nestora użyczył także krakowski poeta i redaktor związany z Wydawnictwem Literackim Krzysztof Lisowski, pamiętając o 70. rocznicy śmierci Witkacego. Nie pominął nas Marek Kusiba felietonista „Przeglądu Polskiego” przy „Nowym Dzienniku” - największym piśmie polonijnym. Za punkt wyjścia przyjął widowisko

w wykonaniu Amatorskiego Teatru Pokoleń w Siennicy Różanej, oparte na babińskim państwie karykaturalnym. Miły to gest dla autorów inscenizacji, tym bardziej, że ich nazwiska znajdują się także w stopce redakcyjnej Nestora.

Wróćmy jednak do Krasnegostawu z pytaniem: kto po dwudziestu latach może jeszcze pamiętać poetkę Annę Kicińską? Takich ludzi jest coraz mniej, zapoznajcie się więc z przyjacielskim szkicem Henryka Radeja o tej naprawdę wartościowej kobiecie. Panie Marku - zwracam się do Marka Kicińskiego, przewodniczącego Komisji Kultury Rady Powiatu Krasnostaw - może Pan być dumny ze swojej krewnej. Pan zresztą też jest wspaniałym człowiekiem i pedagogiem.

W dalszej części, jak zawsze wiele jeszcze interesujących artykułów, wierszy i nazwisk.

Wreszcie pora na okładkę, którą zdobi kościół na wodzie ze Zwierzyńca, w obiektywie Agaty Kicińskiej. Wewnątrz numeru Ewa Magdziarz nawiązuje do tej miejscowości, składając relację z Letniej Akademii Filmowej. Ostatnie strony okładki zajmują zaskakująco rewelacyjne rzeźby Agnieszki Zuk-Słabek z Krasnegostawu.

I jeszcze coś. Ostatnio ukazał się Margines - piśmko satyryczno-literackie Stowarzyszenia Feniks. Życzymy mu rozwinięcia skrzydeł. A przy tym nasuwa się refleksja: czy warunkiem tworzenia kultury są tylko pieniądze? Czy kieszonka pełna złota może zapewnić sukces artystyczny? Okazuje się, że celne i wartościowe działania powstają właśnie tam, gdzie tych pieniędzy nie ma. Czy więc środki finansowe przeznaczone na kulturę, znajdują się we właściwych rękach? Czyżby wielość oddolnych inicjatyw była buntem przeciwko takiemu porządkowi rzeczy?

A teraz kilka słów z listu Zbigniewa Włodzimierza Frączka redaktora naczelnego Dwumiesięcznika Środowisk Twórczych „Lublin. Kultura i Społeczeństwo”: Dotarł do mnie najnowszy numer Nestora, przeczytałem z uwagą, znakomity, serdecznie i szczerze gratuluję. (...) Dobry pomysł przyznawania tytułu Nestora i Orderu Nestorii, Józefowi Ziębnie niewątpliwie się należy.

Zbyszeku, w innej części listu uzupełniasz moje wspomnienia z III Lubelskiej Biesiady Literackiej w Gardzienicach zorganizowanej w 1976 roku przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Wnioskuje, że tamte dzieje domagają się szczegółowego przypomnienia i zapisania. Tymczasem wdzięczny jestem za systematyczne nadsyłanie Twojego „Lublina...”, od którego „Nestor” może się uczyć. Teraz oczekujemy z zainteresowaniem na zapowiadany numer specjalny, poświęcony ostatniemu romantykowi Józefowi Łobodowskiemu.

Andrzej David Misiura

PS. W imieniu redakcji dziękuję za wszystkie listy, na które zawsze czekamy z zaproszeniem do współpracy.

Od poprzedniego numeru nakład *Czasopisma Artystycznego Nestor* wynosi 1000 egzemplarzy!

Lucjan Henryk Cimek

Ziemi krasnostawskiej do Uzbekistanu Franciszek Żurek (1895-1942)

Motto:

*Plon nie rodzi się z nagród i kary,
ale z pragnienia,
z woli i mądrości bezimiennego,
cierpliwego siewcy.
Z rąk jego ciepła. Z prochu jego kości.*
(Zofia Solarzowa - Prawda)

Ponad siedemdziesiąt lat temu - w 1937 roku - Instytut Wydawniczy im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie wydał bezcenną i bardzo ciekawą książkę pt. „Powiat krasnostawski w walce o wolność”. Książka jest pamiętnikiem chłopca - działacza opartym na własnych przeżyciach autora i relacjach osób trzecich. Daje ona obraz pierwszego w dziejach, masowego udziału chłopca polskiego w walce o niepodległość w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej. Kim zaś był jej autor, co przeżył i co widział - o tym nie wszyscy wiedzą. A jest to postać w ruchu ludowym wyjątkowo ciekawa, barwna, a jednocześnie tragiczna.

Franciszek Żurek - bo o nim tu mowa - syn Michała i Agaty z Domańskich, urodził się 5 sierpnia 1895 roku w Olszance, gmina Łopiennik Górny, pow. Krasnostaw, w rodzinie gajowego. W 1908 r. ojciec jego przeniósł się wraz z matką do wsi Krynica, gmina Siennica Różana (obecnie Krasnostaw), gdzie kupił małe, 5-morgowe gospodarstwo, położone na wzgórzu „Arianka”. Mając 15 lat, Franciszek Żurek opuścił dom rodzinny i podjął pracę u piekarza w Rejowcu Osadzie. Po zajęciu w lipcu 1915 r. Lubelszczyzny przez wojska austriackie, rozpoczął działalność polityczno-wyzwoleńczą pod pseudonimem „Płomyk”. W czerwcu 1983 r., będąc w Krynicy zapytałem Antoniego Żurka - brata Franciszka, skąd ten pseudonim „Płomyk”? Tenże odpowiedział: „Brat mój, Franio, jako młody chłopiec, pracował po dwanaście godzin dziennie u piekarza w Rejowcu. Rąbał drewno i palił w piecu. Zawsze za pazuchą przynosił do domu ciepłe podpłomyki. Czasami dawał je furmanom, którzy wiozłszy towary zabierali go na wóz. To od nich wyszło. Żaden z nich inaczej nie powiedział do niego, tylko; „płomyk, masz podpłomyk, to wskakuj na wóz!”

Od początku był członkiem i organizatorem powstałego 5 grudnia 1915 r. Polskiego Stronnictwa Ludowego. Brał udział w pracach organizacji niepodległościowych takich jak: Wydział Narodowy

Lubelski i Polska Organizacja Wojskowa. Jako działacz PSL i POW zorganizował w 32 miejscowościach powiatu krasnostawskiego koła i oddziały tych organizacji liczące 1500 członków. Ukończył kursy instruktorów i podoficerów POW, był komendantem IV podobwołu POW w powiecie krasnostawskim. Z problematyką ruchu ludowego szerzej zapoznał się na 10-dniowym kursie PSL w listopadzie 1917 r. Na kursie tym, jak pisał, uczestnicy poznali z bliska ludzi tej partii i przekonali się, że oni również stoją w szeregu walczących o wolną i sprawiedliwą Polskę. Zrozumieli, że straszenie ludu z ambon socjalistami było tumanieniem i bałamuceniem chłopów.

Przez aktywną działalność staje się Franciszek Żurek znaną postacią wśród chłopów powiatu krasnostawskiego i wybierany jest przez nich delegatem na zjazd krajowy PSL i Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Na początku 1918 r. (12.02.) był współorganizatorem antyokupacyjnego wiecu w Krasnymstawie. Na wiecu tym Franciszek Żurek w imieniu PSL wygłosił przemówienie i odczytał rezolucję, w której ludowcy zadeklarowali bronić praw narodowych do Chełmszczyzny i Podlasia. W swoim wystąpieniu powiedział m.in.:

Odjąć, to nam chętnie odejmują, wczoraj i dziś. - Ot na przykład ziemię chełmską chciał rząd od Królestwa oddzielić jeszcze przed wojną. Masowe, dobrowolne przejście unitów na wiarę katolicką nie przekonało wówczas rządu, że kraj ten tętni polskimi sercami, że wiarą i obyczajem są nam wspólni, że za bratnie dla nas uczucie przelewali krew i łzy, że mało tam ludzi, pragnących się oderwać od pnia macierzystego. Ale dla tych niewielu, postanowił rząd zrobić odłączenie. Żeby to lepiej się udało przeprowadzić w Dumie, posłowie z prawicy zjechali do Chełmszczyzny, by wysłuchać skarg ludzi na ucisk Polaków. (...)

Prócz wniesienia projektu o oddzielenie od Królestwa Chełmszczyzny, rząd wystąpił jeszcze z projektem odbierającym Finlandii prawo całkowitej autonomii, a zostawiając jej trochę więcej, niż samorząd. A ponieważ Finlandczycy są narodem wysoce kulturalnym, pracowitym, spokojnie zdobywającym sobie poczesne miejsce między narodami świata, czyn rządu wywołał protest wielu narodów. Ale skończyło się na protestach, z których rząd nic sobie nie robił, a które rozwiścieczyły Puryszkiewicza i jego kolegów, tak jak wizyta posłów francuskich w Petersburgu. Ten nasz przyjaciel obawiał się, jak widać, by Rosjanie nie zarazili się od Francuzów... wolnością. Projekt finlandzki tak prędko stał się prawem, jak żaden dotąd. Potulność posłów w uchwalaniu go przerosła wszelkie oczekiwania rządu. (...)

Dzisiaj traktat brzeski przyznał „Republice Ukraińskiej” na zachodzie granicę idącą od granicy austriackiej przez Biłgoraj, Krasnystaw, Radzyń, Mielnik, Wysokie Litewskie i Prużanę... Traktat brzeski jest ukoronowaniem polityki, która związała losy Polski z Austrią i Niemcami, która nazywa się aktywistyczną, a której aktywność wyraża się w roli barana na rzeź prowadzonego.

Na podstawie książki „Powiat krasnostawski w walce o wolność” można dobrze zorientować się jak doszło do wspomnianego już wiecu: *Na wtorek - jako dzień jarmarczny - 12 lutego 1918 roku naznaczono zjazd powiatowy PSL w Krakowskim Przedmieściu. W godzinach przedpołudniowych większość delegatów kół PSL już zjechała się, gdy przybył goniec z Krasnegostawu z wiadomością, że został zawarty traktat pokojowy w Brześciu, którego mocą Podlasie i Chełmszczyzna, w tem i powiat krasnostawski przyłączony został do nowo utworzonego państwa ukraińskiego i że w związku z tem ma się odbyć tego samego jeszcze dnia manifestacja protestacyjna w Krasnymstawie. Wobec tej wieści zjazdu nie rozpoczynano, tylko delegaci kół PSL z całego powiatu udali się natychmiast do Krasnegostawu. Duchowieństwo i inne sfery dotąd uległe Austriakom, starały się teraz wymóc na ludowcach, a w szczególności popularnym po niedzielnej manifestacji Żurku, by wspólnie urządzić manifestację protestacyjną przeciwko traktatowi brzeskiemu.*

I tak się stało. Do zgromadzonego kilkutysięcznego tłumu przemawiali: imieniem miasta - burmistrz Stanisław Leszczyński, imieniem włościan - Franciszek Żurek oraz trzeci mówca - ksiądz Szepietowski. Zebrani słuchacze z obnażonymi głowami i dwoma palcami podniesionymi do góry, śpiewali „Rotę”, ślubowali bronić ziemi polskiej do ostatniej kropli krwi. Był to jedyny, choć krótki, moment zjednoczenia się wszystkich warstw społeczeństwa krasnostawskiego. Austriacy nie ukazywali się zupełnie w tym dniu na ulicach miasta.

Walka o całość ziem polskich zjednała stronnictwo wielu zwolenników. Toteż PSL stało się wkrótce masową partią chłopską w całym powiecie krasnostawskim. Nie była odosobniona działalność Franciszka Żurka jednocześnie w PSL i POW, gdyż na skutek przychylnego stosunku PSL do Józefa Piłsudskiego oddziały POW na wsi z reguły powiązane były z kołami PSL.

Po wojnie Franciszek Żurek był jednym z czołowych działaczy Związku Młodzieży Wiejskiej w powiecie krasnostawskim. W 1920 roku został wybrany prezesem Zarządu Powiatowego ZMW, a 6 marca 1921 r. wszedł w skład Zarządu Głównego

PSL „Wyzwolenie”. Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie”, reprezentując interesy mas chłopskich, należało do głównych sił politycznych w niepodległej Polsce. Uczestniczyło w pierwszych rządach ludowych. Wydawało się więc, że walka mas chłopskich i ich przywódców o niepodległość narodową przyniesie także sprawiedliwość społeczną i należne chłopu miejsce w strukturze nowo odrodzonego państwa polskiego.

We wspomnieniach Franciszka Żurka z tego okresu, czytamy m.in.: *Usunięcie wrogów z powiatu krasnostawskiego i całej Polski zostało uznane przez ludność wiejską krasnostawszczyzny za równoznaczne z usunięciem wszelkich krzywd i niesprawiedliwości. Wierzano, że dlatego tylko bezrolny nie miał ziemi, głodny - chleba, spełniający obowiązki społeczne - praw, łaknący wiedzy - oświaty, że Polską rządzą dotąd obcy, jej wrogowie. Wierzano, że teraz w Polsce niepodległej wszystko zło zostanie naprawione, że nic nie stanie na przeszkodzie ku temu - w każdym Polaku upatrywano brata, sługę sprawiedliwości społecznej i politycznej.*

Milionowe rzesze wsi niebawem naocznie przekonały się, że ich głęboka wiara w naprawę stosunków społeczno-ekonomicznych, politycznych i kulturalno-oświatowych wyraźnie rozeszła się z realiami dnia codziennego Polski niepodległej. W roku 1921 kilkudziesięciu byłych żołnierzy - ochotników z powiatu krasnostawskiego zostało zakwalifikowanych przez władze wojskowe do nadziału bezpłatnymi gospodarstwami rolnymi na Kresach Wschodnich, którzy w każdej chwili powinni być gotowi do wyjazdu na miejsca nadziału ziemią. Wśród tych zakwalifikowanych byli również członkowie pełniący obowiązki w Zarządzie Powiatowym Związku Młodzieży Wiejskiej w Krasnymstawie: Maria Gmitrówna-Wożakowska, Franciszek Patyk, Jan Przysiężniak oraz przewodniczący tego Zarządu - Franciszek Żurek. Ponadto z POW - Kazimierz Ferens, St. Żebrowski i wielu innych.

Wiosną 1922 roku Franciszek Żurek opuszcza więc powiat krasnostawski, osiedlając się, jako osobnik wojskowy, w miejscowości Podzamcze, pow. Dubno. Tam też zawarł związek małżeński z panną Stanisławą Pijewską i... został ojcem czterech dorodnych córek. Nie zerwał jednak stosunków z rodzinnym powiatem. Interesował się szczególnie rozwojem ruchu młodzieżowego na wsi, będąc częstym gościem na zjazdach powiatowych ZMW i uroczystościach Święta Ludowego (w Gorzkowie i Turobinie - L.C.). Bardzo często odwiedzał go też Antoni Żurek - jeden z rodzonych braci, mieszkający na ojcowiznie w Krynicy, który trasę Krynica - Podzamcze, długości

200 km zawsze przemierzał pieszo, idąc według mapy (po linii prostej, od miejscowości do miejscowości).

W czasie działalności i pracy społecznej Franciszka Żurka na terenie powiatu krasnostawskiego, najbardziej cenne jest to, że wyrosła i dojrzała w sobie nowa, młoda generacja działaczy ludowych, takich jak: Józef Grudziński, Władysław Smorga, Franciszek Bojarski, Józef Nikodem Kłosowski, Jan Wojtał i wielu innych. Warto też nadmienić, że Franciszek Żurek ostatni raz przebywał dłuższy czas w powiatach krasnostawskim i zamojskim w latach 1938-1939, zbierając relacje i materiały z przebiegu Wielkiego Strajku Chłopskiego oraz skutków policyjnej pacyfikacji Zamojszczyzny.

Pracując i działając na terenie powiatu Dubno, zorganizował w Podzamczu Związek Strzelecki, którego komendantem został Henryk Nowak - leśniczy lasów doświadczalnych Liceum Krzemienieckiego, a dla młodzieży płci obojga - Zespół Przysposobienia Rolniczego, któremu przewodniczył Bronisław Derewecki.

Franciszek Żurek wzorowo gospodarował na roli. Uprawiał dużo pszenicy, konicznej, buraków cukrowych i pastewnych. Rozwiniął hodowlę bydła i chlubił się parą dorodnych koni. Był częstym gościem podpułkownika Jana Kamińskiego z 2. Dywizjonu Artylerii Konnej w Dubnie, od którego 3 sierpnia 1938 r. otrzymał pamiątkową odznakę. Miał wielu przyjaciół i znajomych wśród nauczycieli Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej w Białokrynicy - Liceum Krzemienieckiego. Do leśniczego Henryka Nowaka w leśnictwie Białogródka (później Wilija - L.C.) przyjeżdżał najczęściej w towarzystwie zarządcy lasów państwowych w Krzemieńcu - Franciszka Oraczewskiego, z którym szczerze się przyjaźnił. Sam przecież był synem gajowego, a ponadto potrzebował dużo drewna budulcowego i opałowego. Liczne wycieczki organizowane dla osadników przez Franciszka Żurka (do Beresteczka, Krzemieńca, Poczajowa, Podkamienia, Radziwiłłowa, Zbaraża) oraz szeroki kontakt ze środowiskiem nauki i praktyki rolniczej wpłynęły na jego dobre gospodarowanie. Nie bez znaczenia była tu również przynależność do Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych. Żona Franciszka Żurka - Stanisława Pijewska wniosła w posagu do gospodarstwa 7 ha ziemi w tym ponad 1 ha sadu ze szkółką drzew owocowych, które służyły do zajęć praktycznych uczniom Szkoły Rolniczej w Białokrynicy.

Po wybuchu II wojny światowej, na dalekich Kresach, z dala od linii frontu, życie na wsi toczyło się normalnym trybem. Pogoda wciąż dopisywała -

było słonecznie i ciepło. Trwały akurat wykopki ziemniaków, które w tym roku wyjątkowo obrodziły. *W niedzielę 17 września 1939 roku niespodziewanie, w godzinach przedpołudniowych, od przestraszonego Kazimierza Ferensa, otrzymaliśmy wiadomość, że na ulice Krzemieńca wjechały sowieckie czołgi i weszła piechota z długimi bagnetami na karabinach.* Zbliżając się do Podzamcza, według relacji Antoniego Żurka, oficerowie tłumaczyli miejscowej ludności: *Nie bojcie nas, my przyszli oswobodzić Zapadnuju Ukrainu.* Teraz *wsie lesa i niebiesa* należą do narodu. W myśl tej zasady, po zajęciu wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej, bardzo szybko przystąpiono do dzielenia i rozdawania ukraińskim chłopom ziemi „pomieszczyków”. Tylko K. Ferens, w panice, sam opuścił swoje gospodarstwo i ukrył się u szwagra - leśniczego H. Nowaka (mojego chrzestnego ojca - L.C.). Reszta osadników pozostała na miejscu. Za miesiąc, w niedzielę 22 października odbyły się tam wybory do Zgromadzeń Ludowych. Ludność polska, która nie wzięła udziału w „wyborach”, stała się szczególnym przedmiotem represyjnych działań beriowskiego aparatu bezpieczeństwa. Zaczęły się aresztowania.

Franciszek Żurek, jako 25-hektarowy „pomieszczyk”, za próbę zorganizowania wiecu w dniu „wyborów” został wraz z rodziną aresztowany już w poniedziałek 23 października, a następnie wywieziony w głąb Związku Sowieckiego, do obwodu czytyjskiego. Pracował tam ciężko przez dwa lata przy wyrębie lasu nad rzeką Szyłką. Na koniec, za prowadzenie notatek - pamiętnika, trafił do więzienia. Zwolniony został dopiero po podpisaniu w Moskwie 4 grudnia 1941 roku deklaracji Stalin - Sikorski. Z trudem przedostał się do armii generała Andersa. Z wycieńczenia zachorował na tyfus i po kilku tygodniach, 7 kwietnia 1942 roku zmarł w miejscowości Guzar na terenie Związku Sowieckiego. Tam też został pochowany w zbiorowej mogile przez żonę i paru najbliższych kolegów, z którymi dzielił ciężki, tułaczy los zesłańca.

Z Guzaru - ocalałe rodziny polskie wyjeżdżały do Persji. Stąd przez Irak, Palestynę, Egipt i drogą morską dookoła Afryki dopływały do Anglii, Kanady albo Meksyku. Rodzina Franciszka Żurka opuściła Guzar w dwa tygodnie po jego śmierci, po czym wspomnianą trasą, w połowie września 1942 r. dotarła do Anglii. W cztery lata po wojnie, w grudniu 1949 roku, żona Franciszka - Stanisława Żurek wraz ze swoimi córkami wyjechała do dalekiej Australii. Zamieszkała tam w Niddrie Victoria. Dopiero po 1956 roku, w wyniku sześćioletnich poszukiwań przez Polski Czerwony Krzyż, nawiązała kontakt listowny z rodziną męża.

W liście do brata Antoniego z rodziną z dnia 15 lipca 1962 r. napisała: *Dzisiaj dowiedziałam się, że mnie poszukujecie, dlatego przesyłam Wam mój adres, żebyście się mogli ze mną skontaktować. Jeżeli będę mogła przyjść z pomocą Wam w czymkolwiek, to bardzo chętnie to uczynię. Ciekawa jestem jak się miewa cała rodzina. Mamy to już nie mam nadziei usłyszeć, co słyhać u braterstwa Stefanostwa jak również u siostr: Janiny i Sabiny. Będę Wam bardzo wdzięczna za obszerny list. Mnie tak dola pogoniła po świecie razem z córkami, żeśmy się oparły dopiero w dalekiej Australii. Do Australii przyjechałyśmy w czterdziestym dziewiątym roku w grudniu. Obecnie moje córki mają wszystkie swoje rodziny i własne domy...*

Do listu załączona była jedna z ocalałych kartek pamiętnika, jaki na dalekiej Syberii, dzień po dniu, skrupulatnie spisywał śp. Franciszek Żurek. Wprawdzie nic konkretnego ona nie zawiera, oprócz dwóch zdań, tylko słowa jakiejś odległej tęsknej melodii: *Już ponad miesiąc pracujemy przy „Iesopowalce”. Za trzy dni Wigilia i pierwsze Święta Bożego Narodzenia na obczyźnie.*

*Daleko za sinym Bajkałem,
gdzie złota szukają wśród skał.
Tam Polak swój los przeklinając,
stos drzewa na bindugę pchał...*
Nerczyńsk, 21 grudnia 1939 r.

W 1963 roku, dnia 21 sierpnia, w liście skierowanym do szwagra Stefana zamieszkałego w Chełmie - Stanisława Żurkowa pisała m.in.: *Twój brat, Stefanie, zmarł na wskutek tyfusu w Polskim Szpitalu Wojskowym w Guzarze w dniu 7 kwietnia 1942 r., także został pochowany na cmentarzu katolickim, tj. w południowej części ZSRR w Uzbekistanie. Odejście Franka na wieczną wartę, było dla mnie ciosem, przed ostatecznym załamaniem uchroniły mnie dzieci, bo czułam, że muszę sama czuwać nad ich wychowaniem, i sama musiałam ich chronić od przedwczesnych przeciwności życiowych.*

Ostatni list z Australii, z datą 10 maja 1965 r., wdowa po śp. Franciszku - Stanisława Żurkowa napisała do bratowej Leokadii (pierwszej żony Stefana - L.C.). Jak mocne musiały być przeżycia podczas wywiezienia ich do Związku Sowieckiego, świadczy choćby taki fragment listu: *Nawet ta makatka, coś mi wyszła będąc u nas [w Podzamczu - L.C.], tak mi się bardzo przydała, że oddałam ją będąc na Syberii za bochenek chleba. Dziś jak wspominam te odległe czasy, myślę że to mi się wszystko śniło, bo rzeczywiście, te lata były tak koszmarnie, jak zły sen, nawet nie lubię ich wspominać.*

Franciszek Żurek - wnuk powstańca z 1863 r. - chociaż znany jest powszechnie jako autor ciekawej monografii „Powiat krasnostawski w walce o wolność”, nie miał formalnego wykształcenia. Do szkoły nie chodził w ogóle, a czytać nauczył się od Lucjana Ryby z Łopiennika Lackiego (Górnego). Po zamieszkaniu w Krynicy, chęć wiedzy i nauki rozbudziły w nim rozmowy z turystami odwiedzającymi unikalną, zabytkową budowlę - grobowiec ariański, pochodzący z 1612 roku. Rozpoczął więc Franciszek Żurek razem ze swym kolegą Józefem Osobą naukę przez czytanie udostępnionych im książek. Początkowo zadowolić musieli się książkami mało wartościowymi. Cenniejsze pozycje zaczęli czytać dopiero w okresie wojny, gdy rozbita została w folwarku Zosinek koło Krynicy biblioteka adwokata - Józefa Sekutowicza. Z książek tych, jak pisał Franciszek Żurek, *dowiedziano się o przyczynach upadku Polski i upodleniu szlachty. W czytających utwierdziło się przeświadczenie, że aby Polska była sprawiedliwa i szczęśliwa, rola jej gospodarzy musi przejść w ręce innych klas społecznych, na których nie ciąży grzech zaprzeczania niepodległości kraju, a więc w tym i na chłopów. Oprócz książek wiedzę i społeczną świadomość zdobywał Franciszek Żurek w konkretnym działaniu politycznym i społecznym. W okresie międzywojennym ukończył Studium Pracy Społeczno-Oświatowej przy Wolnej Wszechnicy w Warszawie. Znał doskonale historię i literaturę. Dużo czytał i wszystko pamiętał. Dzięki temu, był niezrównanym erudytą. Rozmówców wprowadzał w osłupienie swą rozległą wiedzą i licznymi cytatami z przeczytanych książek. W pamięci mojego ojca zapisał się jako świetny organizator wieców i manifestacji chłopskich, a także znakomity mówca. Do ludzi przemawiał ze swadą, używając rzeczowej argumentacji. Miał szczególny dar przekonywania słuchaczy i wpływania na ich postawę. W sytuacjach trudnych zachowywał zimną krew. Nawet w czasie zesłania na Syberię, w warunkach głodu i chłodu, potrafił godnie znosić ciężar katorżniczej pracy i walczyć ze złym losem, jak żołnierz na wojnie - odważnie, uparcie, niezłomnie, spokojnie.*

Dokonując analizy przebiegu wojny polsko-bolszewickiej, podkreślił wysokie morale polskiego żołnierza - ochotnika i słusznie zauważył, że: *W tej wojnie trzeba było posiadać nie tylko odwagę i wytrzymałość fizyczną, ale każdy żołnierz musiał przeciwstawić agitacji bolszewickiej swoją moc duchową. Tarczą, broniącą każdego krasnostawiaka przed tą agitacją, była mocna wiara, trwająca jeszcze od ogłoszenia Manifestu Rządu Ludowego w Lublinie, że Polska własnymi*

rękami wprowadzi u siebie sprawiedliwość społeczną i nie potrzebuje do tego obcej pomocy, a w szczególności pomocy moskiewskiej.

W swojej pracy nad historią Związku Młodzieży Wiejskiej w powiecie krasnostawskim, przedstawił Franciszek Żurek bardzo ciekawy i mało znany obraz rodzinnej wsi - Krynicy: *Wieś - Kolonia Krynica - siedziba jednego z najczynniejszych Kół Młodzieży Wiejskiej w powiecie, jako zbiorowość najpóźniej ruszyła w postępie kulturalnym. Miała ona bowiem mieszkańców zebranych - w czasie zakupu gruntów - z różnych okolic sąsiadujących ze sobą powiatów [krasnostawskiego i chełmskiego - L.C.]. Ludzie ci nie stanowili żadnej siły zbiorowej. Powszechnie niemal stosowany w tej wsi - obok rolnictwa - dodatkowy zawód furmański (przewożono towary ze stacji kolejowej Rejowiec do Zamościa) nadawał właściwe furmanom cechy - mieszkańcom tej wsi. Toteż wieś ta, nie tylko nie miała zbiorowej wspólnej tężyzny moralnej, ale miała jak najgorszą opinię w całej okolicy.*

Punkt zwrotny w tej wsi nastąpił dopiero w czasie wojny światowej. To wydarzenie polityczne spowodowało, że między Rejowcem, a Zamościem powstała komunikacja kolejowa, wskutek czego deprawujący mieszkańców tej wsi zawód furmański przestał istnieć. W tymże samym czasie, tj. w czasie wojny wróciła część młodzieży, która przedtem opuściła swą wieś, by szukać wiedzy. Wreszcie przyплыł duży ilości książek do tej wsi z biblioteki pobliskiego folwarku adwokata Sekutowicza, rozbitej podczas wojny, spowodował bardzo szybkie rozbudzenie mieszkańców omawianej wsi. Stała się ona bowiem siedziskiem komendy miejscowej POW. Powstało tu i działało bardzo czynne na terenie gminy koło Polskiego Stronnictwa Ludowego.

A jako mocny wyraz dążeń emancypacyjnych wsi i młodzieży, powstało w 1916 roku bardzo czynne Koło Młodzieży Wiejskiej, które - poza normalnymi pracami koła - zorganizowało i uruchomiło szkołę powszechną w tej wsi oraz opracowało statut KMW, który, z braku innego doskonalszego, służył i okolicznym kołom.

Franciszek Żurek w 1921 roku, będąc jeszcze na ziemi krasnostawskiej, został 13 marca (na dorocznym zjeździe prezesów i delegatów kółek rolniczych) wybrany w skład zarządu Okręgowego Związku Kółek Rolniczych, 3 kwietnia uczestniczył w dorocznym zjeździe prezesów i delegatów kół ZMW, brał udział i przemawiał w Krasnymstawie na obchodach 130. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, zorganizował na dzień 30 listopada zjazd użytkowników serwitutowych powiatu krasnostawskiego.

Był więc Franciszek Żurek, ps. „Płomyk”, działaczem nieprzeciętnym na tym terenie, wywierającym zasadniczy wpływ na ruch ludowy, na powstanie i rozwój Kół Młodzieży Wiejskiej w powiecie krasnostawskim. Miał on też niewątpliwie duży wpływ na usamodzielnienie się tego ruchu i ukształtowanie jego drogi ideowej w okresie międzywojennym. Zdobyte zaś w tym ruchu doświadczenie oraz swoje nieprzeciętne zdolności organizatorskie poświęcił bez reszty służbie dla dobra wsi i narodu polskiego także na ziemi wołyńskiej.

Lucjan Henryk Cimek



Franciszek Żurek,
Powiat krasnostawski
w walce o wolność,
red. Krzysztof Nizioł,
Norbertinum, Lublin
2009, ss. 268.

Edward Franciszek Cimek

Maksymilian Janusz Kronland

Jest w Izbicy ulica dr. Kronlanda. A pamięć o nim wśród mieszkańców osady trwa od lat. Ostatnio w środowisku gminnym pojawiła się myśl upamiętnienia tegoż wspaniałego lekarza i działacza społecznego bardziej doniośle i znacząco. Wszak mieszkał tutaj, leczyl i działał ponad 30 lat. Zasłużył się znakomicie miejscowej społeczności.

W połowie XIX w. z nadbałtyckiej Kurlandii (obecna Łotwa) przybył do Zamościa Aleksander Kronland z małżonką Pauliną z Lewińskich. U ordynata Tomasza Zamoyskiego objął stanowisko kustosa zbiorów bibliotecznych. Natomiast jego syn, młody lekarz Maksymilian, osiadł w Izbicy. Stało się tak, gdyż właściciel tarnogórskiego

majątku, Władysław hrabia Czyżewski, lecząc po wypadku uszkodzony kręgosłup, wystarał się dla siebie i społeczeństwa o medyka. Maksymilian z żoną Anną z Czerkaskich zamieszkał w domku z ogródkiem, przy uliczce na obrzeżu nadwieprzańskich łąk.

W pamięci potomnych zachował się znamieny epizod z życia mieszkanki Izbicy, niejakej Poliszyny. Jej córeczkę wyleczył doktor Kronland, choć wydawało się, że dziecko umrze. Natomiast nie udało się mu przywrócić zdrowia jego 6-letniej córce Małgorzacie. A zachorowała, zaraziwszy się od chorej dziewczynki, którą kurował w swym mieszkaniu. Zmarła córka Kronlanda została pochowana na cmentarzu w Tarnogórze, tuż przy rodzinnym grobowcu Czyżewskich.

Doktor Maksymilian Kronland był nie tylko lekarzem. Wspólnie z ks. Golińskim, hr. Czyżewskim, młynarzem Beneszem oraz włościanami: Jakubkiem, Lenkiewiczem, Lewandowskim i Śliwińskim w roku 1903 współtworzył izbicko-tarnogórską straż pożarną. Pod jej szyldem rozwijano ruch kulturalny i niepodległościowy. W tym celu dr Kronland związał się z Towarzystwem Szerzenia Oświaty „Światło”. Towarzystwu przewodzili ludzie tej miary, co Stefan Żeromski. Kronland założył koła „Światła” w Izbicy i Tarnogórze. Dzięki jego staraniom w Tarnogórze powstała biblioteka licząca ponad 600 tomów. Księgozbiór ów służył nawet mieszkańcom sąsiedniej gminy Gorzków. Urządzono czytelnię, w której w dni świąteczne i wieczory dyskutowano na różne tematy. Natomiast sam dr Kronland prowadził wykłady nt. dziejów i kultury Polski, tudzież higieny i zdrowia.

Linia kolejowa, którą planowano budować przez Izbicę, miała przebiegać przez posesję Kronlandów. To dlatego rodzina sprzedała dom wraz z działką i wyjechała na Ukrainę. Wówczas Kronlandowie mieli już dwie córki - Marię i Paulinę. Córki niebawem wyszły za mąż. Maria z Gastonem Baudeletem osiadła we Francji, a Paulina poślubiła Władysława Zaleskiego, który przed wojną przez 9 lat był kapitanem portu w Gdyni.

Maksymilian Janusz Kronland zmarł 8 listopada 1923 roku w Surhowie, gdzie został pochowany na cmentarzu parafialnym. Jego żona wraz z córką i wnukiem, po wysiedleniu rodziny przez Niemców z Gdyni w 1940 roku, zatrzymała się u krewnych Skolimowskich w Surhowie. Tutaj zmarła w roku 1942 i została pochowana obok męża.

Paulina i Władysław Zalescy zmarli w latach sześćdziesiątych. Natomiast wnuk doktora, architekt Stanisław Zaleski z żoną Haliną mieszkają w Warszawie.

Edward Franciszek Cimek

Daniel Piekaruś

Wspomnienie o braciach Waręckich

Kim byli bracia Waręccy? To pytanie coraz częściej stawiają sobie historycy-regionaliści, którzy starają się udokumentować działalność lokalnych struktur Polskiego Podziemia Zbrojnego. Każdy powiat, każda miejscowość w Polsce może poszczycić się osobami, które nie patrząc na konsekwencje, poświęciły swoje życie dla Ojczyzny. Sztandarowym przykładem „oddania się sprawie polskiej” była wielodzietna rodzina Pawła i Marianny Waręckich składająca się z 5 synów i 2 córek. Wywodził się z Krakowskiego Przedmieścia, które teraz jest częścią miasta Krasnystaw. Ojciec, Paweł Waręcki był szanowanym obywatelem i społecznikiem. Pracował jako kasjer w mleczarni oraz pełnił funkcję ławnika w sądzie. Prowadził też gospodarstwo rolne na tzw. „Górcie” na Krakowskim Przedmieściu, gdzie sprawował urząd sołtysa. Jak na swoje czasy był światłym rolnikiem. Oboje rodzice zmarli w drugiej połowie lat dwudziestych, a pieczę nad gospodarstwem przejęli synowie.

Nie wiadomo jak potoczyłyby się losy Waręckich, gdyby nie wybuch II wojny światowej. Bracia wychowani w patriotycznej rodzinie, bardzo szybko związali się z tworzącą się konspiracją. Już na przełomie 1939/40 roku złożyli przysięgę na wierność ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), a następnie zostali zaprzysiężeni do Armii Krajowej przez ppor. Stanisława Klucha ps. „Kcyński”. Kluch, późniejszy komendant Rejonu I AK (Zakrzew - Wysokie - Turobin - Żółkiewka) ukrywał się wtedy w ich rodzinnym gospodarstwie. W konspiracji było ich pięciu: Bolesław - ps. „Bolek”, Józef - ps. „Wojciechowski” (związany z oddziałem Kedywu inspektoratu chełmskiego, z patrolu Franciszka Jawora „Sępa”), Kazimierz - ps. „Wallenrod”, Karol - ps. „Góra” oraz Stanisław - ps. „Wyrwicz”. Wszyscy bracia brali udział w licznych akcjach dywersyjnych przeciwko hitlerowskim oprawcom, m.in. atakując transporty drogowe i kolejowe okupanta oraz zrywając łączność. Najślynniejszą akcją przeprowadzoną przez lokalnych partyzantów było odbicie około 300 więźniów z krasnostawskich kazamatów. Akcja na krasnostawskie więzienie, którą dowodził bezpośrednio Stanisław Sokołowski „Rolnik”, rozpoczęła się 19 września 1943 roku. Według wspomnień Pawła Czuby i Jana Wojtala - „o godzinie 22 [...] ruszył w zwartym szyku oddział BCH złożony z 89 ludzi do odległego o 10 km więzienia [...]” (P. Czuba, J. Wojtała, *Walczyli na ziemi krasnostawskiej*, Warszawa 1979, s. 186). Co

prawda, autorzy nie podają pełnej listy uczestników wspomnianej akcji, jednakże prawie na sto procent można założyć, że brali w niej udział bracia Waręccy. Rozpoznanie terenu dokonał oficer wywiadu AK - Klemens Pietraszewski ps. „Wicher”. Więzienie zdobyto „bez jednego wystrzału”. Było to możliwe dzięki współpracy niektórych strażników więzienia (notabene, Polaków, cichych członków-sympatyków BCh), którzy otworzyli bramę i wpuścili partyzantów na teren więzienia. Akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Jednakże dość trudno ustalić faktyczną liczbę uwolnionych ludzi. Źródła niemieckie podają, że uwolniono 234 więźniów, dokumenty akowskie podają liczbę 273, natomiast członkowie BCh utrzymują, że uwolniono 294 osoby (A. Mieczkowski, *Stanisław Sokołowski, sportowiec i żołnierz*, Lublin 1994, s. 28). Jednakże żadne liczby nie umniejszają rangi tej akcji. Oprócz tego, bracia Waręccy brali czynny udział w akcji na transport leków i sprzętu medycznego, która miała miejsce 5 maja 1944 roku, na drodze do Lublina. Zdobyte medykamenty przewieziono w nocy do domostwa Szostaków w Olesinie, gdzie lekarze Krasnostawskiego Obwodu BCh (Stanisław Świca i Jan Matysiak) rozdzielili je na poszczególne placówki. Warto też wspomnieć o dwóch akcjach, dzięki którym zdobyto pieniądze na konspiracyjną działalność. Pierwszą z nich był atak na konwój transportujący pieniądze, którego dokonano pod koniec 1943 roku. Plan działania został obmyślony w gospodarstwie Waręckich na tzw. „Górcie”, który zainicjował Józef Chwała „Wrzos”, dowódca rejonu IV BCh. Samochód z pieniędzmi zatrzymano na przejeździe kolejowym w lesie Borek, na drodze do Chełma. Jedenastoosobowy oddział ochotników zdobył 900 tysięcy złotych, które przekazane zostały do okręgowego kwatermistrzostwa BCh. De facto, krasnostawscy partyzanci posunęli się dużo dalej w kwestii zdobywania pieniędzy. Podczas drugiej akcji, w dniu 8 kwietnia 1944 roku, Waręccy brali udział w napadzie na bank - Gemeinde Verband w Krasnymstawie. Tym razem z pomocą przyszedł Eugeniusz Bazyłko, główny księgowy banku. To właśnie on przekazał Klemensowi Pietraszewskiemu plany budynku, w którym mieścił się bank, oraz opisał zwyczaje jakie w nim panowały. Akcję przeprowadzono w samo południe, ponieważ chciano w ten sposób uchronić polskich pracowników przed podejrzeniami o współpracę z podziemiem. Akcja przebiegła pomyślnie, o czym świadczyło zdobyte 800 tysięcy złotych.

Oprócz działalności dywersyjno-sabotażowej, był też czas na intensywną naukę. Warto wspomnieć, że aż czterech braci (Józef, Kazimierz,

Karol i Stanisław) było elewami Leśnej Szkoły Podchorążych IV Rejonu, którą prowadzono w okresie od 15 marca do 31 maja 1944 roku, w lesie niemienickim. Otwarcia szkoły dokonał ówczesny komendant Krasnostawskiego Obwodu BCh - Jan Wojtał „Jeż”. Kształciło się w niej aż siedemdziesięciu czterech elewów. Zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu i trwały osiem godzin. Działalność oświatowa na tak dużą skalę spowodowała odwet ze strony okupanta, czego dowodem była pacyfikacja niemienickiego lasu (zbombardowano siedzibę szkoły - gajówkę) oraz liczne aresztowania uczestników tajnych szkoleń. (P. Czuba, J. Wojtał, *Walczyli na ziemi krasnostawskiej*, Warszawa 1979, s. 111-112).

Po „wyzwoleniu” i przejęciu rządów przez Polską Partię Robotniczą, sytuacja żołnierzy AK, NSZ i BCh uległa diametralnej zmianie. Represje ze strony komunistów były coraz bardziej wyrafinowane. Aresztowania, bestialskie przesłuchania i skrytobójcze mordy podsycaly uczucie nienawiści i bezsilności wobec komunistów, których legitymizacja władzy opierała się na radzieckich bagietkach. Bracia, wierni przysiędze wojskowej złożonej za czasów okupacji hitlerowskiej, podjęli decyzję o dalszej walce, tym razem z „nową władzą”. Na początku października 1944 roku, w majątku w Surhowie, aresztowano 10 członków AK wraz z jego dzierżawcą - Skolimowskim. Osadzono ich w krasnostawskim więzieniu, które tym razem było już komunistyczną katownią. Bracia (Bolesław, Józef, Kazimierz i Stanisław) podjęli decyzję o uwolnieniu aresztowanych. Analogicznie jak podczas akcji w 1943 roku, rozeznania w terenie dokonał Klemens Pietraszewski. Pod dowództwem Jana Olszewskiego ps. „Singiel” („Cyngiel”), kilkunastoosobowa grupa ochotników przebrana w wojskowe mundury podeszła pod mury więzienia pod pretekstem dostarczenia aresztanta. Owym „przestępcą” prowadzonym przez akowców był Stanisław Mataczyński ps. „Modrzew”. I w tym przypadku również dopomógł jeden ze strażników więzienia, który prawdopodobnie miał „bechaowskie korzenie”. Na uwolnionych czekał Kazimierz Waręcki, który furmanką wywiózł ich w kierunku Kolonii Krakowskie Przedmieście (R. Maleszyk, *Więzenie w Krasnymstawie w latach 1944-1989*, [w:] *Więzenie w Krasnymstawie i w Zamościu w latach 1906-2006*, pod red. R. Maleszyk, Krasnostaw 2006, s. 105-106).

Akcja ta wywołała ogromne poruszenie w szeregach krasnostawskiej bezpieki. Ślepy odwet komunistów osiągnął w końcu rodzinę Waręckich.

Powołując się na raport z dn. 7 listopada 1944 roku: „Dnia 5 XI 1944 [r.] o godzinie 5-tej w Krasnymstawie na Krakowskim Przedmieściu 70 zostali aresztowani przez współpracowników [prawdopodobnie chodzi o niezatwierdzonych pracowników UB - dop. D.P.] PUBP: Waręccy Stanisław, Kazimierz i Józef oraz Dzida Stanisław. Wszyscy byli zajęci przy słuchaniu radia z Londynu. Przy aresztowaniu znaleziono rozkazy i instrukcje inspektora AK Lecha do 633. Obwodu AK. Według słów Józefa Waręckiego, który przywiózł rozkazy z Chełma, otrzymał je w Chełmie od inż. Poreby, który żyje na lewo w Chełmie. Wg naszych przypuszczeń, inż. Poręba jest inspektorem Lechem. Instrukcje i rozkazy miał doręczyć braciom, którzy mieli dalej [je] odesłać. Do tej chwili bracia nie chcą się przyznać o dalszym celu [ich] przeznaczenia [...]” (AIPN Lu, sygn. 042/2, Akta administracyjne PUBP Krasnystaw, k. 11. Funkcjonariusze błędnie rozszyfrowali inż. Porębę, jako inspektora Lecha. W tym przypadku prawdopodobnie chodziło o Pawła Czubę ps. „Burza”, „Lech”, komendanta obwodu BCh w okresie XI 1940 r. - III 1944 r., lub Janusza Krasusa - jak podaje Zofia Leszczyńska, w swojej książce - *Ginę za to, co najgłębiej człowiek ukochać może*, Lublin 1998, cz. 1, s. 260).

Józefa i Stanisława sądzono w dniu 23 listopada 1944 roku, przed Sądem Wojskowym Lubelskiego Garnizonu, na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie. Pod przewodnictwem sędziego ppor. Edwarda Rataja, sędziowie ppor. Adam Gajewski, ppor. Stanisław Włodarczyk, skazali braci na karę śmierci. Z analizy odpisu wyroku wynika, że Stanisławowi zarzucono: przechowywanie dwulampowego aparatu radiowego marki „Philips” i używanie go w obecności wielu osób (art. 6 Dekretu PKWN) oraz przechowywanie nielegalnej korespondencji. Natomiast Józefa oskarżono z art. 1 Dekretu PKWN za udzielanie pomocy „[...] związkowi, mającemu na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego [...]” (AIPN Lu, sygn. 41/510, Akta Prokuratora Wojewódzkiego w Lublinie w sprawie Kazimierza Waręckiego, k. 8). Wyroki śmierci zostały zatwierdzone w dniu 30 listopada 1944 roku, przez gen. Michała Rolę-Żymierskiego. Bestialskiemu procesowi dodaje pikanterii fakt, iż proces przeprowadzono bez udziału prokuratora i obrońcy na niejawnej rozprawie sądowej. Kazimierz Waręcki miał więcej szczęścia niż bracia, ponieważ udało mu się zbiec z aresztu po około dwóch tygodniach odsiadki. (Jednakże był ciągle inwigilowany, zwłaszcza w latach 50., w okresie likwidacji grupy Leona Majchrzaka ps. „Dzięcioł”).



Rodzina Waręckich:
Helena, Kazimierz
z dziećmi

Egzekucja odbyła się 1 grudnia 1944 roku, o godzinie osiemnastej. W aktach zachował się Protokół Wykonania Wyroku Śmierci, który podpisał: prokurator - chor. K. Gołczewski, lekarz - mjr W. Wasylewski (Armia Czerwona) oraz dowódca plutonu egzekucyjnego - kpr. P. Szalek. Na dokumencie widnieje też nazwisko szefa PUBP w Krasnymstawie - G. Króla, który prawdopodobnie asystował podczas egzekucji. Kapelan wojskowy nie był obecny przy wykonywaniu wyroku. Ślad aresztowania pozostał też na liście aresztowanych przez PUBP z 1944 roku, gdzie pod pozycją 151 figuruje Józef Waręcki, natomiast pod pozycją 152 wpisano Stanisława Waręckiego. Powodem aresztowania w obu przypadkach była przynależność do AK. W rubryce „data zwolnienia” wpisano zwrot - kara śmierci. Co ciekawe, pod pozycją 157 figuruje dodatkowo Karol Waręcki, jednakże w jego przypadku wypisano - zwolnienie (AIPN Lu, sygn. 042/1, Akta administracyjne PUBP Krasnystaw, t. 1, k. 7).



Kazimierz Waręcki
(w środku)

Po latach Kazimierz Waręcki dochodził sprawiedliwości w polskich sądach. W dniu 22 listopada 1994 roku, złożył wyjaśnienia w Prokuraturze Wojewódzkiej w Lublinie, w których zeznał: „Należałem do ZWZ - AK, oraz [do] Batalionów Chłopskich. Zostałem zaprzysiężony jeszcze w ZWZ. Należałem do IV Rejonu. Dowódcą był Chwała Józef ps. „Wrzos”. Ja miałem pseudonim „Wallenrod”. Moja działalność nie kończyła się w lipcu 1944 r. tak jak wynikałoby z legitymacji, ale była dalej kontynuowana. 5 listopada 1944 r. zostałem zatrzymany przez funkcjonariuszy PUBP w Krasnymstawie w swoim domu przy Krakowskim Przedmieściu. Zatrzymany zostałem z braćmi Stanisławem i Józefem Waręckimi. Po zatrzymaniu zostaliśmy przewiezieni do aresztu w Krasnymstawie. Umieszczono mnie w innej celi niż braci. Zatrzymany zostałem w związku z wcześniejszą akcją przeprowadzoną przez oddział AK, do którego należałem, na więzienie UB w Krasnymstawie. Ponadto miałem zarzut słuchania radia Londyn oraz to, że odnaleziono rozkazy i instrukcje inspektora AK. Po dwóch tygodniach, obecnie dokładnie nie pamiętam, zbiegłem z Janem Miszczakiem i Stefanem Kluchem. Ukrywałem się przez trzy lata. Ujawniłem się w 1947 r. Mimo ujawnienia zostałem zatrzymany ponownie w 1950 r. na okres trzech tygodni. Było to zatrzymanie w czasie wymiany pieniędzy spowodowane tym, że byłem traktowany jako przeciwnik ustroju. Chodziło o to, żebym nie rozgłaszał „wrogiej propagandy”. Podczas pobytu w areszcie byłem bity, terroryzowany. Być może z tego powodu obecnie źle słyszę, gdyż bili mnie w głowę. Byłem także aresztowany przy okazji różnych ważnych wydarzeń państwowych, ale były to areszty krótkie, dobowe lub na 48 godzin.



Helena Waręcka
- archiwum rodzinne



Helena Waręcka dzisiaj, foto Marek Szymaniak

Niewątpliwym jest fakt, że byłem aresztowany w związku ze swoją działalnością w w/wym. organizacjach niepodległościowych” (AIPN Lu, sygn. 41/510, Akta Prokuratora Wojewódzkiego w Lublinie w sprawie Kazimierza Waręckiego, k. 7 - 7 v.). Sukcesem Kazimierza Waręckiego była decyzja Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie, w której stwierdzono że był on represjonowany za działalność polityczną, związaną z walką o suwerenność i niepodległość kraju. Oczyszczono też jego braci z zarzutów o działalność „bandycko-reakcyjną”. Takimi stwierdzeniami komunistyczna nomenklatura określała przeciwników pseudo-socjalizmu.

Za procesem kształtowania się władzy ludowej ciągnie się widmo bestialskich mordów, jakich komuniści dopuścili się wobec polskich patriotów. Śmierć Waręckich nie jest przypadkiem odosobnionym i wpisuje się w kanwę utrwalania władzy przez pepeerowców. Nagrodą za kolaborację z ZSRR były w „wolnej Polsce” wysokie emerytury dla zasłużonych funkcjonariuszy UB. Karą za patriotyzm i oddanie żelaznej zasadzie - „Bóg, Honor, Ojczyzna”, był strzał w tył głowy w cieniu leśnych drzew. Dziś od tamtych wydarzeń mija 65 lat. Mimo że komunizmu oficjalnie nie ma już dwadzieścia lat, to w umysłach wielu ludzi wciąż tkwią kraty i strach przed ujawnieniem prawdy o tamtych bestialskich czasach. Nam wszystkim pozostaje już tylko pamięć i modlitwa za bohaterów, którzy swoim życiem potrafili dać świadectwo prawdzie.

Daniel Piekaruś



Zbigniew Atras

Zaczęło się od jezuitów, czyli krótka historia aptekarstwa krasnostawskiego

Już od zarania dziejów człowiek wykorzystywał zioła, a także różne inne składniki i substancje pochodzenia roślinnego i zwierzęcego do celów leczniczych, by ulżyć swoim dolegliwościom chorobowym. Taką działalnością parali się dawniej czarownicy, znachorzy, magowie itd. Często, więcej było w tych działaniach szarlatanerii, niż prawdziwej wiedzy. Aptekarstwo, czyli przygotowywanie, przechowywanie i sprzedaż leków, jako odrębna dziedzina działalności, pojawiło się w Polsce w okresie średniowiecza. Początkowo łączyło w sobie wiele pokrewnych elementów i zaliczano je do sfery kramarstwa, korzennictwa, mydlarstwa, kadzidlarstwa, zielarstwa, a nawet cukiernictwa. Cechowała je tajemniczość i magia. Z czasem aptekarstwo przekształciło się w odrębną dziedzinę nauki. Początkowo zawody lekarski i aptekarski łączono, to znaczy, że wykonywała je ta sama osoba. Średniowieczne aptekarstwo rozwijało się głównie w klasztorach, gdzie zakonnicy, według starych, zapisanych receptur, przygotowywali leki na potrzeby własne i przyklasztornych szpitali. Jedną z pierwszych aptek w Polsce powstała w Krakowie w 1278 roku i była prowadzona przez dominikanina Mikołaja. Kiedy powstała pierwsza krasnostawska apteka nie wiadomo. W drugiej połowie XVIII wieku w mieście istniały prawdopodobnie trzy apteki. Pierwsza mieściła się w Kolegium Jezuitckim. Druga, prowadzona przez bonifratrów, znajdowała się w szpitalu przy kościele Świętego Krzyża, w zachodniej części miasta, przy murze miejskim. Trzecia była w szpitalu przy kościele Świętego Ducha, obok starego mostu, na dzisiejszej ulicy Grobla. Na temat obu aptek przyszpitalnych nie posiadamy bliższych informacji, a kościoły, przy których prowadzono szpitale, już dawno nie istnieją. Przyjmuje się więc, że sztukę aptekarską do naszego miasta przynieśli jezuiti, którzy przybyli do Krasnegostawu w 1685 roku. Według Wiadomości Farmaceutycznych nr 17 oraz nr 18, z lat 1919 i 1922, to właśnie oni w 1685 roku założyli pierwszą miejską aptekę przy jezuitckim szpitalu zakonnym. Inne źródła przesuwają w czasie powstanie pierwszej krasnostawskiej apteki do

początków XVIII wieku i lokują ją na terenie Kolegium Jezuitckiego. Informacja na jej temat znajduje się w dziele „Historia Collegii Krasnostaviensis Societatis Jesu Anno 1720”. Niestety, nie zawiera ona dokładniejszych opisów apteki - jej wyglądu, usytuowania i organizacji. W Encyklopedii Wiedzy o Jezuitach znajdujemy następujące dane jezuickich aptekarzy prowadzących krasnostawską aptekę: **Jan Brzuszkiewicz** urodzony 25 III 1693 na Rusi Czerwonej, zmarł 6 IV 1760 roku w Krzemieńcu, wstąpił do zakonu w 1718 roku w Krakowie, w latach 1722-23 był aptekarzem w Krasnymstawie, prowadził także apteki w Krakowie, Krośnie, Stanisławowie, Kamieńcu Podolskim, Przemyślu, Poznaniu, Ostrogu, Owroczu, Krzemieńcu. Słynął ze skuteczności leczenia. **Maciej Matesko (Matschecko, Matsheko)** urodzony 10 II 1710 roku na Morawach, zmarł 28 V 1766 roku w Krasnymstawie, wstąpił do zakonu w 1739 roku w Krakowie, w latach 1759-66, aptekarz w Krasnymstawie, pracował także w aptekach w Krakowie, Piotrkowie, Brześciu Litewskim, Lublinie i Jarosławiu. **Józef Jasiński** urodzony 3 I 1726 roku na Rusi Czerwonej, zmarł 19 III 1789 roku w Zawieprzycach, kierował krasnostawską apteką od 1760 do 1773 roku, prowadził także apteki w Lublinie, Brześciu Litewskim i Stanisławowie. W krasnostawskiej aptece prawdopodobnie pracowali także jezuiti: Hilary Malinowski i Józef Barański. Z Krasnegostawu pochodził znany jezuicki farmaceuta Franciszek Stefański, urodzony w naszym mieście 8 X 1729 roku, syn Mikołaja i Anastazji, zmarły 27 IX 1787 roku w Gnieźnie. Wstąpił do zakonu w 1751 roku w Krakowie, gdzie był aptekarzem w aptece św. Szczepana, a także w Kaliszu i Poznaniu. Po kasacie zakonu, jako doktor medycyny wstąpił do Seminarium Duchownego w Gnieźnie.

Wkład braci zakonnych jezuitów i bonifratrów w rozwój opieki medycznej i społecznej na terenie powiatu krasnostawskiego był ogromny i trudny do przecenienia. To właśnie zakonnicy prowadzili wszystkie istniejące w tym czasie szpitale i przytułki. Byli do tego fachowo przygotowani. Leczyli i szerzyli oświatę zdrowotną. Ich zasługi były największe w okresach częstych wówczas epidemii, gdy poświęcali się pielęgnowaniu tysięcy chorych i umierających. Mając dostęp do fachowej literatury, rozwijali wiedzę medyczną i aptekarską, a działające wtedy apteki były małymi, samodzielnymi laboratoriami naukowymi. Jezuicka

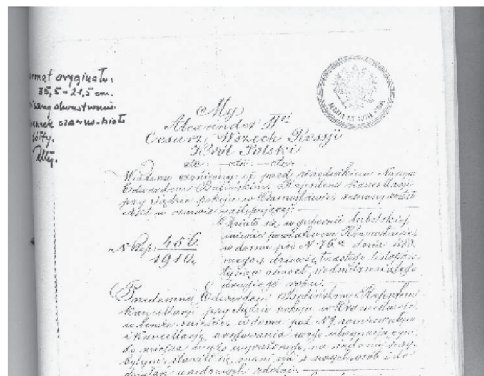
apтека w kolegium przy kościele św. Franciszka Ksawerego funkcjonowała do 1773 roku, czyli do kasaty zakonu. Nie wiadomo, czy apteka istniała przez następne dziewięć lat. Niektóre źródła podają, że w tym czasie przez sześć lat Krasnystaw pozbawiony był apteki, a tym samym prestiżu jedyne miasta w diecezji, które posiadało tak rzadko spotykaną wówczas placówkę. W 1782 roku biskupstwo chełmskie, którego siedzibą było miasto Krasnystaw otrzymało przywilej na otwarcie apteki przyszpitalnej, jako placówki o charakterze zamkniętym. Czy ta apteka mieściła się nadal w dawnym Kolegium Jezuickim, czy też może przy szpitalu św. Łazarza zlokalizowanym w pobliżu Bramy Lubelskiej - nie wiadomo. W 1805 roku zniesiono Diecezję Chełmską z równoczesnym powołaniem Diecezji Lubelskiej. Przez kolejne lata trwały powolne przenosiny siedziby biskupiej z Krasnegostawu do Lublina, co nastąpiło ostatecznie dopiero w 1826 roku. W tym okresie krasnostawska apteka zmieniła lokalizację i przeszła w ręce prywatne. Nowa apteka została umieszczona na parterze kamienicy, obecnie nr 28 przy rynku (dawniej nr policyjny 55), w sąsiedztwie Domu Sejmikowego, czyli tu, gdzie istnieje do dnia dzisiejszego. Najbardziej znanym, krasnostawskim aptekarzem z tego okresu był **Feliks Stankiewicz**. Przybył on do naszego miasta z Warszawy i pracował w krasnostawskiej aptece już w 1811 roku. Czy później był jej pierwszym, czy też kolejnym właścicielem - nie wiadomo. Niestety, opinia na temat jego pracy nie była najlepsza, co potwierdzają dokumenty Urzędu Lekarskiego Guberni Lubelskiej. Feliks Stankiewicz przedstawiany jest w nich jako człowiek nieobowiązkowy, opieszale i nerwowy. Prowadzona przez niego apteka często była zamknięta i niedostępna. Dokumenty odnotowują wiele jego pomyłek przy wydawaniu leków. Jeden z inspektorów wizytujący krasnostawską aptekę określił Stankiewicza jako „roztargnionego maniaka”. Stały nadzór Urzędu Lekarskiego przyniósł pozytywne efekty i krasnostawski aptekarz zaczął bardziej sumiennie wykonywać swoją pracę. Feliks Stankiewicz zmarł w 1869 roku, a aptekę odziedziczyła po nim wdowa, Elżbieta z Holtzerów Stankiewiczowa. Istniejącą po dziś dzień pamiątką po Stankiewiczach jest figura Matki Boskiej, stojąca przy kościele św. Franciszka. Została ona ufundowana przez małżeństwo Elżbietę i Feliksa Stankiewiczów na pamiątkę za-

walenia się wielkiej kopuły kościelnej w maju 1849 roku, czyli przed 160 laty. 8 października 1869 roku Elżbieta Stankiewiczowa wydzierżawiła aptekę **Romualdowi Błońskiemu**, który prowadził ją do 8 IV 1873 roku, czyli do chwili przejścia przez nowego właściciela.

Kamienica z apteką (lata 70.)



W swojej historii, apteka Stankiewiczów, znajdująca się w miejscu obecnej apteki na krasnostawskim rynku, kilkakrotnie zmieniała właścicieli. Zachował się dokument rejentalny z dnia 19 listopada 1872 roku świadczący o sprzedaży apteki przez Elżbietę z Holtzerów Stankiewiczową, prowizorowi farmacji, **Wiktoremu Migurskiemu**, dzierżawcy apteki w Szczecinie. Nabytą aptekę Migurski wydzierżawił



Akt rejentalny.

Henrykowi Policzekiewiczowi. W 1910 roku krasnostawską aptekę nabył **T. Nazarewicz**, a w 1912 roku przeszła na własność **J. Szczygłowskiego**. W 1913 roku aptekę zakupiła spółka **Antoni Szcześniewski i Stefan Żukowski**. Około 1923 roku zmienił się skład spółki, w której miejsce Żukowskiego zajął **Tadeusz Labbe**. Od 1926 roku **Antoni Jan Szcześniewski** (1871-1968), absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (rocznik 1900) został jedynym właścicielem krasnostawskiej apteki. W czasie wojny, w 1942 roku, aptekę przejął Niemiec **B. Pfeif**. Po wyzwoleniu, Antoni Szcześniewski odzyskał aptekę i był jej właścicielem aż do czasu upaństwowienia w 1951 roku. Wtedy został jej pierwszym kierownikiem. Jego



Apteka w czasie okupacji.

dział kontynuował syn **Antoni Franciszek Szcześniewski** (1906-1995), przez przyjaciół zwany Maciej. Był także absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, rocznik 1931. Apteką kierował od 1963 do grudnia 1972 roku, ale związany z nią pozostał aż do swojej śmierci w 1995 roku. Zarówno ojciec, jak i syn byli aptekarzami z powołaniem. Solidni i pracowici



Wnętrze apteki (lata 70.)



Front apteki (lata 70.)

cieszyli się uznaniem i bardzo dobrą opinią wśród mieszkańców miasta. Księgi Adresowe Polski, obok opisywanej, wymieniają także aptekę Ławickiego (w budynku na rogu ulic Zamkowej i Mostowej) i skład apteczny w Krasnymstawie, którego właścicielem była spółka A. Szcześniewski, J. Łuka. Stara apteka zajmowała pomieszczenia na parterze i półpiętrze kamienicy przy rynku. Izba ekspedycyjna i recepturowa mieściły się na niższym poziomie, od frontu kamienicy. Nieco wyżej i od strony podwórza znajdowały się części: magazynowa, administracyjna i socjalna, oraz wejście dla dostawców. Takie bardzo nowoczesne jak na owe czasy urządzenie apteki pozwalało na zaopatrzenie placówki bez przeszkadzania i przerw w obsłudze klientów. Główne pomieszczenie, tzw. izba ekspedycyjna urządzona była według najlepszych wzorów. Stylowe szafy apteczne w jasnym odcieniu brązu, pięknie zdobione, ustawione były przy dwóch ścianach. Przed nimi znajdowały się lady z poręczami od strony klienta, oddzielone szklanymi ściankami. W centralnym miejscu, wysoko na szafie, nad wejściem do zaplecza apteki, stał duży, zabytkowy i bogato zdobiony stary zegar. Obok na ścianie wisiała tablica na której widniała data założenia apteki, czyli rok 1782. Do tego ten specyficzny zapach dawnych aptek... To wszystko razem tworzyło niepowtarzalną i niestety bezpowrotnie utraconą atmosferę tego miejsca. Maciej Szcześniewski - jak mówią o nim długoletnie pracownicy apteki - był człowiekiem wyjątkowym i szlachetnym. Wykształcony i czytany, posiadał głęboką wiedzę w szerokim zakresie. W zawodzie - profesjonalista. Interesował się wszystkim i wszystkimi, nie znajdując czasu dla samego siebie i własnych spraw. Życzliwy i wyrozumiały. Rozmiałowany w swym zawodzie, gromadził latami

zabytkowe sprzęty apteczne, a pragnąc ocalić je od zniszczenia i zapomnienia, przekazał wiele eksponatów do Muzeum Aptekarstwa w Lublinie. Apteka pod jego kierownictwem to nie tylko placówka służby zdrowia, stara kamienica i zabytkowe meble, ale przede wszystkim grupa ludzi - przyjaciół, którzy tę specyficzną atmosferę tworzyli. To dziesiątki lat ich życia, niezapomniane chwile, które dziś wspominają ze wzruszeniem. Antoni Franciszek Szczesniewski zmarł bezpotomnie, nie pozostawiając testamentu. Dalsi krewni nie ubiegali się o spadek. Na pozostawiony majątek składały się dwie kamienice w Krasnymstawie, jedna na rynku (z apteką), druga na ulicy Kościelnej, duży księgozbiór, cenne zbiory numizmatyczne i filatelistyczne, oraz stare, zabytkowe meble. Początkowo cały majątek przejął Skarb Państwa. Ruchomości sprzedano na licytacji. Część księgozbioru, oraz zbiory numizmatyczne i filatelistyczne trafiły do muzeum.

W dniu 16 lipca 1996 roku Urząd Miasta w Krasnymstawie skierował pismo do Wojewody Lubelskiego, podkreślające historyczną wartość apteki i wnioskujące o przejęcie nieruchomości po Antonim Franciszku Szczesniewskim na rzecz mienia komunalnego. Jednocześnie miasto wyrażało pragnienie utrzymania działalności apteki w jej historycznym miejscu. W grudniu 1996 roku, na mocy uchwały Rady Miasta o przejęciu nieruchomości i umowy przekazania majątku, obie kamienice z zachowanym jeszcze częściowo wyposażeniem, stały się własnością miasta. Miasto przeprowadziło remont kamienic. Prowadzący aptekę lubelski Cefarm postanowił wymienić apteczne wyposażenie na nowocześniejsze i bardziej funkcjonalne, o czym poinformował Urząd Miasta. Zanim ktokolwiek się zorientował, stare meble zostały usunięte z apteki i przewiezione do Lublina, gdzie złożono je w magazynach Cefarmu. Firma dbając o historię farmacji, przeprowadza renowację zabytkowych mebli i sprzętów aptecznych i umieszcza je w Muzeum Aptekarstwa w Lublinie. Niestety, meble z krasnostawskiej apteki nie były dla Cefarmu aż tak wartościowe i pozostały w magazynach, gdzie niszczeją do dnia dzisiejszego. Firma nie jest zainteresowana ich ocaleniem. Całkowicie inną wartość mają dla mieszkańców Krasnegostawu, zwłaszcza tych, którzy zachowali w swej pamięci dawny wygląd, urok i styl starej apteki. Wielokrotnie przerabiana, zabytkowa apteka upodobniła się do innych współczesnych placówek tego typu. Jej zmieniony

wystrój dla wielu mieszkańców Krasnegostawu był wielkim szokiem, Niczym się już nie wyróżnia, a nowoczesne witryny okienne, wstawione w zabytkowych murach budzą niesmak. Nie znajdziesz w jej dzisiejszych pomieszczeniach śladów historii i dawnego, niepowtarzalnego charakteru. Zdobiący dawną aptekę, piękny, stary zegar trafił do Muzeum Aptekarstwa w Lublinie. Dawnych mebli nie odzyskano, pomimo działań podjętych w 1997 roku. Aszkoda. Bo choć są to tylko same meble, bez naczyń i innych zabytkowych akcesoriów, to mogły stać się załączkiem muzealnej ekspozycji o tematyce aptecznej. Ekspozycji przedstawiającej historię wielu krasnostawskich rodzin i aptekarzy z zakonów jezuitów i bonifratrów. Historię dawną, odległą w czasie i tę najbliższą, dnia wczorajszego, a przecież już zapomnianą. Historię krasnostawskiego aptekarstwa. Z informacji uzyskanych w lubelskim Cefarmie wynika, że chętnie przekazaliby stare meble z krasnostawskiej apteki do naszego muzeum. Zapewne możliwe jest także wypożyczenie części eksponatów pochodzących z Krasnegostawu, a znajdujących się obecnie w posiadaniu Muzeum Aptekarstwa w Lublinie. I chociaż w naszym muzeum dawna apteka nie ożyje, to chyba warto stworzyć wspomnianą wyżej ekspozycję, bo jest to interesująca część historii miasta i jego mieszkańców, którą dobrze byłoby pamiętać. Jeżeli zaś o pamięć chodzi, to odwiedziłem grób Antoniego Franciszka Szczesniewskiego i jego ojca, znajdujący się na naszym cmentarzu i muszę stwierdzić, że przydałaby mu się konserwacja i opieka. Na koniec należy wspomnieć o dniu dzisiejszym krasnostawskiego aptekarstwa, które zwłaszcza w ostatnich latach bardzo się rozwinęło. W mieście jest obecnie dziesięć aptek o nowoczesnym wystroju, jednak ja z żalem wspominam tę jedną, niepowtarzalną, starą aptekę Antoniego Szczesniewskiego na krasnostawskim rynku.

Zbigniew Atras



Leszek Janeczek

Rocznice coraz bardziej puste

Mija właśnie 70. rocznica początku wielkiej polskiej tragedii. Obchodzimy ją co roku, ale uroczystości te są jakby coraz mniej obecne w naszej świadomości i rzeczywistości. Sondaże mówią, że dorośli Polacy są mało zainteresowani czczeniem tej daty. Żyliśmy do tej pory w przeświadczeniu naszej narodowej krzywdy i oczywistości kilku prawd, takich jak ta, że wszystko zaczęło się tu, w Polsce, 1 września 1939 roku. I nagle z historycznej ośpałości, w którą dobrowolnie się pogrążyliśmy, obudził nas rosyjski niedźwiedź. Jednym młalszym jeźdźcą, usłyszonym na całym świecie, postawił nas na równi z Hitlerem. Naraz z jego przyczyny Polacy muszą dowodzić, że wojna nie zaczęła się 22 czerwca 1941 roku, tylko 2 lata wcześniej. Czy wszyscy uwierzą naszym słowom?

W PRL-u miliony Polaków wychowano w przeświadczeniu, które trwa do dzisiaj, że to właśnie wspólnie z Rosjanami rozgromiliśmy III Rzeszę. Żywa była pamięć tysięcy zamordowanych w obozach koncentracyjnych takich jak Oświęcim. Powstaniem w Warszawie było zawsze Powstanie Warszawskie.

Teraz świat widzi to wszystko już inaczej, za sprawą tych, którzy chcą, aby tak właśnie było. W Moskwie na obchodach 60. rocznicy rozgromienia faszyzmu, przedstawiciel sojuszniczej niegdyś Polski, prezydent Kwaśniewski został ustawiony gdzieś hen w trzecim szeregu. Ostatnio okazało się, że Polska miała spiskować z Hitlerem przeciw ZSRR. W Oświęcimiu, teraz często przedstawianym jako „polskim obozie koncentracyjnym”, ginęli przede wszystkim Żydzi. Ażnany na świecie powstaniem w Warszawie, jest nie to z 1944, gdzie walczyło 50 tysięcy, ale to z 1943 z 600 młodymi bojownikami.

I niech Polacy dalej sobie uważają, że historia jest nieważna. Zbigniew Herbert wyraził się kiedyś o niej następującymi słowami:

„Przeszłość to nie jest muzeum zarosłe pleśnią, to ludzie z pasjami i biedami, którzy kiedyś żyli, byli podobni do nas. Przeszłość trzeba ożywiać, ożywiać cienie, dawać im swoją krew...”

Moja dorastająca córka Aleksandra, patrząc na moje odtwarzanie rodzimej historii, mawia do mnie: *Tato, kogo to obchodzi, to przeszło, jest nieważne, szkoda na to czasu*. Mogę Oli to wybaczyć - tak podpowiada jej młodziutka intuicja; młodość ciągnie ku przyszłości. Nawet można powiedzieć, że zapominanie jest czymś naturalnym, jak rozkład wszystkiego, co kiedyś żyło. Jednakże historia, o której starożytni Rzymianie

mawiali, że jest nauczycielką życia, jest tą składową kultury, która odwraca ten - zdawałoby się - naturalny porządek rzeczy, jakim jest pogrążanie w niepamięci.

Ale zstąpmy do Krasnegostawu. Rocznicę, te mniej lub bardziej okrągłe, są świętowane zawsze w ten sam sposób, zapewne sprawdzony. Główną ulicą przechodzi z roku na rok coraz mniejszy pochód. Oko widzi sztandary, mundury, garnitury, wieńce, ucho słyszy muzykę, ale umysł nie znajduje refleksji, gdyż często żadne słowa nie padają, jakby wszystko było już zamknięte, oczywiste. Młodzież idzie ta, która musi - harcerze, poczty sztandarowe. Jak będzie wyglądał w Krasnymstawie dzień pierwszego września gdy zabraknie kombatanów?

W ciągu ostatnich, poprzedzających rocznicę września dni zadałem w Krasnymstawie kilkunastu prominentnym osobom pytanie. Prosiłem o wymienienie z nazwiska chociaż jednej ofiary ostatniej wojny, mieszkańca Krasnegostawu. Pytałem prezesów, burmistrzów, przewodniczących partii, dyrektorów, historyka. Pomijam wielkie zaskoczenie pytaniem, co zapytywani werbalnie okazywali. Elita miasta, ludzie dojrzały, wykształceni, żyjący od dziesiątków lat w Krasnymstawie, rządzących miastem nie wyłączając, nie byli zdolni podać ani jednego nazwiska. Wstyd? Nie, to co prezentuje większość, w tym wypadku wszyscy, jest zwykłą normą, prawda, należy mieć nadzieję, że tylko krasnostawską. Historia nie jest ważna, to przeszłość. Tak, moja córka Ola miała rację. Według Herberta jest jak w zapleśniałym muzeum, bo zabrakło naszej krwi.

Jednak nie wszyscy są do nas podobni. W 1948 roku w Monachium ocalali krasnostawscy Żydzi, rozrzućeni po całym świecie, wydali jedną z pierwszych ksiąg pamięci - krasnostawską właśnie. W Izraelu, w mieście Hulon znajduje się pomnik z około trzema tysiącami nazwisk zabitych w Holokauście, są to wszystkie ofiary zagłady z jednego miasta. Wszyscy oni byli żydowskimi mieszkańcami Krasnegostawu. Dzisiaj my nie potrafimy podać ani jednego nazwiska ze znacznie mniejszej liczby, około 200 krasnostawskich ofiar ostatniej wojny. Stawiamy nowe pomniki nadal tylko symboliczne. W Niemczech i Austrii, w centrum każdej wsi znajdują się monumenty upamiętniające poległych w kolejnych wojnach, mieszkańców tych miejscowości. Z imienia, nazwiska, lat życia, daty i miejsca śmierci. W czasie ostatniego pobytu na Litwie, byłem pełen podziwu dla mieszkańców pewnego miasta, którzy w kilka miesięcy po odzyskaniu niepodległości w 1991 roku, postawili pomnik z nazwiskami wszystkich ofiar sowieckich represji, swoich pobratymców. My przez 20 lat odzyskania suwerenności, w Krasnymstawie na

tym polu nie zrobiliśmy NIC. Pomnik katyński na cmentarzu - symboliczny, mało czytelne jest kogo upamiętnia. Za komunę uhonorowano dwie ofiary, nadając ulice ich imienia. Ale gdy kiedyś zapytałem sześćdziesięciolatka, mieszkańca ulicy Heleny Wysockiej, kim była patronka jego ulicy, poradził mi zapytać kogoś starszego. Wolałem nie pytać.

Pierwsze 5 tygodni wojny obfitowało na naszym terenie w wiele tragicznych wydarzeń.

W tym roku mija 70 lat od pacyfikacji podkrasnostawskiej wsi Rońsko, w dniu 18 września 1939 roku. „Rycerski” Wehrmacht zastrzelił w niej 10 bezbronnych mężczyzn, spalił wieś. Przez całą okupację Rońsko wyglądało jak pogorzelsko - sterczące kominy spalonych chałup, ludzie mieszkający w stodółach, oborach, piwnicach.

Po wkroczeniu do Krasnegostawu, Niemcy zastrzelili w piwnicach kamienicy przy rynku kilku młodych żydowskich chłopców, którzy się tam ukryli. Ten fakt pozostaje praktycznie nieznanym.

Taka sama rocznica przypada dnia 19 września - bitwy na polach Kolonii Zastawie, największej w powiecie krasnostawskim. Zechcemy uświadomić sobie, że w ciągu kilku godzin zginęło w niej trzykrotnie więcej polskich żołnierzy, niż w ciągu kilku lat misji na wojnie w Iraku.

We wsi Baraki, szpica Wehrmachtu zastrzeliła dnia 20 września 1939 roku sześciu mężczyzn, mieszkańców tej wsi, w tym wójta gminy Siennica Różana, pochodzącego z Zakręcia, Stanisława Zadręga. Kilka lat później wystrój jego grobu będzie przyczyną tragicznej śmierci księdza Stanisława Galewskiego i męczeństwa Piotra Terebusa.

25 września minie 70 lat od bezprecedensowego zrywu mieszkańców wsi Suchodoły, w gminie Fajslawice, skierowanemu przeciw Wehrmachtowi. Zginął w niej inicjator pierwszej w krasnostawskim akcji zbrojnej, Tomasz Surma. Ten chłop-patriota, otwiera długą listę naszych bohaterów tej wojny. Czy zostanie uhonorowany chociaż w rodzinnej gminie?

Pod koniec września przed siedemdziesięciu laty wojska sowieckie zajęły powiat krasnostawski. Najdalej na zachód doszły do wsi Tarnawka, w gminie Zakrzew. W Izbicy radzieckiej oficer polityczny rzekł do zebranych tłumnie, zaskoczonych Polaków: *Polscy już nie!*

70 lat temu zamknięto na 5 lat Liceum i Gimnazjum imienia Władysława Jagiełły. Tablica pamiątkowa umieszczona na ówczesnym budynku szkoły nie zauważa tego doniosłego faktu, mówiąc, że w tym budynku gimnazjum i liceum miało siedzibę w latach 1917-1967. Tablica ufundowana przez absolwentów w dobrej wierze, zafalszowuje

historię, prawda że z ignorancji. Wziąwszy jednak pod uwagę wzrastającą liczbę fałszerzy i fałszerstw polskiej historii, należałoby to jak najszybciej zmienić.

Pod koniec października 1939 roku społeczeństwo krasnostawskie zorganizowało, już pod rządami wojskowych władz niemieckich, pogrzeb poległym polskim żołnierzom. Ekshumowano tych z Zastawia, Krupego, Siennicy Nadolnej, Topoli, Krakowskiego Przedmieścia i w wielkim uroczystym kondukcje odprowadzono na krasnostawski cmentarz. Sami Niemcy byli zaskoczeni rozmiarami tej cichej patriotycznej manifestacji, robili zdjęcia, wstrzymać tego jednak już nie mogli, wcześniej wydali urzędowe pozwolenie.

W nocy z 6 na 7 października 1939 roku, tuż po wycofaniu się Armii Czerwonej, w Żółkiewce dokonano pogromu na Żydach w odwecie za sprzyjanie Armii Czerwonej, zabijając 23 osoby. Podobny fakt, lecz na mniejszą skalę miał miejsce w Gorzkowie, w tych samych dniach.

Tych kilka przykładów niech świadczy o bogactwie rodzimej historii Września, w większości zapomnianej. Czy młodzież ma jej nigdy nie poznać? W podręcznikach tego przecież nie znajdzie.

Tu rodzi się pytanie jak w ogóle obchodzić nasze rocznice? To one są okazją do poznania tego, co czcimy. Niech będzie to asumpt do tego, aby szczególnie młodzież zapoznać z nieodległą, jedną z najbardziej tragicznych historią, często swoich dziadków. Czy nie powinno być to zadaniem samorządu, który jest gospodarzem terenu, spajającym niemal wszystkie dziedziny lokalnej społeczności? Zadaniem moralnym, powinnością wynikającą z potrzeby serca i rozumu, obowiązku patriotycznego wreszcie. Nie może być usprawiedliwieniem, że nie jest to zapisane w ustawach, uchwałach i w czym tam jeszcze. Winni to jesteśmy prochom tamtego pokolenia i tej ziemi, którą tak lubimy nazywać naszą małą Ojczyzną, wtedy kiedy toczą się wyborcze kampanie.

Skazany przez Niemców na śmierć 17-letni uczeń z Chełma, pisał w grypsie z Zamku Lubelskiego, tuż przed rozstrzelaniem: *Giną nas setki i tysiące Polaków. Na naszej krwi wyrośnie pokolenie silne jak dęby. A nazwiska nasze zostaną zachowane po wsze czasy, jako bohaterów.*

W Krasnymstawie, po upływie 65 lat od zakończenia wojny, można powiedzieć, że - poza dwoma wyjątkami - wszyscy inni, którzy oddali za nas życie zostali zapomniani. Czy na zawsze? - czas pokaże.

Leszek Janeczek



Jeszcze jeden niepublikowany wiersz Stanisława Bojarczuka

Stanisław Bojarczuk

Do Laury

Lauro! i ja pogrzebałem dziś swoja, Westalkę
A jam znalazł się w roli faktycznej wdowieńca
Tyś powzięła Chrystusa mieć za Oblubieńca
ja Muzę Euterpę na twoją rywalkę.

U kresu mej idylli - liryzmu szaleńca
soneciego turnieju kończącego walkę
jak Wokulski o Lalkę jak Jontek o Halkę
ostatecznie listki laura cykli wieńca

Tej która marnotrawcę życia przytuliła
domowego ogniska której iskra sniła
ostatecznej pielgrzymki dzisiaj grają dzwony

Lecz nie te które naszych młodości świtanie
grały przy Wszystkich Świętych śpiewanej litanji...
Lauro! pomnisz w Krzyżowych Dni poranek wonny?

W wszechludzkości wydarzeń wulkany i gromy
jakowe krakatoę na poły rozwiały
następnie lury morskie które się w ląd wdarły
poczyniły w mieszkańcach straszliwe pogromy

Takoż w epoce działań mych me wątle bary
rzucane bałwanami w łódce bez obrony
Aż się przybliżył termin następstw nieuchronny
w którym złoży się życia swego śmierci dary

Lauro! w wzór twój bigocjom składam wizyty
kiedym za Tobą zdążał obłudnik pjetyści
by z Tobą wizerunek odwiedzić patroni

Zdało się też kostjummy, rojal, rekwizyty
tylko że mniej są zdolni komedij artyści...
Lauro! wybac mi chłodno sączonej ironji...

Rońsko 18 XI 1869-1949

Ten wiersz Stanisław Bojarczuk napisał tuż po śmierci swojej żony Agaty Bojarczuk z domu Chomik, z którą wspólnie przeżył prawie 59 lat. Ich ślub miał miejsce w dniu 2 lutego 1891 roku w kościele pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie.

Rękopis tego wiersza podarował mi nieżyjący już Jerzy Tyburek, który był cioteczynym bratem Józefa Nikodema Kłosowskiego, a zarazem autorem ostatnich zdjęć Bojarczuka wykonanych latem 1955 roku. Pisownia wiersza zgodna jest z oryginałem.

Jan Henryk Cichosz

Kazimierz Stolecki

Początki szkoły parafialnej (później przykatedralnej) w Krasnymstawie

Początek działalności szkoły parafialnej w Krasnymstawie datuje się na rok 1407. A już kilka lat później, w *Album studiosorum Akademii Krakowskiej w latach 1413-1430* zapisano się z diecezji [chełmskiej] kilku scholarzów, a mianowicie: dwóch z **Krasnego Stawu** (1418 i 1420), dwóch z **Rubieszowa** (1419 i 1430), jeden z **Rudnika** (1427), jeden z **Suchego Dołu** (1419), trzech z **Wojławic** (1414) i jeden z **Szczebrzesina** (1413). Z **Chełmu** wyruszyło czterech scholarzów: po jednym w r. 1445-6 i 1500-1, a dwóch w r. 1501. Z **Rubieszowa** sześciu uczniów przybyło do Krakowa. Z **Turobina** różnemi czasy wyjeżdżała młodzież na wyższe studia do Krakowa. **Krasny Staw** stał się stolicą biskupstwa od r. 1490 i wysłał odąd stosunkowo dużo scholarzów na studia wyższe do Krakowa, a i przed r. 1490 nie brakowało w krakowskim studjum generalnem młodzieży z **Krasnego Stawu**. W tabeli pokazano liczbę krasnostawian studiujących w Krakowie w wieku XV i na początku wieku XVI:

Rok	1418	1420	1455	1467	1487	1488	1490
Liczba	1	1	1	2	1	1	2
Rok	1493	1497	1498	1502	1504	1507	1509
Liczba	1	1	1	1	1	2	1

Warto wspomnieć nazwiska pierwszych studentów z Krasnegostawu: Thomas de Crasnistaw (1418), Martinus Nicolai de Crasnistaw (1420), Johannes de Crasnystaff (1489), Nicolaus de Crasnistaw (1507). W czasie późniejszym: Johannes Martini (1518), Thomas (1536 zmarł w Krakowie na zarazę), Valentinus a Crasnystaw (1537), Stanislaus Crasnostaviensis (1598), Stanislaus Petri, Mathias, Sebastianus Nicolaus Chodoriski, Stanislaus Andreae, Andreas Johannis.

Krasnostawska szkoła przykatedralna była w wieku XVI głównym ośrodkiem oświaty w ziemi chełmskiej. Z lat 1554-1557 pochodzi zezwolenie królewskie na zakup domów w celu uczynienia fundacji dla biednych scholarów. *W Krasnymstawie, przez dość długi przeciąg czasu, była kolonia akademii krakowskiej. Kolonia ta kwitnęła w 16-tym wieku. Opiekował się kolonią szczególnie Jakób Uchański, biskup chełmski. W XVI wieku szkołę ukończyło kilku ludzi wybitnych: Jakub Uchański (1502-1581), późniejszy biskup chełmski i prymas Polski, Józef Wereszczyński (1530-1598), późniejszy biskup kijowski, renesansowy pisarz polityczny, uczył się w szkole katedralnej, gdzie później był bakałarzem, a przyjąwszy szatę duchowną sprawował przy katedrze urząd kaznodziei. W tej szkole uczył się także Jan Sariusz Zamojski (1542-1605), a jego nauczycielem był Wojciech Ostrowski, sławny nauczyciel, człowiek bardzo wykształcony, rektor szkoły w Krasnymstawie, kolonii Akademii Krakowskiej. I tu sławny Jan Zamojski, oddany na nauki od ojca, tak dalece w nich postąpił, iż wprost z szkoły krasnostawskiej na wyższe nauki udał się do Paryża. Istnieje pogląd, że również Jan Kochanowski (1530-1584) pierwsze nauki odbywszy w Krasnymstawie, przed wystąpieniem za granicę około r. 1550. Według innych, młody Jan uczył się w szkole w Policznej.*

Przytoczone fakty świadczą o znakomitym poziomie nauczania krasnostawskiej szkoły, której absolwenci z powodzeniem studiowali na najlepszych uniwersytetach: Akademii Krakowskiej, krakowskim studjum *generalnem* i paryskiej Sorbonie. Podziw i szacunek budzi wielka siła charakteru uczniów, ich determinacja i wola zdobywania wiedzy w czasach, kiedy sama tylko podróż do Krakowa, jak się wydaje, była nie lada wyczynem.

Kazimierz Stolecki

KSIAŻKI NADESŁANE

- Marcin Wroński, *Komisarz Maciejewski. Kino Venus*, Red Horse, Lublin 2008, ss. 378;
- Grzegorz Jacek Pelica, *Śladami zapomnianego piękna. Włodawa i okolice*, Polianna, Krasnostaw-Włodawa 2009, ss. 40.

Agnieszka Szykuła

Nieistniejąca cerkiew greckokatolicka pw. św. św. Kosmy i Damiana w Orłowie Murowanym

Miejscowość Orłów Murowany, w której notowana była greckokatolicka parafia pw. św. św. Kosmy i Damiana powstała pod koniec XVIII wieku, w wyniku podziału wsi Orłów na Orłów Drewniany i Orłów Murowany. Począwszy od 1392 roku, kiedy Orłów po raz pierwszy był wymieniany w źródłach, obie miejscowości miały wspólnego właściciela. We wspomnianym roku 1392 wieś należała do Dymitra z Goraja i wchodziła w skład Księstwa Bełskiego należącego do Ziemowita IV. Podział miejscowości na Orłów Drewniany i Orłów Murowany odnotowywany jest w źródłach od 1793 roku.

1. Dzieje parafii i dzieje kolejnych cerkwi

W XVI wieku istniała w miejscowości Orłów cerkiew prawosławna, zamieniona pod koniec XVII wieku na greckokatolicką. W roku 1720 notowana była w Orłowie parafialna cerkiew greckokatolicka pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana. Parafia pod tym wezwaniem istniała do początku XIX wieku. Wobec braku funduszy, na początku lat czterdziestych XIX wieku parafię orłowską afiliowano do parafii w Tarnogórze, natomiast w roku 1845 parafia Orłów przyłączona została do parafii Sulmice.

Unicka parafia w Orłowie usytuowana była na pograniczu dwóch dekanatów: zamojskiego i krasnostawskiego, co miało wpływ na zmiany przynależności administracyjnej. W pierwszych latach XIX wieku parafia ta była przyłączona do dekanatu krasnostawskiego. Natomiast kilka lat przed zniesieniem unii ponownie przynależała do dekanatu zamojskiego. W roku 1875 greckokatolicką parafię w Orłowie zamieniono na parafię prawosławną.

Trudno ustalić, czy wizytacja z 1720 roku opisuje świątynię wzmiankowaną w źródłach w XVII wieku. Cerkiew w roku 1720 opisywana jest jako w *ścianach i dachach dobra*. Dwadzieścia lat później świątynia posiadała w *ścianach i dachach uszczerbki*. Przed rokiem 1759 budowlę tę gruntownie remontowano, jednak już w roku 1779 ponownie potrzebowała ona reperacji dachów. W roku 1836 cerkiew była już w bardzo złym stanie, w *ścianach po większej części pogniła, drzwi zdezelowane [...] zupełnie zdezelowana podłoga, jako też sufit całkowicie zgniły*. Przypuszczalnie obiekt przestał istnieć na początku lat czterdziestych XIX wieku.

Przypuszczalnie między 1850 a 1875 rokiem wzniesiono ostatnią cerkiew unicką w Orłowie, znaną z drzeworytu Michała Elwira Andriollego. Świątynia ta została całkowicie zniszczona w 1915 roku podczas I wojny światowej.

2. Opis cerkwi (XVII w. - ok. 1840 r.) i jej wyposażenie

Drewniana cerkiew pw. św. św. Kosmy i Damiana zlokalizowana była na początku wsi, przy trakcie prowadzącym od Stryjowa do Orłowa. Za cerkwią znajdowały się budynki mieszkalne. Trudno ustalić, czy była orientowana. Na jej bryłę składały się przypuszczalnie trzy człony: kruchta z umieszczoną nad nią kopułką z dzwonem w środku, nawa oraz prezbiterium. Kruchta, nad którą znajdował się chór, posiadała tę samą szerokość, co nawa. Do lewej strony prezbiterium w 1836 roku dobudowano zakrystię. Ściany z zewnątrz oszalowano. Elewacja frontowa była jednoosiowa, a elewacje boczne przypuszczalnie dwuosiowe, jedna para okien oprawionych w drewniane ramy znajdowała się w nawie, a druga w prezbiterium. Cerkiew posiadała trzy otwory drzwiowe: pierwsze drzwi - główne - umieszczono na osi elewacji frontowej *na zawiasach żelaznych*, drugie - z kruchty do nawy oraz trzecie prowadzące z zakrystii do prezbiterium. Świątynię przykrywał słomiany dach dwuspadowy. Podłoga w każdej części była drewniana.

W 1720 roku wyposażenie cerkwi w szaty, naczynia i księgi liturgiczne było skromne. Wśród rekwiizytów uwagę zwracają jedynie wota: dwie pary korali i *dwie nóżki*.

W drugiej połowie XVIII wieku po raz pierwszy wymieniany jest ołtarz główny oraz dwa boczne. Pod koniec lat osiemdziesiątych XVIII wieku odnotowano nowe szaty liturgiczne, a wśród nich uwagę zwraca *antepedium na płótnie malowane*.

W 1836 roku znajdował się w cerkwi ołtarz główny *po części malowany farbą złotą z umieszczonym na mensie malowanym na desce obrazem Matki Boskiej przekrytym sukienką*. Ołtarze boczne były w 1836 roku całkiem zniszczone. Oprócz obrazu w ołtarzu głównym, w cerkwi znajdowało się jeszcze sześć innych wizerunków zawieszonych na ścianach.

W latach czterdziestych XIX wieku, wskutek znacznego zniszczenia świątyni, część jej wyposażenia złożono w cerkwi w miejscowości Żdanne.

3. Opis cerkwi (między 1850 a 1875 - 1915 r.)

Widok cerkwi w Orłowie znany jest z drzeworytu Michała Elwira Andriollego. Przedstawiona na nim została niewielka świątynia usytuowana na wzgórzu. Budowla znajdowała się w południowej części Orłowa Murowanego. Trudno określić, czy cerkiew była orientowana. Przedstawiała typ jednonawowej drewnianej świątyni z dwuspadowym dachem, o konstrukcji zrębowej wzmocnionej lisicami, z ceglami widocznymi na narożach. Na bryłę świątyni składała się kwadratowa nawa oraz nieco węższe i niższe prezbiterium na rzucie prostokąta. Elewacja frontowa z prostokątnym otworem drzwiowym i kwadratowym niewielkim oknem powyżej, była jednoosiowa, a elewacje boczne - czteroosiowe. W nawie oraz prezbiterium znajdowały się po dwa prostokątne okna oprawione w drewniane ramy. Świątynię przykrywał wysoki, gontowy dach z półszczytowym daszkiem okapowym, niższym nad prezbiterium. Boczna ściana kościoła podparta była belkami.

Na wzgórzu poniżej świątyni usytuowana była brogowa dzwonnica z dwoma drewnianymi słupami kryta czterosпадowym daszkiem zwieńczonym łacińskim krzyżem. W środku dzwonnicy mieściły się dwie sygnaturki.

Obecnie na miejscu, gdzie stała cerkiew znajduje się dom mieszkalny, a teren ten nazywany jest „popówką”.

Agnieszka Szykuła



Orłów Murowany. Cerkiew, mdz. 1850-1875 - 1915 r., rys. M. E. Andriolli, 1887 r.; L. Zalewski, *Z epoki renesansu i baroku*, Lublin 1949, s. 68.

Grzegorz Polikowski

Do końca wierni...

Prawdę powiedziawszy niezbyt lubię zwrot „żołnierze wyklęci”, który jest od dłuższego czasu używany dla określenia patriotów walczących po roku 1944 z sowiecką okupacją Polski. Nie twierdzę, że nie niesie on w sobie pewnego ładunku przekazu historycznego z tamtych dni (a raczej lat), ale wykazuje trochę jednostronny ogląd antykomunistycznego podziemia. Chyba nie ma takiego zwrotu czy jednego słowa, które oddawałoby całą złożoność postaw i motywacji Polaków walczących z sowieckim okupantem oraz zainstalowanym przez niego reżymem. I właśnie dlatego chyba najbardziej przemawia do mnie określenie, że „do końca byli wierni złożonej przysiędze i ojczyźnie”.

Do wielu żołnierzy walczących z komunizmem na polskich ziemiach ta „wierność” pasuje wyjątkowo. Można by w nieskończoność wymieniać tych, którym to miano należałoby przypiąć do piersi, prawie tak samo jak najwyższe odznaczenie, jak *Virtuti Militari*. Niewątpliwie jednym tchem trzeba by, między innymi, wymienić choćby trzech majorów: „Łupaszkę”, „Zaporę”, „Ognia”. Takich jak oni było niewielu, działających z takim rozmachem i tak skutecznie. Tacy, oraz dowodzący mniejszymi oddziałami, działali na całym terytorium ówczesnej, czyli pojałtańskiej Polski, chociaż ich działania sięgały też na zrabowane przez Związek Sowiecki polskie Kresy Wschodnie. Antykomunistyczna partyzantka nękała sowieckiego okupanta oraz ich polskojęzycznych pomagierów spod znaku PPR, a później PZPR, od Tatr, poprzez Lubelszczyznę, Podlasie, Białostocką, Warmię i Mazury, Polskę „centralną”, po Pomorze i Ziemie Zachodnie tzw. „Odzyskane”.

Chciałbym się tutaj skupić na przedstawieniu jednej z wyżej wymienionych postaci, a mianowicie na majorze Zygmuncie Szendzielarzu, „Łupaszce”. Żeby zrozumieć fenomen tego dowódcy, którego oddziały prowadziły walkę od roku 1943 do lat pięćdziesiątych, początkowo na Wileńszczyźnie, a następnie na prawie całym terytorium PRL-u, trzeba sięgnąć do jego dzieciństwa, młodości oraz służby w pułku ułanów, a także okresu, gdy dowodził 5. Wileńską Brygadą AK w bojach z partyzantką sowiecką, Niemcami i Litwinami w szeroko pojętych okolicach Wilna.

Zygmunt Edward Szendzielarz urodził się w Stryju 12 marca 1910 roku. Był ostatnim dzieckiem Karola i Eufrozyny (z d. Osieckiej). Dom miał duży wpływ na kształtowanie się młodego człowieka. Zygmunt miał dwie siostry oraz czworo braci, z których

Marian oraz Rudolf w roku 1919 brali udział w obronie Lwowa, podczas której Rudolf poległ. Drugi z braci - Marian, który otrzymał *Virtuti Militari*, a następnie ukończył Centrum Wyszczolenia Kawalerii w Grudziądzu i został oficerem 20. Pułku Ułanów, był wzorem godnym naśladowania dla młodziutkiego Zygmunta. On sam, w wieku siedmiu lat rozpoczął naukę w szkole powszechnej we Lwowie, gdzie też zaczął uczęszczać do gimnazjum. Następnie przeniósł się do gimnazjum w Stryju, gdzie zamieszkał w przyszkolnej bursie. Podczas nauki gimnazjalnej przeszedł kurs przysposobienia wojskowego w 53. Pułku Piechoty, ukończony w czerwcu 1930 roku. W 1931 roku ukończył gimnazjum i zaraz po opuszczeniu jego murów związał się na zawsze z Wojskiem Polskim. W listopadzie 1931 roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, gdzie w marcu 1932 roku złożył przysięgę, a następnie ukończył kurs unitarny w stopniu kaprała podchorążego. Jego dowódca z tej szkoły pisał o nim: „Charakter wyrobiony: wesoły, czasem porywczy, o bardzo dużej ambicji. Bardzo pewny siebie, wybitnie koleżeński i ofiarny. Bardzo karny, sumienny i obowiązkowy. W służbie wojskowej bardzo zamiłowany. Energia i wytrzymałość bardzo duża”. Myślę, że opinia ta doskonale oddaje charakter Zygmunta Szendzielarza, co będzie się uwidaczniało w późniejszej służbie i działalności w ogóle.

Następnie zakwalifikował się do tej samej co brat szkoły, czyli do CWK w Grudziądzu na dalszą dwuletnią naukę, którą rozpoczął w październiku 1932 roku. Już wtedy ujawniły się jego wybitne zdolności w dziedzinie sportów militarnych - jeździectwa oraz szermierki. Z tamtych czasów datują się jego pierwsze sukcesy na tej niwie. Później, już podczas służby w jednostce liniowej, kontynuował tę pasję z bardzo dobrym skutkiem.

Jego przełożony w podchorążówce, rtm. Władysław Piotrowski wypowiedział o nim następujące zdanie: „Jeśli chodzi o wyszkolenie kawalerskie, nie był wielkim znawcą teorii wojskowej. Nie tkwił nosem w regulaminach i książkach. Był natomiast świetnym w takich dziedzinach jak służba polowa, wyszkolenie bojowe. Był typem żołnierza w każdym calu, był urodzonym kandydatem na dowódcę. Na wspólnych ćwiczeniach służby polowej starszego i młodsze roczniki imponował kolegom talentem dowódczym(...). Naturę posiadał wybujałą, czasem do przesady. W sposobie życia był nierówny, wybuchowy, raptus”.

Centrum Wyszczolenia Kawalerii ukończył w sierpniu 1934 roku z 59. lokatą (na 68 elewów) z wynikiem dobrym. Awansowany do stopnia podpo-

rucznika otrzymał przydział do 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie, gdzie zameł-dował się 11 sierpnia i skierowany został do 4. Szwadronu. Na początku 1937 roku (według innych źródeł - na początku 1938 roku) zostaje awansowany na porucznika, ale już od ponad pół roku dowodzi 2. Szwadronem Pułku. Poza służbą aktywnie uprawiał sporty - był w składzie hipicznej grupy „Militari”, a także członkiem sekcji szermierczej. W zawodach hipicznych wielokrotnie zajmował najwyższe miejsca. W 1937 roku przełożeni pisali o nim: „Oficer pełen inicjatywy i połotu w służbie. Bardzo obowiązkowy, pilny, sumienny. W postępowaniu prosty i szczery, w pracy energiczny, samodzielny i ambitny. Inteligentny, myśli jasno i logicznie. Charakter niezupełnie jeszcze wyrobiony, nieco porywczy i gwałtowny. Fizycznie silny i wytrzymały”.

W 1938 roku, po nieszczęśliwym upadku z konia, doznał urazu kręgosłupa. Hospitalizacja trwała pół roku, a skutki tego wypadku Zygmunt Szendzielarz odczuwał do końca życia. Między innymi nie lubił chodzić, gdyż długie marsze sprawiały mu fizyczny ból. W roku następnym zawarł związek małżeński z Anną Swolkiem wywodzącą się ze znanej na Wileńszczyźnie, ziemiańskiej rodziny.

4 Pułk Ułanów Zaniemeńskich wchodził w skład Wileńskiej Brygady Kawalerii, która z kolei działała w składzie Armii „Prusy”. Cały Pułk, a z nim 2. Szwadron został załadowany w nocy z 29 na 30 września na wagony i wysłany w kierunku Warszawy. Wyładowanie pododdziałów nastąpiło w okolicach Koluszek i Rogowa. Początkowo Pułk bronił Piotrkowa Trybunalskiego, a następnie przepraw przez Wisłę pod Kozienicami, gdzie Szwadrony 2. i 4. zniszczyły dwa czołgi i motocykl. Pułk przeprawił się wpław i szwadron por. Szendzielarza, jako jedyny dokonał tego w całości i bez strat. Pozostałe szwadrony miały bardzo duże ubytki w ludziach, koniach i sprzęcie. Przez kolejnych kilkanaście dni 2. Szwadron, stanowiący trzon resztek kawalerii Wileńskiej BK prowadził walki osłonowe i mniejsze potyczki. 23 września jednostka (pułk zbiorczy) osiągnęła Majdan Sopocki, gdzie została podporządkowana Grupie Operacyjnej Kawalerii gen. Władysława Andersa. Po kolejnych kilku dniach walk, 27 września, dowódca GO Kawalerii, pod naciskiem przeważających wojsk niemieckich i sowieckich rozwiązał Grupę, wydając polecenie przedzierania się na Węgry. Tego samego dnia skapitulowały (kapitulacja honorowa) resztki 4. Pułku. Por. Zygmunt Szendzielarz za męstwo w całej kampanii oraz przeprowadzenie szwadronu z niewielkimi stratami przez przeprawę pod Magnuszewem został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V Klasy.

Z niewoli ucieka, a następnie przedostaje się do Lwowa. Następnie, po nieudanej próbie przejścia przez Węgry do Francji, powraca do Wilna. Gdy nie powiodły się kolejne próby przedostania się do wojsk tworzących się na Zachodzie, postanowił pozostać na miejscu. Najprawdopodobniej w pierwszej połowie 1940 roku przystąpił do tworzącej się od jakiegoś czasu konspiracji. Imał się w tym czasie różnych zajęć - tak w samym Wilnie, jak i w jego okolicach. Rozpoznany jako oficer, w drugiej połowie 1943 roku poświęcił się wyłącznie pracy podziemnej. Od samego początku używał pseudonimu „Łupaszko”. Był to ukłon w stosunku do bohaterskiego obrońcy Wilna przed bolszewikami z 1918 roku, dowódcy konnego oddziału Samoobrony Wileńskiej, rotmistrza Jerzego Dąmbrowskiego (notabene, w Kampanii Wrześniowej dowódcy mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”), który właśnie wtedy przyjął miano „Łupaszko”.

W sierpniu 1943 roku otrzymał rozkaz objęcia dowództwa nad oddziałem partyzanckim ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”. W czasie, gdy zmierzał do bazy oddziału, nad jeziorem Narocz, właśnie trwała akcja sowieckich partyzantów. Polegała ona na rozbrojeniu, a następnie podzieleniu na trzy części polskiego oddziału. Jedna część została rozpuszczona do domów, z drugiej utworzono oddział podporządkowany Sowietom, a trzecią, wraz z dowódcą rozstrzelano. Por. Szendzielarz miał wiele szczęścia z powodu kilkugodzinnego spóźnienia! Niewątpliwie od tego czasu datuje się jego całkowita niechęć do bolszewików. Z tych, których puszczono do domów i z żołnierzy siłą wcielonych do komunistycznego oddziału, którzy zdezerterowali rozpoczął por. „Łupaszko” tworzyć od nowa partyzancki oddział, po pewnym czasie przemianowany na 5. Wileńską Brygadę Armii Krajowej (styczeń 1944 roku). Odtwarzanie i konsolidacja przebiegały dość sprawnie i na przełomie września i października w linii było już około stu żołnierzy. Mniej więcej w tym czasie został dokonany podział całości na plutony, następnie przemianowane na szwadrony - dla podkreślenia kawalerskich tradycji dowódcy. Takie nazewnictwo przetrwało do końca działalności brygad. Chciałbym tutaj wspomnieć o dwu sprawach. Pierwsza to fakt, że ci z oddziału „Kmicica”, którym nie udało się wydostać z sowieckiej bazy (a było ich około 30 osób) zostali rozstrzelani, a druga to okoliczność, iż odtwarzanie grupy przez „Łupaszkę” odbywało się w niezbyt sprzyjających okolicznościach, czyli przy ciągłych potyczkach i walkach z partyzantką sowiecką.

Od samego początku Brygada musiała walczyć z trzema wrogami - partyzantką sowiecką, Niemcami i Litwinami (policją litewską). Już wtedy taktyka samodzielnego operowania przez poszczególne pododdziały Brygady, wprowadzona (i do samego końca kontynuowana) przez por. „Łupaszkę” dawała pożądany skutek - przeciwnicy mieli złudne wrażenie co do liczebności polskich partyzantów, a te mogły jednocześnie wykonywać różne zadania.

Na początku 1944 roku, w uznaniu jakości dowodzenia oraz dokonań Brygady por. Zygmunt Szendzielarz został odznaczony Krzyżem Walecznych. W tym też czasie miały miejsce rozmowy (3 czy 4 spotkania zakończone odmową współpracy) przedstawicieli Okręgu Wileńskiego AK z jego dowódcą płk. Krzyżanowskim „Wilkiem” ze stroną niemiecką na temat zawieszenia broni, z których dowódca 5. Brygady brał udział tylko w pierwszej, ale na tej podstawie, podczas „procesu” komuniści zarzucali mu współpracę z Niemcami.

W tym czasie miały też miejsce liczne bitwy i potyczki staczane przez 5. Brygadę. Do najbardziej znanych należą bitwy z kompanią niemiecko-ukraińską w Worzianach (styczeń 1944) oraz z sowieckimi brygadami partyzanckimi we wsi Radziusze (luty 1944).

W kwietniu, przez przypadek, zostaje Zygmunt Szendzielarz zatrzymany przez policję litewską i przekazany do wileńskiego, a następnie kowieńskiego gestapo. Prowadzono tam z nim rozmowy między innymi na temat zaprzestania wzajemnych walk i wspólnej akcji przeciwko partyzantce komunistycznej, czyli sowieckiej. W tym czasie żołnierze Brygady rozpoczęli działania mające na celu łapanie jak najwyższych rangą urzędników okupacyjnej administracji oraz oficerów Wehrmachtu jako potencjalnych zakładników, których można by było wymienić na aresztowanego dowódcę. Ostatecznie, nie uzyskując od „Łupaszki” żadnych zobowiązań, Niemcy wypuścili go, mając nadzieję, że będą prowadzone dalsze rozmowy. Ten epizod też został wykorzystany przez komunistyczną propagandę jako kolejny dowód na współpracę wileńskiego AK (oraz samego „Łupaszki”) z niemieckim okupantem. Jednak takie wnioski były zbyt daleko idące i w sposób ewidentny krzywdzące dowództwo AK, ale komunistom to oczywiście nie przeszkadzało.

Pod koniec maja 1944 roku dwa szwadrony Brygady ostrzelały we wsi Gliniszki patrol litewskiej policji, w wyniku czego 4 Litwinów zginęło, a 2 zostało rannych. W odwecie za tę akcję, dowódca 258. Batalionu Policyjnego, por. Polekauskas, wydał rozkaz wymordowania polskich pracowników majątku Gliniszki. Został tam też zamordowany Władysław Komar (ojciec znanego kulomioty, ściśle powiązany z siatką AK

na tym terenie), który był administratorem między innymi tego majątku. Gdy wiadomość o tym mordzie dotarła do 5. Brygady, jej dowódca (po uzgodnieniu z przełożonymi) wydał rozkaz podjęcia kroków odwetowych. Zaatakowano wieś Dubinki, w dużej części zamieszkałą przez policjantów litewskich i ich rodziny. Zginęło tam 27 osób, w tym poza funkcjonariuszami policji i konfidentami, niestety też kobiety i dzieci. Akcja miała szerszy wymiar - poza wymienionymi działaniami przeprowadzono kilkudniowe manifestacje (rajdy) zbrojne po terenach zdominowanych przez żywiół litewski.

Wiosenna ofensywa armii sowieckiej wymusiła wcześniejsze niż planowano przystąpienie AK-owskiej (Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego) partyzantki do realizacji akcji „Burza”. Tutaj jest pewna niejasność. Według jednych źródeł dowódca 5. Brygady miał zgodę przełożonych, a według drugih - samowolnie nie wykonał rozkazu udziału w zdobywaniu Wilna. Jednak najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń była taka, że rotmistrz Szendzielarz (tuż przed samą „Burzą” dostał „Łupaszko” awansowany na stopień rotmistrza), mając złe i bardzo złe doświadczenia w kontaktach z sowietami, oraz mogąc się obawiać z ich strony niezbyt „miłych” reperkusji tych kontaktów, uzyskał aprobatę dla planu wyłączenia Brygady z „Ostrej Bramy” (kryptonim zdobywania Wilna w ramach akcji „Burza”) lub też nie otrzymał w ogóle takiego rozkazu. Ostatecznie, manewrując pomiędzy oddziałami sowieckimi i niemieckimi jednostka dotarła w okolicę Grodna do kompleksu Puszczy Grodzieńskiej. Tam Brygada została otoczona przez Sowietów i wezwana do stawienia się w wyznaczonej, pobliskiej wiosce. Rotmistrz wysłał tam swój pododdział konny, a pozostałą część Brygady rozformował, zwolnił z przysięgi i polecił wracać na Wileńszczyznę albo kontynuować w małych grupkach marsz w kierunku zachodnim. To drugie rozwiązanie wybrała większość kadry dowódczej. Licząca około 20 osób grupa złożona z oficerów i żołnierzy dotarła do „linii Curzona” w połowie sierpnia. Następnie został nawiązany kontakt z Komendą Białostockiego Okręgu AK. Pomimo licznych akcji przeciwpartyzanckich prowadzonych przez NKWD, oddział „Łupaszki” rósł w siłę i w październiku-listopadzie posiadał w swych szeregach 30-40 żołnierzy. W listopadzie 1944 roku Zygmunt Szendzielarz został awansowany do stopnia majora służby stałej przez Komendanta Białostockiego Okręgu AK ppłk. Władysława Liniarskiego „Mścisiawa”.

Tutaj należałoby przerwać „drugowojenny” życiorys majora „Łupaszki”. Praktycznie od tego momentu zaczyna się jego jednokierunkowa walka z sowieckim najeźdźcą i instalowanym przez niego systemem komunistycznym oraz polskimi re-negatami z PPR.

Na przełomie stycznia i lutego, już po oficjalnym rozwiązaniu Armii Krajowej, któremu to rozkazowi komendant Okręgu Białostockiego AK ppłk. „Mścislaw” się nie podporządkował, mjr. „Łupaszko” został mianowany „komendantem partyzantki Okręgu”. Trwało też szkolenie nowych „rekrutów” zgłaszających się do 5. Brygady, która w marcu była prawie gotowa do wyjścia w pole w celu podjęcia walki z komunistycznym reżimem. W kwietniu odbyła się koncentracja całego oddziału we wsi Oleksin. Poza Majorem stawili się: por. „Nowina” (Lech Beynar, później znany jako Paweł Jasienica), ppor. „Zaja” (Jan Zaleski), ppor. „Zygmunt” (Zygmunt Błazejowicz), oraz podoficerowie: „Żelazny” (Zdzisław Badocha), „Lufa” (Henryk Wieliczko), „Zeus” (Leon Smoleński). Później dołączyli por. „Mścislaw” (Marian Pluciński) oraz ppor. „Bury” (Romuald Rajs). Oddział był w dyspozycji Komendy Okręgu i miał operować na obszarze Inspektoratu Podlaskiego. W tym okresie cała Brygada była umundurowana dość jednolicie - przeważały mundury „berlingowskie” jednak dystynkcje, rogatywki z orzełkami i oznaczenia dystynkcji były z okresu II Rzeczypospolitej. Dodatkowym wyróżnikiem żołnierzy Brygady był ryngraf z Matką Boską Ostrobramską noszony nad lewą kieszenią kurtki mundurowej.

W tym okresie walka przybrała formy likwidacji wszystkich funkcjonariuszy NKWD i Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego (a takimi często byli członkowie PPR) oraz ich agentury. Pozbawianie życia przedstawicieli innych formacji (żołnierzy Armii Czerwonej, LWP, KBW czy MO) miało miejsce tylko podczas potyczek i większych starć, w których brali oni udział. Te zasady obowiązywały do końca działalności 5. i 6. Wileńskich Brygad. Nie atakowano większych zgrupowań sił komunistycznych, mniejsze atakując bezpardonowo. Dokonywano też likwidacji skazanych wyrokami sądów kolaborantów oraz pospolitych bandytów.

Taktyka działania była taka sama jak na Wileńszczyźnie (też praktykowana do końca działalności podległych „Łupaszce” formacji) - szwadrony działały samodzielnie, a cała brygada spotykała się na wcześniej wyznaczonych koncentracjach. Oddział cały czas się rozrastał, między innymi zgłaszały się całe pododdziały dezertów z LWP (np. 46 osób z 6. Zapasowego Pułku Piechoty z Torunia, czy 25-osobowy oddział z Samodzielnego Batalionu Ochrony Lasów Państwowych przyprowadzony przez ppor. „Burego”) oraz pojedynczy żołnierze z obszarów Wileńszczyzny jak i z miejscowej AK. Do lata oddział liczył już około 200 żołnierzy. Był więc poważną siłą bojową na tym terenie. Na uzbrojenie składały się między innymi 33 elkaemy i erkaemy.

Sam dowódca przebywał najczęściej przy szwadronie 4. dowodzonym przez por. „Mścislawa”. Wszystkie szwadrony były w ciągłym ruchu i praktycznie nie było dnia, aby nie dały znać o swojej sile - rozbrajanie posterunków MO i SOK oraz urzędów gminy, walki z grupami operacyjnymi KBW, MO, NKWD, zasadzki na transporty samochodowe z sowieckim zaopatrzeniem lub szabrem wywożonym do bolszewii, były na porządku dziennym. W odwecie sowieccy okupanci oraz ich polskojęzyczni pomagierzy pacyfikowali wsie (które m.in. palili), w których zatrzymali się partyzanci.

W sierpniu, podczas koncentracji we wsi Czaje-Wólka do Brygady dołączyły resztki rozbitego oddziału partyzanckiego pod dowództwem ppor. Władysława Łukasika „Młota”. Grupa ta została wcielona do Brygady i przydzielona do 1. Szwadronu dowodzonego przez por. „Zygmunta”, z tym że zachowała dużą autonomię. I to właśnie ten zespół (1. Szwadron plus 20 żołnierzy „Młota”) w ciągu najbliższego czasu zapisał piękną kartę w historii walki z komunizmem na terenie Podlasia.

18 sierpnia oddział ten (liczący wówczas łącznie około 100 żołnierzy) został zaatakowany przez ekspedycję karną składającą się z kompanii NKWD, funkcjonariuszy PUBP z Bielska Podlaskiego oraz plutonu I DP im. Tadeusza Kościuszki w miejscowości Miodusy-Pokrzywne. Grupa ta jeździła po wioskach, wytapując sprzyjających partyzantom mieszkańców i na miejscu, po ogłoszeniu „wyroku” ich rozstrzeliwując. Trzeba tutaj dodać, że w skład tejże „ekspedycji” wchodził sędzia i prokurator sowiecki. Dwugodzinne starcie przyniosło całkowity pogrom komunistycznemu oddziałowi. Zginęło 30-50 żołnierzy NKWD i LWP, jak też dowodzący tą grupą mjr Gribko, sędzia i prokurator oraz trzech pracowników PUBP z Bielska Podlaskiego. 1. szwadron stracił 8 zabitych i 10 rannych.

W tym okresie, oprócz wymienionych bitew, wszystkie szwadrony Brygady brały udział w mniejszych walkach z oddziałami NKWD, KBW i LWP. Wykonywały wyroki sądów polowych na konfidentach (NKWD i UB), tępiły pospolity bandytyzm (również poprzez wykonywanie wyroków), atakowały grupy sowieckich żołnierzy pędzących zrabowane bydło i wiozących inne mienie w kierunku „ojczyzny proletariatu”, jak też wiele innych akcji „czyszczących” teren z komunistycznej agentury.

Podczas ostatniej koncentracji, w dniu 7 września, na którą stawiono się około 300 żołnierzy, rozpoczął się proces demobilizacji Brygady. Szwadrony zostały zdemobilizowane całkowicie (4. szwadron) lub też częściowo (szwadron 1. i 2.). Dowódca 2. szwadronu ppor. Romuald Rajs „Bury”

z częścią żołnierzy przeszedł do NZW, a dowództwo nad szwadronem 1. objął dotychczasowy zastępca ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor” (por. „Zygmunt” w październiku opuścił oddział), a jego zastępcą został pchor. „Młot”. Szwadron ten stał się załącznikiem 6. Wileńskiej Brygady AK, podporządkowanej mjr. „Łupaszce”, działającej na Podlasiu do początku lat 50. Sam „Łupaszko”, wraz z Lidią Lwow „Lalą” i Mieczysławem Abramowiczem „Mieciem”, w połowie września udał się do Gdańska, gdzie zainstalowało się dowództwo Okręgu Wileńskiego AK. Z dowódcą Okręgu mjr. Antonim Olechnowiczem „Pohoreckim” spotkał się na przełomie października i listopada 1945 roku i podczas tej konferencji ustalono, pomimo że mjr „Pohorecki” stawiał na akcję propagandową i wywiadowczą, że na wiosnę 1946 wyruszą w pole patrole dywersyjne. Podczas zimy, poza organizacją tych oddziałów, prowadzono druk ulotek antykomunistycznych skierowanych do żołnierzy LWP oraz ludności cywilnej. Wydrukowano kilka tysięcy ulotek, które rozprowadzono po wielu miastach (Gdańsk, Poznań, Elk, Olsztyn, Inowrocław, Bydgoszcz Toruń, Warszawa, Łódź). Jednocześnie Zygmunt Szendzielarz polecił ppor. „Wiktorowi” ponowną rozbudowę oddziału, który pozostał na Podlasiu, a rozkazem z lutego 1946 nadał mu nazwę 6. Brygady Wileńskiej.

Od 14 kwietnia 1946 roku można datować odtworzenie 5. Brygady i początek jej działalności na Pomorzu, Warmii i Mazurach, gdyż w tym dniu w Kojtach k. Malborka mjr „Łupaszko” wydał rozkaz nr 2, w którym pada sformułowanie, że „... w dniu dzisiejszym, ...5. Wileńska Brygada wyrusza znowu w teren”. Początkowo oddział liczył czternastu partyzantów, którzy po kilkunastu dniach samochodami zostali przerzuceni w Bory Tucholskie, w których już od dwóch tygodni przebywał liczący siedem osób patrol dowodzony przez Henryka Wieliczkę „Lufę”. Poza tym działały patrole dywersyjne por. Feliksa Selmanowicza „Zagończyka” oraz sierż. Józefa Bandzo „Jastrzębia”, nastawione na werbunek nowych żołnierzy, akcję propagandową oraz zdobywanie funduszy niezbędnych do funkcjonowania całego oddziału.

W maju 30-osobowy oddział został podzielony na dwa szwadrony dowodzone przez „Żelaznego” i „Lufę”, które przez większość czasu, wzorując się na taktyce stosowanej na Wileńszczyźnie i Podlasiu, działały samodzielnie. Podobnie jak na poprzednim obszarze, także w Borach Tucholskich szwadrony rozbrajały posterunki MO, niszczyły dokumentację w urzędach, likwidowały funkcjonariuszy i donosicieli Urzędu Bezpieczeństwa oraz staczały potyczki z ekspedycjami UB, KBW, MO i LWP. W dniu 19 maja miała miejsce najśłynniejsza akcja 5. Brygady przeprowadzona na Pomorzu. Po zarekwirowaniu

w okolicach miejscowości Czarna Woda samochodu, szwadron „Żelaznego” (przy którym znajdował się dowódca Brygady) w ciągu tegoż dnia rozbroił 7 posterunków MO (Kaliska, Osieczna, Osiek, Skórcz, Lubichowo, Zblewo, Stara Kiszewa) oraz zlikwidował dwie placówki UB. Podczas tej akcji, nagłośnionej później między innymi przez BBC, zostali rozstrzelani dwaj funkcjonariusze PUBP oraz major NKWD. Zdobyto też dużą ilość broni automatycznej wraz z amunicją.

Na początku czerwca został sformowany następny szwadron, którego dowódcą został ppor. Leon Smoleński „Zeus”. Sam „Łupaszko” najczęściej przebywał przy szwadronie ppor. „Lufy” lub też przemieszczał się samodzielnie, tylko z kilkunastoosobową osobistą ochroną, której dowódcą był sierż. „Jastrząb”. W czerwcu, podczas walki z grupą UBP, poległ ppor. „Żelazny”. Dowództwo szwadronu objął po nim ppor. Olgierd Christa „Leszek”. W lipcu został zatrzymany przez UB por. „Zagończyk”. To zdarzenie rozpoczęło serię aresztowań wśród żołnierzy i członków siatki konspiracyjnej na Pomorzu, dowodzonej przez mjr. „Łupaszkę”. Nie spowodowało to początkowo zahamowania akcji zbrojnych, lecz z czasem, pod wpływem kontrakcji komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, szwadrony coraz częściej przechodziły do defensywy. Jak wspominają oni sami, często musieli długimi marszami odrywać się od obław i kotłów urządzanych przez UB. Pododdziały 5. Brygady operowały wówczas na bardzo dużym obszarze rozciągającym się od Mazur poprzez Warmię po Pomorze Gdańskie i Zachodnie.

Jednak już w sierpniu aresztowania zaczęły zataczać tak szerokie kręgi, że odbiło się to na koncepcji działania 5. Brygady. W tym czasie Zygmunt Szendzielarz zaczął rozważać możliwość przerzucenia całości sił na Białostoczczyznę w pobliże terenu działań swojej 6. Brygady. W tym celu udał się na tamten teren wraz ze szwadronem dowodzonym przez ppor. „Lufę”. Marsz ten trwał dwa miesiące. Dotarwszy tam, urlopował bezterminowo (ze względu na stan zdrowia) ppor. „Wiktor”, a dowódcą 6. Brygady mianował ppor. „Młota”. Brygada ta składała się wówczas z trzech szwadronów i patrolu żandarmerii.

Pozostałe na Pomorzu dwa szwadrony („Zeusa” i „Leszka”) przeważnie działały razem, sukcesywnie demobilizując żołnierzy (przed nadejściem zimy). Ich działalność, może mniej intensywna, była jednak kontynuacją poprzednich dokonań: zdobywanie środków pieniężnych oraz żywności dla oddziałów (oraz na odprawy demobilizacyjne), likwidacja informatorów UB i aktywistów PPR, rozbrajanie posterunków MO. W dniu 24 października, kwaterujące w kolonii Budy

(kilkanaście kilometrów od Brus) szwadrony zostały zaskoczone przez liczącą kilkadziesiąt osób obławę (były to dwie grupy, z których jedna liczyła 60 osób) składającą się z funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej MO oraz PUBP z Chojnic. Po krótkiej, ale gwałtownej walce, udało się im oderwać od przeciwnika, tracąc jednego zabitego (drugi partyzant dostał się do niewoli). Była to w zasadzie ostatnia potyczka 5. Brygady z tak dużymi siłami UB na Pomorzu. Oba szwadrony do listopada nadal działały, przyspieszając jedynie demobilizację. Ostatecznie, w drugiej połowie listopada, szwadrony uległy „zimowemu” rozformowaniu. Według relacji Pani Janiny Smoleńskiej „Jachny” (sanitariuszki w szwadronie „Zeusa”) oddziały miały zostać odtworzone na wiosnę, co jednak, ze względu na liczne aresztowania, nie nastąpiło. Dlatego należy uznać, że był to kres działalności oddziałów zbrojnych podległych mjr. „Łupaszce” w północnej Polsce.

W 1946 roku, gdy 5. Brygada działała na Pomorzu, Brygada 6. operowała na Podlasiu, po obu stronach Bugu. Prowadziła intensywną akcję propagandową (m.in. ulotki), likwidowała donosicieli oraz funkcjonariuszy UB i działaczy PPR-PZPR (przykładowo można podać zlikwidowanie w grudniu 1946 r. 10 funkcjonariuszy UB i współpracowników UB, członków PPR), ale też prowadziła operacje wojskowe na większą skalę (np. zajęcie w lipcu miasteczka Łosice, we wrześniu osady Janów Podlaski, a w listopadzie akcja na Łapy) czy częste potyczki z oddziałami NKWD, KBW-UB, MO i LWP. Wypadki bandytyzmu (częste po oficjalnym zakończeniu wojny) były rozpatrywane przez sądy podziemne i w wypadku udowodnienia takiej działalności, osoby winne rozbojów, rabunków czy gwałtów były likwidowane. Żołnierze Brygady, poza walką z reżymem pełnili obowiązki policji. Na przełomie lata i jesieni tegoż roku 6. Brygada przeszła w okolice powiatu Biała Podlaska.

Według dostępnych danych, 5. i 6. Wileńskie Brygady AK w samym tylko 1946 roku dokonały ponad 230 akcji wymierzonych w instalujący się system komunistyczny, ze szczególnym uwzględnieniem funkcjonariuszy UB oraz donosicieli. Akcje te były przeprowadzone stosunkowo szczupłymi siłami - 5. Brygada liczyła wówczas do 80 żołnierzy, a Brygada 6. miała w szeregach 50-70 partyzantów.

Operując na Podlasiu oddziały podległe Majorowi nadal prowadziły walkę z komunistami. Niewątpliwie w kolejnych latach, wraz z krzepnięciem komunizmu w Polsce, pole manewru leśnych oddziałów bardzo się zawężyło. Rosnący w siłę okupant, zwiększająca się agentura oraz coraz bezwzględniejsze środki stosowane przez

sowieckich kolaborantów powodowały, że antykomunistyczna partyzantka została zepchnięta do defensywy, a jej działalność ograniczała się do trwania w terenie, likwidacji konfidentów, zdobywania środków dla oddziałów, czy też mniejszych akcji sabotażowych. Ale jeszcze w 1947 roku sytuacja nie była taka jednoznaczna i Brygada wykonywała akcje ofensywne. Przykładem może być rajd przeprowadzony od grudnia 1946 do stycznia 1947 przez patrol dowodzony przez por. Henryka Mieczkowskiego „Tygrysa” do Prus Wschodnich (czyli na Warmię i Mazury), podczas którego opanowywano posterunki MO, likwidowano donosicieli i wszelkiej maści kolaborantów.

Działalność mjr. „Łupaszki” była dla sowieckich kolaborantów bardzo dotkliwa. Niewątpliwie może o tym świadczyć fakt, że mjr Szendzielarz w grudniu 1946 otrzymał od komunistycznego ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza propozycję rozpuszczenia oddziałów oraz osobistego spotkania, a w zamian miał otrzymać możliwość bezpiecznego opuszczenia Polski. Według relacji, Major odpowiedział następująco: „W zapewnienia pana ministra nie uwierzyłem. Panie ministrze, możemy się spotkać pod jednym warunkiem - kiedy pan będzie wisiał na sośnie, to ja pod nią przyjdę”.

W lutym 1947 roku, po sfałszowanych wyborach parlamentarnych, komuniści ogłosili tzw. amnestię. Dowództwo oddziałów poinformowało podwładnych, że kto chce może odejść i „ujawnić” się w jej ramach. Do kwietnia szeregi brygady opuściło ponad 30 partyzantów. W tym też czasie rozwiązaniu uległ szwadron ppor. „Łufy”, a co za tym idzie przestała istnieć 5 Brygada.

W kwietniu-maju mjr „Łupaszko” decyduje się na zaprzestanie osobistego dowodzenia oddziałami, i pozostawiając sobie ogólne zwierzchnictwo nad nimi, postanawia opuścić bezpośredni teren działania swoich podkomendnych. W tym czasie, wraz z „Lalą” i „Miciem” zamieszkuje w powiecie Głubczyckim we wsi Królowa. Spotyka się tam między innymi z komendantem Okręgu Wileńskiego AK ppłk. „Pohoreckim”, który nalegał na ostateczne rozwiązanie oddziałów znajdujących się w polu. Ostatecznie „Łupaszko” nie podjął żadnych działań do tego zmierzających, gdyż pomimo dostarczenia części pieniędzy na odprawy dla żołnierzy, przełożony nie przekazał dokumentów dla wychodzących z lasu.

Następnym miejscem pobytu Majora było Zakopane, gdzie zamieszkał już tylko z Lidią Lwow (oboje występowali jako małżonkowie Ryszard i Ewa Mańkowscy). Następnie przeprowadzili się do Jordanowa, aby w sierpniu powrócić w okolice Zakopanego, do Olczy. Cały czas utrzymywał

mjr Szendzielarz kontakt z dowództwem Okręgu Wileńskiego, por. „Młotem”, czyli 6. Brygadą, oraz ze swoimi dawnymi podkomendnymi, w tym z kpt. Lechem Beynarem (Pawłem Jasienicą) „Nowiną”, swoim dawnym zastępcą.

Z Olczy para przeprowadziła się ponownie do samego Zakopanego, a następnie do Chabówki, z której w czerwcu przenieśli się do Osielca, gdzie dzięki podstępowi, 30 czerwca zostali aresztowani bez jednego wystrzału. Majora i „Lalę” następnie przewieziono (samolotem) do Warszawy. Tam poddano oboje śledztwu (przez 1,5 roku przeprowadzono z „Łupaszka” 47 przesłuchań), ale - zapewne ze względu na fakt, że obie strony miały świadomość jaki los spotka Majora - nie stosowano wobec niego tortur. Podczas przesłuchań Zygmunt Szendzielarz jedynie uściślał opisy akcji bojowych przeprowadzonych przez podległe mu oddziały, a całą odpowiedzialność za ich działalność brał na siebie. Taka postawa znajduje potwierdzenie w protokołach zeznań, jak i wynika z materiału dźwiękowego, jaki zachował się z pokazowego tzw. „procesu”, który rozpoczął się 23 października 1950 roku. Na ławie „oskarżonych” zasiedli: ppłk. Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, kpt. Henryk Borowski „Trzmieł”, mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor”, por. Lidia Lwów „Lala” oraz Wanda Minkiewicz „Danka” (sanitariuszka Brygady). „Akt oskarżenia” zarzucał im między innymi: kolaborację z Niemcami, atakowanie jednostek armii sowieckiej oraz dywersję i szpiegostwo. Major Zygmunt Szendzielarz, który zeznawał w drugim i trzecim dniu „procesu” zachowywał się odważnie, z dużą dozą godności. Potwierdził, że należał do organizacji podziemnej, że walczył z sowiecką partyzantką (którą uważał za wroga) na Wileńszczyźnie oraz powtórnie zrelacjonował znane mu akcje oddziałów, którymi dowodził. Potwierdził, że akcje te, często wymierzone w komunistyczny aparat represji, były wykonywane na jego rozkaz (m.in. potwierdził słynny rozkaz nakazujący rozstrzelanie funkcjonariuszy UB, ich konfidentów oraz żołnierzy sowieckich, który zachowywał swą moc, aż do odwołania). „Proces” zakończył się 2 listopada wydaniem wyroków: Zygmunta Szendzielarza, tak jak pozostałych oskarżonych, skazano na osiemnastokrotną karę śmierci. Jedynie Lidia Lwów „otrzymała” dożywocie, a Wanda Minkiewicz - 12 lat pozbawienia wolności. Podczas oczekiwania na wykonanie wyroku mjr Szendzielarz chciał wziąć ślub z wieloletnią towarzyszką życia Lidią Lwów, na co naczelnik więzienia się nie zgodził. W dniu 8 lutego 1951 roku około godziny 20 wszystkich skazanych zastrzelono strzałem w tył głowy, a następnie pochowano w nieznanym miejscu.

Jednak to nie koniec historii majora „Łupaszki”. Na Podlasiu cały czas działała 6. Wileńska Brygada AK dowodzona przez kpt. Władysława Łukasiuka „Młota”, a po jego tragicznej śmierci w czerwcu 1949 roku, przejęta przez kpt. Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”. Ten ostatni dowódca Brygady trwał w polu aż do listopada 1952 roku, kiedy to w wyniku prowokacji (znana komunistyczna prowokacja pod szyldem V Komendy WiN) został ujęty przez UB. Przez wszystkie te lata oddziały Brygady prowadziły akcje nękające aparat komunistyczny oraz dezorganizujące administrację na całym terenie, który był objęty jej działalnością. Oczywiście jest, że z czasem poczynania te były coraz rzadsze i przeprowadzane na mniejszą skalę. Jest to normalne, biorąc pod uwagę fakt, że komunistyczny aparat zniewolenia narodu krzepł, powiększał swoje szeregi kolejnymi renegatami, a oddziały partyzanckie wręcz odwrotnie; kadry ich wykruszały się w wyniku strat związanych z akcjami zbrojnymi oraz demobilizacją chorych oraz chcących przejść do życia cywilnego.

Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” był najbardziej nienawidzonym przez komunistów partyzanckim dowódcą podziemia antykomunistycznego. Już w czasach wileńskich zasłużył sobie na ich „miłość”, wielokrotnie niszcząc oddziały sowieckich partyzantów, którzy działając na tamtym terenie, potrzebne zaopatrzenie w dużej części rabowali polskiej ludności, a poza tym niejednokrotnie próbowali zlikwidować polskie oddziały AK, jak też grupy innych polskich formacji. W Polsce „ludowej” Major stworzył świetnie działające brygady partyzanckie, które do roku 1952 swoimi szwadronami i patrolami nękały (a czasami wręcz gromiły) siły komunistyczne okupujące nasz kraj, na ogromnym obszarze - od Koszalina poprzez Bory Tucholskie, Warmię, Mazury, Białostoczną i Podlasie, nie omijając takich większych miast jak Gdańsk, Olsztyn, Bydgoszcz, Białystok, Łódź, Wrocław, a także Wałbrzych. Już ówczesnie, gdy szwadrony mocno tkwiły w polu, próbowano z mjr. „Łupaszki” i jego podkomendnych zrobić szpiegów, kolaborantów, bandytów, morderców i skrytobójców. Ten obraz utrwalał przez wiele kolejnych lat w tak zwanej „literaturze” wspomnieniowej czy też ewidentnie propagandowej (rej w tym wodzili głównie emerytowani funkcjonariusze UB). Dziś czarna legenda mjr. „Łupaszki” odchodzi w niebyt, powoli zyskuje swój właściwy wymiar i miejsce w historii - dzięki wysiłkowi wielu ludzi i instytucji (osób prywatnych, pasjonatów historii prawdziwej rozsianych po całej Polsce, IPN-owi z Warszawy

i Gdańska, historyków i badaczy, Fundacji „Pamiętamy”). Dziś stawiane są żołnierzom 5. i 6. Wileńskiej Brygady AK pomniki, wmurowywane tablice pamiątkowe, odbywają się spotkania i prelekcje im poświęcone. Wydanych zostało wiele książek oraz ukazało się wiele publikacji w gazetach codziennych jak też miesięcznikach. Fundacja „Pamiętamy” wydaje okolicznościowe broszury poświęcone żołnierzom antykomunistycznego podziemia, natomiast pasjonaci z Trójmiasta od ośmiu lat organizują w Borach Tucholskich i na ziemi sztumskiej Rajd Pieszy Szlakiem Żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. „Łupaszki” (www.lupaszko.pl).

Świadczy to o tym, że pewne wartości zaczynają znaczyć to, co ongiś znaczyły, a wszyscy ci, którym drogi jest honor, prawda i ojczysta historia, bez obawy mogą każdego 8 lutego, w dniu śmierci Majora, dobrym słowem wspomnieć tego niezłomnego żołnierza, patriotę, dwukrotnie odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari, do końca wiernemu przysiędze...

Grzegorz Polikowski

P

rzez pół wieku... byłem bandytą!

Do takiego wniosku można dojść, gdy opowiada o sobie pan major Zygmunt Błażejewicz, ps. „Zygmunt”, legendarny dowódca partyzancki, uczestnik walk na Wileńszczyźnie, jeden z dwóch żyjących dowódców szwadronów z V Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza - „Łupaszki”. Szwadrony te w latach 1945-48 na terenach Białostocczyzny, Podlasia, Warmii i Mazur oraz Pomorza stanowiły największe i najbardziej dające się we znaki „nowej władzy” oddziały antykomunistycznego podziemia. Życie pana Zygmunta mogłoby być świetnym scenariuszem do filmu lub kanwą sensacyjnej powieści. Autor wydanych w 2003 roku wspomnień „W walce z wrogami Rzeczypospolitej” od wielu lat mieszka w USA. Do Polski przyjechał m.in. aby wziąć udział w uroczystych obchodach 60. rocznicy bitwy pod Miodusami Pokrzywnymi. Dotarcie do pana Błażejewicza nie było wcale łatwe. Okrężnymi drogami trzeba było znaleźć jego przyjaciół i umówić się na spotkanie. Efektem tych starań były dwie wielogodzinne, przesympatyczne rozmowy, które odbyły się na terenie pewnej stadniny koni położonej niedaleko Grunwaldu. Plon tych rozmów możecie Państwo przeczytać poniżej:

- Pańskie dzieciństwo?

- Urodziłem się w 1918 roku w Witebsku, w rodzinie z domieszką krwi tatarskiej. Potem ukończyłem szkoły w Wilnie, w którego okolicach rodzina moja mieszkała od przeszło 350 lat.



Rok 1928, Wilno - uczniowie szkoły „Dziecko Polskie”. Drugi z prawej w środkowym rzędzie - Zygmunt Błażejewicz (w krawacie), trzeci od prawej w ostatnim rzędzie - Czesław Miłosz.

- A pierwsze kontakty z wojskiem?

- W 1939 roku ukończyłem Kurs Podchorążych Rezerwy przy 5. Dywizji Piechoty Legionów w Wilnie.



Zygmunt Błażejewicz
w podchorążówce - 1939 rok.

- Następnie Kampania Wrześniowa?

- Pierwszego września miałem rozpocząć studia na uniwersytecie w Poznaniu na kierunku leśnictwo. Zamiast tego najpierw strzelałem z taczanki do niemieckiego bombowca, a wkrótce otrzymałem dowództwo moździerza nr 2.

- Później konspiracja?

- Tak. Najpierw były w Kownie nieudane starania o wyjazd do Anglii. A już w listopadzie 1939 roku złożyłem przysięgę w ZZW na ręce kolegi z podchorążówki, Zbigniewa Wilbora. Po wypadce naszej trójki (obowiązywał system trójkowy) ukrywałem się na wsi. Tam nawiązałem kontakt z Adamem Boryczką - „Tońkiem” - późniejszym zastępcą dowódcy VI Brygady Dyspozycyjnej AK. Złapałem wtedy ostre zapalenie płuc z wysoką gorączką (trwało to 5 tygodni) i nawet w warunkach leśnych pozwolono mi pić alkohol, którego używanie było surowo zakazane.

- Proszę powiedzieć z kim w tym okresie tj. do operacji Ostra Brama w 1944 roku najczęściej walczyliście?

- Najliczniejsze walki prowadziliśmy z policją litewską - atakowaliśmy jej posterunki, oraz z żandarmerią niemiecką, a także ze specjalnymi oddziałami SS - estońskimi, łotewskimi i litewskimi gen. Pechawiczusa (parę tysięcy rozbitych Litwinów). Broniliśmy też ludności polskiej przed rabunkami dokonywanymi na niej przez partyzantkę sowiecką, z którą wszelkie usiłowania ułożenia stosunków kończyły się stale tragicznie.

- Tzw. okres wileński jest dość dobrze znany i opisany. Chciałbym teraz porozmawiać o okresie Pańskiego udziału w działaniach V Brygady Wileńskiej AK pod dowództwem majora „Łupaszki” - Zygmunta Szendzielarza. Kiedy spotkał Pan mjr. „Łupaszkę”?

- W Wigilię roku 1944. Powiadomiony przez „siatkę”, odwiedziłem majora. Zatrzęsła się wtedy ziemia (dosłownie) bo właśnie sowici, poprzedzani nawałą artyleryjską, ruszyli na zachód. My dyskutowaliśmy o naszych dalszych losach.



Dowódcy 5. Wileńskiej Brygady - sierpień 1945 roku. Od lewej: mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, ppor. Stefan Jezierski „Stefan”, ppor. Władysław Łukasiuk „Młot”, por. Zygmunt Błażejowicz „Zygmunt”, ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor”, ppor. Jan Zaleski „Zaja”.



Lato 1945 - część 5. Wileńskiej Brygady AK. Trzeci z lewej (stojący) por. Zygmunt Błażejowicz „Zygmunt”.

- A kiedy spotkaliście się ponownie - czy była to Białostocczyzna w roku 1945?

- Tak. Było to podczas koncentracji 4 lub 5 kwietnia i co ciekawe, już w godzinę może dwie później zostaliśmy otoczeni przez silny oddział UB. Tak się zaczęło i było do końca.

- Dalsze dowodzenie szwadronem, liczne walki i potyczki. Zwieńczeniem były dwie największe bitwy w dziejach V Brygady, gdy dowodzony przez Pana szwadron wraz z resztkami VI Brygady pod dowództwem „Młota” rozbił w kilkudniowych odstępach wielokrotnie przeważające, połączone siły NKWD, LWP i UB.

- Tak. Najpierw 8 września zaatakowały nas we wsi Węże oddziały 1. i 2. Pułku Piechoty 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Rozbiliśmy kompanię 2. batalionu. Zginęło 16, a rannych było 20 żołnierzy LWP. Cała reszta (72) poddała się. Zdobyliśmy działko 45 mm i 2 CKM-y. Wtedy też miało miejsce inne zdarzenie. Gdy chcieliśmy odprowadzić jeńców, naprzeciw nas stanęła reszta 2. batalionu pod dowództwem kpt. Cynkina. Od naszego rozkazu zależało, czy pluniemy do siebie ogniem (ja miałem wówczas działko i 18 karabinów maszynowych). Po około godzinnych pertraktacjach pod gruszą, nas dwóch, o tak krańcowo różnym podejściu do rzeczywistości, dogadaliśmy się i nasze oddziały rozeszły się w przeciwnych kierunkach. Później ów kapitan szybko awansował aż do stopnia pułkownika, a po awans generalski udał się do Moskwy. Tam czekał go pokazowy proces i trzy lata odsiadki za tę akcję. Następnie wyszliśmy jeszcze z okrażenia zgotowanego nam przez jednostki tej samej dywizji oraz pododdziały 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Kilka dni później - 18 września pod wsią Miodusy Pokrzywne zostaliśmy zaatakowani przez oddziały ekspedycji karnej dowodzonej przez mjr. Wasilija Gribko. Składała się ona z pododdziałów UB, plutonu z 1. DP im. Tadeusza Kościuszki oraz kompanii z 267. pułku NKWD. Na marginesie mogę dodać, że grupa ta odznaczała się wyjątkowym bestialstwem, pacyfikując ludność i wykonując na miejscu wyroki śmierci wydane przez wożonych z nimi prokuratora i sędziego. Po dwugodzinym boju całe to ugrupowanie zostało całkowicie rozbite. Oberbandyta Gribko został zabity, a ściskany przez niego pistolet miał wystrzelane wszystkie pociski. Aktualnie jest on pochowany koło moich żołnierzy, którzy tam polegli, z datą śmierci w 1944, i opisany jako bohater-wyzwolicie! Po tej akcji dowódca NKWD na Polskę wydał rozkaz doprowadzenia wszelkimi środkami do likwidacji „...bandy „Zygmunta”, z zastrzeżeniem

aby nie brać jeńców! W tych walkach brało po naszej stronie udział tylko 100 żołnierzy - mój szwadron w sile 80 ludzi i 20-osobowy oddział „Młota” (Władysław Łukasiuk dowodzący do czerwca 1949 resztkami podległej mjr. „Łupaszce” VI Wileńskiej Brygady AK).

- Jaki był stosunek mjr. „Łupaszki” do jeńców sowieckich?

- Wydał rozkaz likwidacji każdego ruskiego. Ja natomiast wydałem swojemu szwadronowi polecenie, aby puszczać tych, którzy potrafią się przeżegnać. Wtedy bywało tak, że puszczailiśmy wolno sowieckich żołnierzy, lekarzy wojskowych itp. A po kilku dniach znajdowano ich ciała, a gazety oraz cała komunistyczna propaganda nam przypisywała ich śmierć. Jestem pewien, że sami zabijali tych, których my zwolniliśmy!

- W jakim wieku byli żołnierze Brygady?

- Bardzo różnym, ale najczęściej do oddziału przychodzili ludzie okołodziewiętnastoletni. Zdarzali się też dużo młodsi. W moim szwadronie najmłodszym był trzynastoletni „Mikrus” (Rajmund Drozd), a następny to mający rok więcej „Miecio” (Mieczysław Abramowicz). Przy wstępowaniu do AK trochę kłamali - dodawali sobie po kilka lat. Ludzie starsi nie wytrzymywali takiego życia - wielokilometrowe, codzienne, a czasem i nocne marsze i noclegi w przygodnym terenie. Ale nigdy nie byliśmy głodni w Brygadzie. Raz tylko, mój piętnastoosobowy oddział w marszu na Podlasie głodował i to stale. Zdarzyło się, że po trzydniowym, długim marszu zjedliśmy obrane kartofle, które popiliśmy wodą.

- Proszę powiedzieć coś o stosunkach, jakie panowały pomiędzy żołnierzami i dowódcami - razem przecież walczyliście, spaliście, jedliście...

- Jako że uważałem, iż podstawą jest dyscyplina, to na służbie, a służba była „na okrągło”, nawet moi przyjaciele, czy żołnierze, którzy przyszli ze mną z Wileńszczyzny, stawiali na baczność i meldowali „panie poruczniku”. Chociaż niektórym to ciężko przechodziło przez usta. Tak być musiało, ale w zamian była duża więź i zaufanie między żołnierzami.

- Byli to ochotnicy, a jak słyszę dyscyplina była ostrzejsza niż w regularnym wojsku?

- Od partyzanta do bandyty jest tylko krok i tak musiało być.

- Czy znaliście swoje prawdziwe imiona i nazwiska, czy tylko pseudonimy?

- Ci, którzy byli rodziną lub znali się ze szkoły, czy kręgu towarzyskiego znali oczywiście swoje nazwiska, ale używali tylko pseudonimów, natomiast inni znali tylko pseudonimy. Na przykład z 50 ludzi w oddziale tylko 5 znało moje nazwisko. Nazwisko swojej żony poznałem dopiero na ślubie!

- Pańska żona również walczyła?

- Nie walczyła. Była sanitariuszką m.in. u mjr. „Łupaszki”. Opiekowała się chorymi i rannymi (nawet wroga). Za wyciągnięcie spod ognia rannego por. „Nowinę” (Lech Beynar, Paweł Jasienica) otrzymała Krzyż Zasługi z Mieczami.

- Czy przechodzili do Was ludzie z innych ugrupowań?

- Tak. Był na przykład taki przypadek w 1944 roku, gdy prawie cała druga kompania VI Wileńskiej Brygady AK składała się z żołnierzy, którzy przyszli z NSZ (nosili „Mieczyki Chrobrego” na piersiach). Ja miałem rozkaz pilnować, czy to przejście było szczere. W razie wątpliwości miałem ich rozbroić.

- Zdarzały się awanse i odznaczenia takie, na które ktoś nie zasługiwał, przypadkowe?

- Nie było takich rzeczy. Jak ktoś dostał jakieś dowództwo, awans czy odznaczenie to musiał się czymś wyróżniać. I to nie jednorazowo. Inna sprawa, że trzeba było mieć trochę szczęścia, aby brać udział w akcjach, w których można było się wybić.

- Skąd braliście mundury, bo przecież byliście w ogromnej większości umundurowani?

- W moim szwadronie było jednolite umundurowanie sprzed 1939 roku. Częściowo były też szyte w zaprzyjaźnionych wioskach z farbowanego materiału. A w 1945 roku na Białostocczyźnie zdobyłem ciężarówkę, a na niej jechało 90 mundurów przeznaczonych dla jakiegoś oddziału KBW. Ilość była akurat wystarczająca dla mojego szwadronu.

- Jak został przyjęty rozkaz nakazujący rozwiązanie Armii Krajowej?

- Tak ja, jak i wszyscy w Brygadzie wiedzieliśmy, że to byłby nasz koniec. Choćby za to, że my do bolszewików jak do psów strzelaliśmy. Do kuriera z

dowództwa skoczył sam mjr „Łupaszko” i „zjechał” go za psucie stosunków w oddziale. Stwierdził, „że jak było wam potrzebne to kazaliście mi to i tamto robić, to ja teraz będę dalej to samo robił”.

- Jaki był stosunek ludności miejscowej do Waszych oddziałów?

- Ogromna większość była nam życzliwa i pomagała nam jak mogła. Faktem jest, że było też dużo szpicli. Pomimo pacyfikacji, tortur i rozstrzeliwań nie obróciła się ludność przeciwko nam. To później zaczęło się pod wpływem stosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej i terroru zmieniać, ale duża część do końca była przyjaźnie nastawiona do partyzantów. Bez pomocy ludności byłby szybki koniec!

- Może przypomina Pan sobie jakieś humorystyczne zdarzenia?

- Oczywiście. Było ich wiele. Kiedyś podczas przeprowadzania akcji z rozkazu „Koryckiego” weszliśmy do wsi, w której była zabawa. Zaczepiłem na podwórku umundurowaną bolszewicką - lejtanta. Byłem wtedy przebrany za sowieckiego także lejtanta. Bierze mnie ona pod pachę i mówi: „Myśmy odetchnęli, towarzyszu lejtancie, bo myśleliśmy, że to są polscy partyzanci!”. Puściłem ją wolno, a ze trzy dni później znaleziono ją martwą, a komunistyczna propaganda nam przypisała tę śmierć. Innym razem, stanęliśmy (mój szwadron) naprzeciwko batalionu piechoty LWP. W pewnym momencie leci od nich dwóch sierżantów i stwierdzają, że wybiją kilku swoich bolszewików, i cały batalion wraz z dowódcą, kapitanem przejdzie pod moją komendę. Wzruszyłem się tym, ale powiedziałem im, że to jest niemożliwe, gdyż byłby to wielki problem aprowizacyjny - była to masa ludzi. Nie pozwolę, aby objadali oni przyjazne wioski! Innym razem, było to w okresie wileńskim, podchodzimy pod posterunek policji litewskiej. Oni jednak musieli być ostrzeżeni o naszej „wizycie” i czekali na nas... przed posterunkiem, z rodzinami i zgromadzoną w jednym miejscu bronią. Rodziny prosiły, aby nic im nie robić. Oczywiście raport do swoich władz wysłali z opisem zacieklej obrony. Nasza sława jako partyzantów, którzy są szybcy i zdecydowani robiła swoje. Takich historii było wiele.

- Wspominał Pan coś o jakichś cysternach?

- Była to jakby podwójna akcja pod wsią Olszewo. Zaczęło się od nieprzewidzianego ataku przez mój oddział ochronny. Podczas walki nadciągnął „Wiktor” (Lucjan Minkiewicz - zastępca

por. „Zygmunta”) i wtedy nadjechało około dziesięciu sowieckich cystern. Rozpoczęli oni ostrzał tych pojazdów. Był on na tyle skuteczny, że zdołała uciec tylko jedna czy dwie z nich.

- Jaki był major Zygmunt Szendzielarz - „Łupaszko”, Pański dowódca?

- „Łupaszko” jest bohaterem narodowym i koniec. Dowódcy się nie sądzi. Nie wiem, co myślał i jak to przeżywał, ale sądzę, że np. chyba nie za bardzo wierzył w wybuch nowej wojny. Na pewno był dobrym organizatorem, potrafił zgrać działalność bojową i kwatermistrzowską szwadronów. Dowodził, pozostawiając dużo swobody podwładnym. Był w pełni lojalny wobec swoich ludzi, ale też dobierał takich, na których mógł całkowicie polegać. Ja wiele rzeczy robiłem bez jego osobistego pozwolenia, ale on mi całkowicie ufał. Mieliśmy bardzo wielką władzę i gdyby tego zaufania nie było, albo gdyby byli dobrani nieodpowiedni ludzie i np. „uderzyło by kogoś do głowy”, skutki mogły być nieobliczalne.

- Proszę o podobną wypowiedź o zastępcy dowódcy por. „Nowinie” (Lech Beynar, Paweł Jasienica).

- Był człowiekiem o wysokiej kulturze. Był bardzo lubiany w V Wileńskiej Brygadzie AK. Opowiem też jedno ciekawe zdarzenie. Przychodzi do mojego szwadronu „Nowina” i od razu stwierdza: „Ty, „Zygmunt” tutaj dowódca. Ja na razie sztabu mam za dużo i będę trochę przy Twoim szwadronie”. Chyba chciał trochę odpocząć.

- U mjr. „Łupaszki” był Pan porucznikiem?

- Tak. Później, na Zachodzie przez legalny rząd w Londynie zostałem awansowany do stopnia kapitana, a po roku 1990 otrzymałem stopień majora.

- Co major, Pański dowódca mówił o Panu?

- Mogę jedynie zacytować jego opinię na wniosku o odznaczenie mnie po raz drugi Krzyżem Walecznych: „... ponieważ jest dla każdego żołnierza przykładem szalonej odwagi...”. Major oceniał od razu ludzi. O mnie słyszał co robiłem na Wileńszczyźnie i dlatego od razu dał mi szwadron. A po kilku moich akcjach to już wiedział z kim ma do czynienia.

- Opinia to nieodosobniona, gdyż chyba jeszcze pełniej scharakteryzował Pana „Korycki”?

- To prawda.

- Co najbardziej utkwiło w Pańskiej pamięci z okresu wojny?

- Najbardziej dotknęło mnie 100 tysięcy pomordowanych w Ponarach koło Wilna. Żydów, Polaków i innych nacji. Do tej pory słyszę strzały stamtąd dochodzące, gdyż przez kilka godzin byłem u znajomych, których dom znajdował się o kilkaset metrów od tego miejsca kaźni!

- Pamięta Pan jakieś większe „wsypy”, gdy zdradził ktoś z Pana podkomendnych?

- Było ich w konspiracji kilka. Ale taka największa miała miejsce w 1946 roku i była dziełem mojego żołnierza. Wydał wtedy około siedemdziesięciu ludzi. Nie będę mówił kto to. To był straszny wypadek. Pan Bóg niech sędzi. Ale ja dzisiaj mogę go zrozumieć. Był bardzo młody i nie wiadomo co z nim robili. W moim szwadronie (kiedy mnie już nie było w kraju) było na przykład dwóch szpicli z UB o czym dowiedziałem się dopiero w Ameryce. W moim 1. Szwadronie wpadek, na szczęście nie było.

- Czy UB nadal gromadziło na Pana temat materiały?

- Wiele informacji o mnie wraz ze zdjęciami było w posiadaniu UB. Jestem przekonany, że dużą część z nich otrzymali z Londynu.

- W różnych, wcześniejszych publikacjach szukałem choćby jednej Pańskiej fotografii, ale niestety z marnym skutkiem...

- Naturalnie. Przecież nie chciałem dostać nożem gdzieś w Chicago czy Nowym Jorku, i dlatego dopiero w 1998 roku „odkryto” mnie!

- Czy żyjący żołnierze majora „Łupaszki” utrzymują z sobą kontakty?

- Oczywiście. Chociaż żyjących pozostało nas już tylko paru, a z dowódców tylko dwóch - por. „Jastrząb” (Józef Bandzo) i ja. Z moich 120 żołnierzyków z tego okresu, żyje już tylko dwóch.



Wrzesień 2005, Bednarki k. Grunwaldu. Zygmunt Błazejewicz z Grzegorzem Polikowskim.

- Nic Pan nie mówi o swoim opuszczeniu ojczyzny, a była to przecież brawurowa ucieczka przed czerwonymi siepaczkami.

- Po prostu, wraz z żoną wyjechałem pociągiem. Żona miała wtedy dużą gorączkę i nie za bardzo posiadała pełną świadomość tego, co się wokół dzieje. A myśmy pojechali przez Niemcy z fałszywymi dokumentami. Po wielu przygodach i perturbacjach wszystko zakończyło się szczęśliwie. Przez pół Europy, kilkuletni pobyt w Argentynie, dotarłem ostatecznie do USA. Mieszkam tam już 45 lat.

- Mieszka Pan w USA, ale czy zna Pan losy swoich podkomendnych - tych z Wileńszczyzny, i tych z działań w 1945 roku?

- Naturalnie. Prawie wszystkich. Mogę powiedzieć, że spośród moich żołnierzy czterech czy pięciu zostało pułkownikami, pięciu profesorami, jeden ambasadorem, którego syn był ministrem obrony narodowej w jednym z rządów po 1990 roku.

- Jakie jest zainteresowanie tamtymi sprawami wśród Polaków w Stanach?

- Pewne zainteresowanie jest. Np. tutaj (pan Zygmunt pokazuje fotografię) mam spotkanie z dziećmi polskimi w polskiej szkole w Phoenix.

- Czy dostrzega Pan aktualnie większe zainteresowanie Waszą działalnością tu w kraju?

- Oczywiście. Jak słyszę ze wszystkich stron, zaczyna coraz bardziej ruszać się zainteresowanie młodzieży. I to mnie właśnie wzrusza.



Czerwiec 2006, Czernin k. Sztumu - Zygmunt Błazejewicz podczas składania kwiatów pod tablicą upamiętniającą śmierć ppor. Zdzisława Badochy „Żelaznego” na zakończenie IV Pieszego Rajdu Szlakiem Żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK.

- A czy fakt, że jest Pan zapraszany jako gość honorowy, na różnego rodzaju obchody rocznicowe, spotkania, czy też ostatnio jako specjalny gość przysięgi żołnierzy z jednostki w Ostródzie, gdzie zresztą wmurowano w jednym z kościołów tablicę upamiętniającą Wasze walki, nie świadczy o zmianie nastawienia władz do oddziałów V i VI Brygady na Białostocczyźnie i Pomorzu?

- Oczywiście. Przynajmniej części władz. Natomiast jest jeszcze duża część ludzi nadal nastawionych negatywnie, czy wręcz wrogo.



Czerwiec 2007, Stara Rzeka w Borach Tucholskich
- Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt” oraz Józef Błażejewicz „Jastrząb”.

- Jest Pan człowiekiem niespożytej energii, jak wytrzymuje pan taką ilość wyjazdów, spotkań, przywitania i pożegnań?

- Tu mnie trzyma duch - mój duch, który trzymał mnie w partyzantce i cały czas później. Jestem tu po to, chociaż może to zanadto patetycznie zabrzmieć, żeby mówić o tym wszystkim co było. Staram się mówić z tych wszystkich, którzy już mówić nie mogą...

- Kilka słów na zakończenie...

- Parę lat temu w Los Angeles, podczas wręczania mi trzech odznaczeń, dyskretnie zwróciłem się do dekorującego mnie dygnitarza: „Rozumiem, że przestałem być uważany za BANDYTĘ?!”. W odpowiedzi usłyszałem - równie dyskretną, życzliwą radę: „Niech Pan, Panie Zygmuncie nadal na siebie uważa!” Później dowiedziałem się, że zastępca tego urzędnika został w Warszawie pobity przez nieznanych sprawców.

- Serdecznie dziękuję za długie, wyczerpujące, a dla mnie wielce pouczające rozmowy!

Rozmawiał: Grzegorz Polikowski

Czesław Miłosz

BALLADA

Jerzemu Andrzejewskiemu

Na równinie stoi szare drzewo.
Pod nim siedzi matka w małym cieniu.
Obluskuje jajko na twardo
I popija herbatę z butelki.
Miasto widzi, którego nie było.
Błyszczą mury i wieże w południe.
Na gołębie kołujące stadem
Patrzy matka, a wraca z cmentarza.

- Zapomnieli synku przyjaciele.
Nikt z kolegów ciebie nie wspomina.
Naręczona dzieci urodziła
I o tobie nie pomyśli w nocy.
Zbudowali w Warszawie pomniki.
A na żadnym twojego imienia.
Tylko matka, póki jest, pamięta,
Jaki śmieszny byłeś i dziecinny.

Leży Gajcy przysypyany ziemią
Już na wieki dwudziestodwuletni.
Nie ma oczu ni rąk, ani serca,
Nie zna lata ni zimy, ni wiosny.
A co roku huczą w rzekach lody,
W ciemnym lesie zawilec rozkwita.
Czeremchami napełniają dzbanki,
Nasłuchują, co kukulka wróży.

Leży Gajcy, nigdy się nie dowie,
Że warszawska bitwa zeszła na nic.
Barykadę, na której umierał,
Rozebrały popękane ręce.
Biegły wiatry, niosły pył czerwony,
Spadły deszcze i słowik zaśpiewał.
Pod obłokiem krzyczeli murarze,
Podciągali w górę nowe domy.

- Mówią synku, że wstydzić się trzeba,
Że niedobrej bronieś ty sprawy.
A ja nie wiem, niechaj Bóg osądzi,
Kiedy z tobą rozmawiać nie mogę.
Pokruszone twoje kwiaty w pyłe,
To ta susza, wybaczyć mój jedyny,
Czasu mało, a jeżeli przyjdę,
Z tak daleka muszę nosić wodę.

Matka chustkę pod drzewem poprawia.
Świeci skrzydło gołębia na niebie.
Zamyśliła się, zapatrzyła się,
Przestwórz taki wysoki, wysoki.
I tramwaik pędzi w stronę miasta,
A tam dwoje młodych za nim goni.
Zdążą, myśli matka, czy nie zdążą?
Dogonili. Wsiedli na przystanku.

Montgeron, 1958

Izabella Borowiczowa

Kartka z Powstania Warszawskiego

65. rocznica Powstania Warszawskiego przywołuje ciągle jeszcze żywe wspomnienia Polaków. Szczególnie jednak tych, już nielicznych, którzy przeżyli ten czas. Odchodzą bohaterowie i zwykli mieszkańcy Stolicy. W wielu warszawskich domach kolejne pokolenia przekazują swoim dzieciom, jak to było podczas tego bohaterskiego zrywu. Teraz, od pięciu lat, mamy tak długo oczekiwane Muzeum Powstania Warszawskiego - to jakby spóźniona satysfakcja dla żyjących powstańców i warszawiaków. Wielu jej nie doczekało. Od dziecka pamiętam wspomnienia mojej matki o tragicznych dniach Powstania, które stało się także naszym udziałem. Przeżyłyśmy to razem - rozdzielone z ojcem już pierwszego sierpnia. Trudno sobie wyobrazić panujący wtedy w Warszawie chaos, lęk o najbliższych, niepewność jutra. Przed ogłoszeniem godziny „W” czyli 17.00, ja - nieświadoma grozy sytuacji, mała dziewczynka w wózek, byłam ze swoim ojcem na spacerze w Ogrodzie Saskim. Po pierwszych strzałach moja matka pobiegła w kierunku parku, ale już nie mogła się tam dostać. Zatrzymywana przez posterunki powstańców i namawiana, aby włączyła się do walki, zrozpaczona tłumaczyła, że szuka swojego dziecka. Znalazła nas zupełnie przypadkowo - park był zajęty przez Niemców.



Już następnego dnia została sama z dzieckiem i tak było do końca. Z mężem, o którym myślała, że zginął, odnaleźli się dopiero w Piotrkowie Trybunalskim - zimą. Tymczasem razem z innymi bezbronnymi kobietami z dziećmi, ludźmi chorymi i starcami znalazła się w piwnicy kamienicy przy ulicy Orlej. Ta przypadkowa grupa osób skazana na zagładę starała się przetrwać. Dzieci zaczęły od razu chorować - niestety bez opieki lekarskiej umierały. Rozpacz matek musiała być bezgłośna - Niemcy mogli usłyszeć. W tej piwnicy przeżyło tylko jedno dziecko - o swoim szczęściu dowiedziałam się jako osoba dorosła. Wypędził nas stamtąd oddział, którym dowodził Niemiec, ale składał się z będących na żołdzie okupanta sojuszników. Przedtem kazali wyjść jednemu mężczyźnie, który przerażony łudził się, że uda mu się ukryć. Grozili, że jeżeli sam nie opuści piwnicy - wrzucą granaty i zginą wszyscy. Wyszedł - nie miał żadnych szans. Mama nie zostawiała mnie nawet na moment. Widziała matki, które odeszły na chwilę i odłamek bomby zabijał dziecko lub jak po zabitej matce - zostawały dzieci.



Ci, co przeżyli w piwnicach tego kwartału ulic, zostali popędzeni płonąca Elektorálną na ulicę Chłodną do kościoła św. Karola Boromeusza. Na podeście schodów niemieccy oficerowie siedzieli na kościelnych ławkach i z drwiącymi uśmiechami obserwowali ulicę.



Na skwerze przed kościołem odbierali ludności wszelkie wartościowe rzeczy i wrzucali do skrzyni. Do opornych strzelano. Wśród krzyków komend, wrzasku kałmuków oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci. Do mamy przyłączył się obcy człowiek, prosząc o pomoc aby mógł powiedzieć, że jest razem z nami - ale został brutalnie odepchnięty. Zgromadzonym w tej pięknej świątyni - zrozpaczonym, wykończonym ludziom Niemcy ogłosili, że kościół został podminowany. Pamiętam, że mama widziała wtedy osoby, którym w oczekiwaniu na wybuch - białły włosy, i takie które traciły rozum. Kościół był podminowany - ale wysadzony został po kapitulacji podczas akcji systematycznego niszczenia przez Niemców naszej Stolicy. Gmach tej jednej z najpiękniejszych warszawskich świątyń na szczęście nie runął cały.



Niemcy wysadzili prezbiterium, i po wojnie udało się ten cenny zabytek uratować.



Na zdjęciach kościół p.w. św. Karola Boromeusza



Stopniowo z dzielnic zajętych przez Niemców zaczęto pędzić ludzi w kierunku Dworca Zachodniego. Straszny był ten pochód wypędzonych z piwnic, wynędniających kobiet z dziećmi, starców... Moja matka pchała wózek ze swoim dzieckiem, starając się omijać leżące trupy. Starsze osoby wlokące się resztkami sił były brutalnie popychane lub zabijane na miejscu. Z tłumu, bestialscy oprawcy, wyciągali młode dziewczęta w ruiny - skąd nie wracały. Mama zapamiętała idącego obok niej starszego pana tak niedołęznego, że prowadziła go młodziutka wnuczka. W pewnej chwili dostrzegli ją żołdacy i zaciągnęli w ruiny. Jej dziadka zastrzelili. Ten pochód bezbronnych ofiar niemieckiego terroru szedł ulicami zasłanymi trupami mieszkańców stolicy. Wózek trzeba było wkrótce zostawić, tak samo jak inni porzucili swój dobytek - torby, walizki... Nie mieli siły. W sierpniowym upale szli z dziećmi na rękach - w płaszczach, futrach, we wszystkim co mieli. Ci ludzie wypędzeni z własnych domów stali się biedakami wyczerpanymi nawet z nadziei. Starali się nie oglądać za siebie, aby nie widzieć dymiących ruin ich Warszawy.

W podwarszawskim Pruszkowie, na terenie warsztatów naprawczych taboru kolejowego założony został 6 sierpnia obóz przejściowy (Durchgangslager 121). Utworzony był dla wypędzonych warszawiaków przewożonych tam pociągami pod eskortą. Stamtąd byli transportowani do obozów koncentracyjnych, bez względu na wiek czy stan zdrowia. Szacuje się,

że ponad 50 000 mężczyzn, kobiet i dzieci z powstańczej Warszawy trafiło prosto do obozów koncentracyjnych, załogi których już czekały na „bandytów” z Warszawy, aby pokazać im, że bunt przeciwko Trzeciej Rzeszy to zbrodnia. Stąd szczególnie okrucieństwo wobec tych więźniów. Ponad 150 000 ludzi wywieziono na roboty przymusowe w głąb Niemiec. Resztę - w większości chorych, ludzi starych, kobiety i dzieci rozproszono po terenach Kielecczyny i Krakowskiego. Transporty te odbywały się w bardzo ciężkich warunkach, o głodzie i chłdzie. Mojej matce z dzieckiem i towarzysze niedoli - kuzynce ojca, udało się uniknąć niewoli. Brudne i wygłodzone dotarły pieszo do Podkowy Leśnej.

W Powstaniu Warszawskim zginęło ponad 200 000 ludzi. Wszystkich ofiar nie można ustalić.

Izabella Borowiczowa
- warszawianka rocznik 1944

Fotografie: archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego
i fot. Julia Sielicka-Jastrzębska

Elżbieta Szadura - Urbańska

Projekt „Gajcy”

Staruszka-zakonnica oparta na czarnym parasolu, obok miarowo podrygująca para nastolatków. W kilkutyśiecznym tłumie młodzieży wiele starszych osób. Na scenie hardcorowa „Armia”. Potężnieją zwielokrotnione gitarowym rifem słowa: „Rozwiodły się nad miastem ornamenty łun, na złotych kółkach wieżyc i bełkocie Wisły”. Słowa Tadeusza Gajcego.



Tomek Budzyński
lider Armii
w przejmującym
„Wczorajszemu”
fot. Julia Sielicka
-Jastrzębska

Poeta zginął prawdopodobnie 16 sierpnia 1944 roku na warszawskiej Starówce. Mógł przeżyć. Władze powstańcze zabiegały o to, aby nie brał czynnego udziału w Powstaniu. Mógł ocalić swój talent. On nie potrafił być tylko poetą. Miał zaledwie 22 lata. Tadeusz Gajcy - poeta na nowo zapoznany. Kim mógłby być, gdyby przeżył? Jakie miejsce na poetyckim parnasie zająłby, gdyby na swoją twórczość mógł poświęcić więcej niż tylko kilka lat dorosłego życia? Znamy go jedynie z kilkudziesięciu utworów. Te wcześniejsze, napisane przed 16 rokiem życia zniszczył. Uważał je za niedojrzałe. Tych, które po sobie zostawił - nie powstydzili się najbardziej dojrzały poeta.



Maleo śpiewa
„Pytanie”
fot. Julia Sielicka
-Jastrzębska

25 lipca br. na scenie Parku Wolności przed Muzeum Powstania Warszawskiego wystąpiło 17 czołowych polskich wykonawców i zespołów rockowych. Jednak nie tych znanych z komercyjnych stacji radiowych i szerokiego obiegu. Ci zaproszeni do projektu reprezentują raczej alternatywny, niszowy sposób uprawniania muzyki. Wybrali teksty, które dla nich miały osobiste znaczenie, które poruszyły ich najbardziej. Agresywna 69, Pogodno, Karolina Cicha, Lech Janerka, Kazik Staszewski, Fat Belly Family - żeby wymienić tylko tych, którzy na mnie zrobili największe wrażenie. Mieszanka stylów i brzmień: industrial, reggae, hard rock, punk i folk. Teksty Gajcego, tak jakby napisane specjalnie do tej muzyki. Aktualność i świeżość wyśpiewanych słów poraża.

Pomysł Muzeum Powstania Warszawskiego na realizację w ramach cyklu „Pamiętamy '44” projektu „Gajcy” okazał się rewelacyjny. Płyty sprzedawane podczas koncertu rozeszły się w okamgnieniu. Młodzież przyszła tu pewnie dla



Karolina Cicha,
znana m.in.
z Ośrodka Praktyk
Teatralnych
Gardzienice
fot. Julia Sielicka
-Jastrzębska

swoich muzycznych idoli, starsi - bo cenią poezję Gajcego. Niemożliwe, żeby po koncercie młodzież nie zainteresowała się autorem słów, które skandowała wraz ze swoimi rockowymi idolami. Możliwe, że ci starsi zauważą w młodzieżowej muzyce autentyczność i siłę przekazu. Ale chyba nie o tak oczywiste przesłanie chodziło organizatorom przedsięwzięcia.

Myślę, że zaufali nietuzinkowym artystom, zakładali, że znajdą oni swoją drogę do tej poezji. Zamyśl ten udział się w pełni. Jeżeli nawet ktoś do tej pory nie znał twórczości Gajcego, a alternatywny rock uważał za zjawisko całkiem mu obce, niech czym prędzej wejdzie na YouTube, a tam odnajdzie chociażby Fat Belly Family i „Drogę tajemnic”, jeden z utworów utrwalał na płycie „Gajcy”. Nie można przejsć obojętnie wobec takiego przekazu.

Elżbieta Szadura - Urbańska



„Gajcy” 2009
foto Julia Sielicka
-Jastrzębska

Tadeusz Gajcy

Wczorajszemu

Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin -
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz jak wieniec
na słodkich oczach dziewczyn i szumach topolich.

Ufałeś: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręci.

Kłechda z omszałych lat
- świty w kłechdzie powiewały krwawe -
do snu kołysała dzieci.

Taką kłechdą przełamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy -
rozwiódły się nad miastem ornamenty lun
na złotych kołcach wieżyc i bełkocie Wisły,

muzyka - lecz nie nieba - krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół jak zbłąkany zwier.

A tobie - dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...
Księżyc sierpem zmrúżone rzęsy kosił,
wśród krzyży związał światła purpurową nitkę;
żołnierze nieśli drżące, spokojnie oczy
na sfruwającą powietrzem
białą Nike.

Falował spokój w ciepłej dami,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie posłania.
Więc nakryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył - składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać,
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew -
Ufałeś. Nie ukoł twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu,
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagniet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz -
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatoną,
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.
Bo kłamią. Bo śpiewają gorejącą lawą,
że znowu dłoń na niebo jak na strunę złożysz,
muzykę podasz ustom -

Dzisiaj -
w piaskach cmentarzy
powiedły echa strzałów,
wiruje błękit niski jak wczoraj łaskawy,
jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,
spowije wataw wzruszeń i ciśnie w niepamięć.
Nim ockniesz się, już serce zagubisz w obrazie
i dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj
inaczej ziemię witać!
Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława harda
i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia -
Myślałeś: będzie prościej.
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły jak oszczep.

Przejście

Za grotem mej dłoni - tam przestrzeń wiecznie biała,
w której przejrzysty księżyc jest
jak fragment białej chmury albo anioła sandała
zgubiony na powietrzu. Nieść
cierpliwie trzeba obraz kończący się u wrót
nikłego horyzontu - lecz dłoń przegina ciężar
i ciało błyska trwożnie, kiedy obłoczny strój
opada bez szelestu i dana jest wiedza
tym dłoniom, które niosą,
tym ciałom, które drżą:
nie przejdiesz cienia ręki powietrzem niby mostem
i w obraz się zamienisz twych ojczystych stron.

Więc włosy będą - płomień lub ognisty krzak.
A ręka, która światło zbierała jak owoc,
odrośnie nagłym słupem i głęb fioletową
roztrąci dzwoniąc w okna, za którymi ręce,
człowiecze ręce w płomień zanurzone świecą.
I jak źródło rtęci w twojej piersi będzie serce
pulsować krwawym łukiem spadającym w wieczność.
Więc stopy będą kamień u pielgrzymiej drogi,
która początku nie ma, nieznaną jej kres,
lecz oczom jest jak piorun w schyleniu pokornym
zmęczonej ciężkiej głowy. A nad nią księżyc jest
jak fragment białej chmury albo anioła sandała
w przestrzeni zawieszony do palców, których cień
rysuje krzyż radosny i nad głową spleta
pięć gwiazd oznajmujących twą konieczną śmierć.

Śpiew murów

Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarną przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konchę ucha t a k przyłóż do murów.

Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięt klawiaturą
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.

„Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren.”

- Biegłam rankiem po chleb do piekarni
(a chleba dotąd czekają tam w domu),
a ja leżę z koszykiem bezradnie,
tuż za rogiem, nie znana nikomu...

- Właśnie ręką chwytałem za granat,
żeby czołgi przywitać nim celnie,
ziemia była spękana, zorana -
nagle świat mi się zaczął śmiertelnie...

- Myśmy obie wyniosły na noszach,
jeszcze kocem okryły mu nogi,
bo krzyczeli dokoła, że pożar...
Ja na świstku pisałam: „Mój drogi...”

„Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren.”

Słuchaj tych głosów żalosnych żarliwie,
nim brzask poranny uciszy je w niebie
i nowe miasto w napiętej cięciwie
dni tryumfalnych na nowo pogrzebie.

Słuchaj tych głosów, bo po to szczęśliwie
ocalon został w tragicznej potrzebie,
byś chleb powszedni łamał sprawiedliwiej
i żył za tamtych i za siebie lepiej.

Jak nie kochać strzaskanych tych murów,
tego miasta, co nocą odpływa,
kiedy obie z greckiego marmuru -
i umarła Warszawa, i żywa.

Żegnając się z matką

Jak do Ciebie będę pisał
pochylony nad sobą w żalu.
Serce chłodne świeci jak kryształ
i choć wczoraj się z Tobą rozstałem,
jak Ci słowo do dłoni podam
badający uparcie ciemność,
skoro mówisz: lekka jest młodość
choć ogień bukiet nad ziemią,
skoro mówisz: ciałem człowieczym,
trzeba schodzić nisko, najniżej,
bo radosna w locie tym wieczność
jest kołyską zrodzoną na krzyżu.
Jak Ci sercem odpowiem jak źródłem
wykuty głosem śpiewnym,
kiedy tłum przerażonych jaskółek
niosę po ręce lewej,
jak mych ust niewyczutych graniem
mam zawołać bohaterski i bliski,
gdy po mej ręce prawej
drży ojczyzny pogięta kołyska
i piosenka wieczorna leży
jak owocu zniszczone grono,
dalej niebo, dom mój i księżyc
opuszczony jak Ty i młodość.

Wezwanie

Już noc lub dzień jak wody ziarno
wydzielasz mi z uśmiechem patrząc,
gdy ciała mego smutny barok
zawile trwa pod Twoją gwiazdą.

Nie świecisz we mnie i nie śpiewasz,
mym ustom ogień zamiast kwiatu,
a dłoni ostrze dajesz teraz,
jak obiecałeś sen i światło.

Prowadzisz mnie, czy tylko stoję,
jak stoi drzewo pod przelotem
czystego nieba albo płomień
nad krajem niebu niepodobnym?

Przemawiasz do mnie czy szyderczy
pociskiem godzisz, by zakrakał
nad nierozumnym moim sercem
jak kiedyś liść lub jak fujarka?

Zstępujesz Ty, czy ja wyrastam
ponad swój głos i niemy pejzaż
i czyja dłoń ma kształt żelaza
i czyje słowo jest jak z serca?

Nie powiesz mi, a ja nie zgadnę
ni jagnię Tobie, ani pasterz
i tylko nad milczeniem naszym
to samo słońce chmury kładzie.

Krzysztof Lisowski

*J*ego czas dopiero nadchodzi.
W 70-lecie śmierci Witkacego

Stanisław Ignacy
Witkiewicz,
Autoportret z 1938 r.
znajdujący się
w Muzeum
Górnośląskim
w Bytomiu



Czołowi historycy literatury polskiej XX stulecia prawie zgodnie twierdzą, że z dwudziestolecia międzywojennego pozostały trzy niezwykle inspirujące postacie artystów-nowatorów. Ich dzieła nadal bywają komentowane, cytowane, wpływają na tok myślenia twórców współczesnych. Ta „trójca” nowoczesnych artystów to Bruno Schulz, Witold Gombrowicz i - jak go nazwał trafnie przyjaciel Jerzy E. Płomieński - „polski *pontifex maximus* katastrofizmu” Stanisław Ignacy Witkiewicz, który od 1918 roku swoje płótna podpisywał pseudonimem Witkacy.

Witkacy, który po wkroczeniu wojsk sowieckich w granice Rzeczypospolitej 17 września 1939 roku wybrał samobójstwo w poleskim lesie, wydaje się osobowością twórczą ciągle z tej trójki najmniej „ogarniętą” i przyswojoną. Z jakiej przyczyny? A z takiej, że pozostała po nim najobszerniejsza spuścizna - setki obrazów i rysunków, kilkadziesiąt dramatów, rozprawy filozoficzne, sporo fotografii, tysiące listów, zarówno do osób związanych z artystą bliżej, jak i korespondencji z filozofami i uczonymi dotyczącej zagadnień filozofii, teorii sztuki, malarstwa, teatru, koncepcji Czystej Formy, której był autorem. Wiele z tych dzieł spoczywa w archiwach, wiele rozproszyło się po świecie, sporo zaginęło (około dwudziestu dramatów wymaga odszukania) i czeka na swego odkrywcę.

Wśród badaczy tak różnorodnego dorobku wszechstronnego artysty znalazło się kilkunastu wybitnych egzegetów, najwięcej jednak zasług jako odkrywca, edytor, niezmordowany poszukiwacz, który z pasją detektywa od dziesięcioleci tropi najmniejsze ślady Witkacego, ma profesor Janusz Degler, który w 70. rocznicę tragicznego odejścia autora *Szewców* przygotował niezwykle kompetentnie *Witkacego portret wielokrotny*, noszący jakże skromny podtytuł: *Szkice i materiały do biografii (1918-1939)*. To obszerne, znakomicie zilustrowane dzieło stanowi solidny fundament dla dalszych prac badawczych, a jednocześnie pozostaje summą wiedzy i naukowo-badawczych dociekań Deglera, dzisiejszym „stanem wiedzy” o Witkacym.

Jeśli ktoś widział którąś z wystaw poświęconych fotografiom Witkacego, pamiętać powinien słynny portret wielokrotny Stanisława Ignacego Witkiewicza, wykonany w Petersburgu ok. roku 1916 - artysta w mundurze oficera lejbgwardii Pawłowskiego Pułku przegląda się w lustrach: widzimy pięć postaci, ta sama twarz w kolejnym ujęciu wygląda inaczej, jego obecność, dzięki lustrzanym odbiciom jest „zwielokrotniona i wieloraka”. Czyż to nie początek dojrzalej autokreacji, jakże często mylącej nawet dobrych obserwatorów i wytrawnych konsumentów sztuki?

Bo kim był? Dramato- i powieściopisarzem, filozofem (za *hauptwerk*, czyli swe główne dzieło filozoficzne, uznawał opublikowaną w 1935 roku rozprawę *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia*) i prawdziwie nowatorskim teoretykiem sztuki, kreatorem i reformatorem nowoczesnego teatru, podróżnikiem (odbył z przyjacielem Bronisławem Malinowskim wyprawę naukową na Wyspy Trobriandzkie), fotografem, malarzem (od 1924 zarzuca tzw. malarstwo istotne i zakłada jednoosobową Firmę Portretową S. I. Witkiewicz, stanowiącą do końca życia jego podstawowe, niekiedy bardzo niepewne źródło utrzymania), krytykiem i publicystą, poetą, eksperymentatorem (badał wpływ działania euforiantów na proces twórczy, co opisał w studium *Narkotyki*). Był więc w wielu dziedzinach twórczej aktywności niewątpliwym prekursorem, burzycielem zastanych form, pojęć, zapatrywań.

W pierwszej części książki - kalendarium - Janusz Degler pracowicie zestawia wydarzenia z dojrzalej fazy twórczych działań Witkacego, relacjonuje różne fakty z jego wielorakiej aktywności, związki z kobietami (tu najciekawsze są dwa wątki: relacje z żoną Jadwigą z Unrugów i drugą wielką miłością jego życia Czesławą Oknińską-Korzeniowską, z którą udał się we wrześniu 1939 na Polesie, gdzie postanowili

wspólnie odebrać sobie życie; Oknińska po zażyciu środków nasennych przeżyła, Witkacy podciął sobie żyły i zmarł; został pochowany na niewielkim wiejskim cmentarzyku), kontakty z wybitnymi przedstawicielami sztuki i nauki polskiej i światowej - na uwagę zasługuje fragment o wizycie jego mistrza Johannes Wilhelma Corneliusa, neokantysty, którego uczniami byli m.in. także Max Horkheimer i Theodor Adorno.

Obok tekstu głównego, warto czytać kapitalne przypisy informujące na przykład o osobliwym trybie „wypróbowywania” znajomych czy chwaleniu się albumami osobliwości, które zawierały m.in.: zasuszony język noworodka, wyrostek robaczkowy usunięty znajomej, podwiązkę tancerki Rity Sacchetto czy niedopałek papierosa Józefa Piłsudskiego. Nawiasem mówiąc, przez ojca Stanisława Witkiewicza, twórcę stylu zakopiańskiego w architekturze i malarza, skoligacony był z wieloma znakomitościami (jego matką chrzestną była Helena Modrzejewska).

Wzbogaca i wypełnia poszczególne fragmenty kalendarium część druga: przynosi spore partie korespondencji (listy wymieniane m.in. z Cornelusem, Czachowskim, Makuszyńskim, Płomieńskim, żoną i Czesławą), relacjonuje „sprawę honorową” z Karolem Stryeńskim, fakty związane z powstaniem Teatru Formistów, związkach Witkacego z kinem, wyjaśnia, kim byli współautorzy *Narkotyków*, przypomina znajomość z Deborą Vogel, mężą Brunona Schulza.

Jednym z najciekawszych rozdziałów *Szkiców i materiałów* jest część *O pobycie Witkacego w Rosji w świetle dokumentów*. Artysta po powrocie z wyprawy z Bronisławem Malinowskim do Australii zaciągnął się do armii carskiej, dowodził jedną z kompanii wyborowego pułku. Ranny w bitwie nad Stochodem (przeciwnikami byli zapewne żołnierze z II Brygady Legionów Polskich), został odznaczony wysokim odznaczeniem bojowym. W początkach rewolucji to właśnie część jego pułku buntuje się przeciwko dowództwu i przechodzi na stronę bolszewików: „Obserwowałem to niebывале zdarzenie zupełnie z bliska, będąc oficerem Pawłowskiego Pułku Gwardii, który je rozpoczął”. Witkacy został, według niektórych badaczy, „czerwonym komisarzem”. W 1918 roku wrócił do Polski, zaczął życie i pracę w zupełnie innych warunkach, naznaczony jednak mocno traumą tamtych wydarzeń.

Pisze Degler: „Pobyt Stanisława Ignacego Witkiewicza w Rosji - od połowy października 1914 do końca czerwca 1918 - to najważniejszy okres w jego biografii. Wszyscy badacze i krytycy

zgodnie uważają, że te cztery lata uformowały go jako człowieka i jako artystę, stając się dlań najistotniejszym doświadczeniem w wymiarach nie tylko egzystencjalnych, ale także estetycznych, filozoficznych i historiozoficznych. (...) Bo właśnie w Rosji Witkacy ujrzy przypadkiem twarz XX wieku” - stwierdzi Konstanty Puzyna”.

Uznawany przez jednych za wariata, dewianta, degenerata, przez innych - za wybitnego prekursora sztuki nowoczesnej, Witkacy był w gruncie rzeczy człowiekiem niezwykle „ułożonym”, skrupulatnym, pracowitym, rozsądnym; o jego wielu twarzach świadczą przede wszystkim listy, w których dzieli się z bliskimi detalami ze swego pracowitego i w rzeczywistości niełatwego życia.

Sejm RP w dniu 11 września 2009 roku uczcił przez aklamację pamięć Stanisława Ignacego Witkiewicza, nazywając Witkacego jednym z największych artystów XX wieku: „Był niezwykle barwną osobowością, ukrywającą pod błazeńską maską troskę o losy kraju i europejskiej kultury. Jego pesymistyczne wizje przyszłości, którym dał wyraz m.in. w powieści *Nienasycenie* i dramacie *Szewcy*, okazały się trafnymi diagnozami losu cywilizacji XX wieku. Za życia rozumiany tylko przez nielicznych, po wojnie został odkryty na nowo i stał się artystą znanym nie tylko w Polsce, ale i na świecie. (...) Jego dzieło i postawa artystyczna stanowią trwałe punkty odniesienia dla kolejnych pokoleń twórców i odbiorców kultury”.

Krzysztof Lisowski

Janusz Degler, *Witkacego portret wielokrotny. Szkice i materiały do biografii (1918-1939)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2009. Publikacja za: *Nowy Dziennik/Przegląd Polski*, Nowy Jork, 18 września 2009. www.dziennik.com



Anna Kicińska

Henryk Radej

Epitafium dla Anny

I.

Jaskrawe, letnie słońce co chwila przebija się przez korony sosen. Anna jest dziś w lesie za miastem. Włożyła ciemne okulary, aby nie widzieli jej zdziwionego wzroku, a może też i też. Do jej oczu wciąż podpywają nowe twarze. Nie wszystkie od razu poznaje. Dziś jej zasuszony motyl wreszcie wykuł się z kokonu i ujrzał światło. Wszyscy podziwiają Annę żywą i prawie zdrową. Tylko ona wie, ile ją to kosztuje cierpienie. To jakiś niesamowity zbieg okoliczności. Wszyscy uśmiechają się do niej. Do Anny podchodzi mężczyzna. Pachnie dymem z ogniska, a może pali fajkę? Całuje jej dłoń - jej ciało mrozi dreszcz. Przez chwile zastanawia się, kiedy ostatnio czuła męski dotyk, pocałunek? Las tańczy wokół Anny. Ona też zatańczyłaby wokół ognia. Mężczyzna mówi, że jej wiersze są zbyt „suche”, ale piękne. To nic, że odzwierciedlają świat zza szyby, w którym na pozór nic się nie dzieje. Anna nie słucha go. Co on wie o potrzebie wykrzyczenia swojego bólu i stresów? Uczzone gadanie, a w dodatku nieśmieszne. On wcale nie jest męski!

Wieczorem Anna wraca do domu. Dzień był nadspodziewanie szczęśliwy. Jest zmęczona po tyłu emocjach. Chce jej się płakać ze szczęścia i z żalu nad sobą. Pusta ulica. Noc wymiotła spóźnione kroki przechodniów. Jeszcze daleko do świtu. Wydaje się jej, że dotyka czaszy światła. Ponad latarnią widzi wystrzony sierp księżycy. Nów sływa jej do serca srebrzystym dzwonieniem. Anna przystaje. Pochyla się i dotyka ziemi. Czuje jak pod brukiem ulicy kwitną sasanki. Cisza dzwoni jej w uszach. A ona cała w kaskadzie gwiazd. Sama ze swoim bólem i poezją. Samotna.

II.

Annie nie pomagają żadne leki. Czuje się jak roznieciona mucha, która jeszcze porusza skrzydłami. Coś się w niej załamało. Najgorsze jest to, że nikt nie zna przyczyny jej choroby. Anna godzi się ze wszystkim i dziękuje losowi, że może jeszcze być i choć przez okno oglądać świat. Tak bardzo chciałaby pojechać na finał konkursu poetyckiego. Chce uciec na trochę z domu pełnego cierpienia jej i matki, ale nie jest panią swoich pragnień. O tym decyduje jej skołatane serce. Od dłuższego czasu nie wychodzi z domu i boi się wszelkich podróży. Przez ostatnie lata w jej życiu niby nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się tak wiele. Podnosi do oczu gazetę, cały stos gazet. Tutaj są jej wiersze. Otwiera książki. Tyle po niej zostanie. Obok w gotowości czeka zawsze plik kartek i długopis. Anna parzy mocną herbatę. Jest trzecia w nocy. Nie może spać. „Wypoczywała” sześć tygodni w szpitalu. „Zeszczupiała” - wycisnęli z niej dziewięć kilogramów wody.

III.

Pierwsza od miesiąca próba wyjścia Anny na spacer kończy się klęską. Leczy potłuczenia. Ponawia próbę, choć trochę się boi. Poza tym słyszy jak grzmi niebo. Robi się ciemno i będzie burza. Cieszy się, bo już na pewno nikt do niej nie przyjdzie. Cały wczorajszy wieczór i dziś od rana - istny korowód znajomych. Anna zmusza się do grzeczności i maskuje swój ból. Wreszcie ma godzinę przerwy dla siebie. Podlewa kwiaty i pisze list. Ten list pisze na stojąco oparta łokciami o stół. Znow stała się wyjątkowo „okrągła”. Ma spuchniętą twarz i całe ciało. Od dziś postanawia nie jeść. Jednak nie może odmówić sobie jednego papierosa. Atak kaszlu wpędza Annę do łazienki. Za oknem rozpadało się. Natura przyszła jej z pomocą. Chciałaby napisać coś radosnego. Może wiersz? Najlepiej list, jeszcze jeden list, ale nie ma w niej radości. Po dziesięciu zastrzykach dziennie czuje się otępiała.

IV.

Całą noc Anna walczy z szatanem - zapewne istnieje, skoro istnieje Bóg. Szufladka z lekami nasennymi paraliżuje jej myśli. Wygrała z tym draniem, i nie chce mieć więcej nic wspólnego z pisanem i z grupą poetów. Tak niewiele zostało jej życia. Czuje to coraz bardziej. Pragnie spokoju. Będzie wyszywać, robić na drutach - ale nie pisać! Chce czytać, rozwiązywać krzyżówki - to uspokaja, pozwala zapomnieć o podłościach rzeczywistości. Tak mało piękna przeżyła w swoim życiu. Los skazał ją na banicję „daleko od drzew strzelistych”. Powoli zapomina ich kształty i magiczną siłę. Pozostała jej udręczona pamięć i niezniszczalne pragnienie powrotu do świata.

V.

Święto. Anna w niezobowiązującym stroju siedzi na tarasie. Przed sobą, na wprost widzi dworek Chopina, przepiękny park ze słynną fontanną. Stara się nie zauważać niedzielnej rewii mody na deptaku. Budynek, w którym „mieszka” stoi w ładnym miejscu, ale jest wyjątkowo obskurny. Do dziś nie może dopchać się do łazienki - jedna na dwa piętra. Żałuje przyjazdu tutaj - czas stracony. Serce coraz bardziej boli Annę. Ma wrażenie, że jest na wczasach, a nie na intensywnym leczeniu. Nie może doczekać się następnego koncertu w dworku Chopina. I spacerować tutaj nie są tak męczące. Usiłuje czytać jakąś książkę. Potem pisze listy do B. i do H. Strasznie stęskniła się za rozmową z B.

VI.

Anna wraca z uzdrowiska. Wita się z matką, która czuje się nie najlepiej. Po kilku dniach odprowadza ją do szpitala. W czasie nieobecności Anny musiała chorować. Anna boi się, że będzie nocami siedzieć przy matce. Stało się. Wszystko robi sama. Nie stać jej na płatne usługi salowych i wszechobecne pielęgniarki. Renty nie wystarcza. Zaraz po Zaduszkach matka umiera. Anna cały czas czuje jej obecność. Matkę kładą w grobowcu tuż za bramą - kilkadziesiąt metrów od bloku, w którym razem mieszkały.

VII.

Przerażająco puste mieszkanie. Anna żyje z dnia na dzień. Niczego dla siebie nie chce. Nie myśli, co będzie jutro. Boi się postawić pierwszy krok w nową samotność. Najchętniej spałaby dzień i noc, ale nie może. Aby nie zwariować, pisze „Listy do brata”. Potem bierze się za porządki. Myje, pierze, hałasuje po nocach. Sąsiedzi mają dosyć - nie potrafią zrozumieć. Skończyła. Co dalej? Zaczyna sprzątać od początku. Rano czeka na opiekunkę, a wraz z nią na listy, gazetę. Kochane listy, jej jedyny kontakt ze światem. Nie wyobraża sobie bez nich życia. Gdyby tak jeszcze telefon. Można rozmawiać, nie pokazując przy tym obolałej twarzy. Sąsiadka ma telefon. Pukanie do drzwi. Pozwala zadzwonić. Ale jego nie ma w domu. Nie pisze też listów. Wczoraj przyszła spóźniona widowówka.

* * *

Anna Kicińska zmarła 20 lat temu, 28 sierpnia 1989 roku w szpitalu krasnostawskim. Miała 48 lat. Żegnana przez garstkę najbliższych, spoczęła na cmentarzu w Krasnymstawie. Tak bardzo chciała żyć. Nie napisała jeszcze wszystkich wierszy. Nie doczekała się swojej książki ani nie obejrzała w kolorze ulubionego filmu o Cyganach. Zostawiła nam siebie w listach, kronikach grupy literackiej „Słowo” i głębokich, bolesnych wierszach. Pamięć o Jej dobrym sercu przechowują najbliżsi i przyjaciele trwający w słowie.

Jeżeli prawdą jest, że w chwili śmierci człowiek ogląda obrazy ze swego życia, Anna musiała widzieć i te, które tutaj opisałem.

Henryk Radej



Anna Kicińska
(1941-1989)

* * *

*ucieczka w głąb siebie
nie jest ucieczką od ludzi,
ale od pozorów wielkości,
które sieją
i sycą nimi swoje EGO*

nie podejmę
kamienia pokory
co z każdym krokiem
staje się cięższy -
wydłuża ręce
w niemy gest błagania

nie wykrzyczę
wezbranego buntu
co pozwala echu
wychłostać olbrzymów -
mam zakneblowane usta
przykazaniem miłości bliźniego

a przecież
nienawidzę samej siebie
unicestwiam duszę po horyzont trwania
i żadna obawa
popelniania grzechów
nie jest dla mnie spętaniem

dręcę noce
odarte z wiary
senne tanecznicze
któraś z następnych
uchwyci za gardło
krzyk wtopi się we mnie
pozostanie
w niewdzięcznych oczach

rano
nikt nie będzie wiedział
dlaczego paznokciami
na twarzy
rzeźbię czerwone łyzy

* * *

*nóż służy
do krajania chleba*

nie tylko
mój wielki
co biel opisujesz
szarością

nóż jest
magnesem
gdy dzień
pustką syty

czerwienią opis
białe przeguby
dłoni
z których jabłka
NIKT

i nie łudź
że głos
drugiego człowieka
wszechobecny

jestem
w środku życia
gdzie chleb i nóż
na krawędzi
wystygłego stołu
już nie czekają
na spotkanie

Azyl

jest papier
urągławie czysty
i pióro
niewrażliwe
na krajobraz
rozmytego deszczem
lipca

w wiersz
nie wykłuty z kokonu
motyl
drży we mnie
przykluty szpilką
do serca

Anna Kicińska

* * *

dotykam lustra
 dłoń łączy się z dłonią
 jest ruch
 jest kształt
 jest barwa
 bo ja tu jestem
 na odległość żrenic
 bliska
 a jakże daleka
 od złudnej nadziei świtu

nim wyjdę z lustra
 ostatnim spojrzeniem
 nim czas pamięci
 otworzy podwoje
 chcę jeszcze ciebie
 wieczorna godzino
 czerpać do końca
 przeistaczać w słowa
 jak gdy kto dotknie
 kart chropawej bieli
 myśl połączy z myślą

to może wówczas serca
 mego tętno
 w krwiobiegu czasu
 pulsujące
 wyczuje pod powieką

Moja ulica

noc wymiotła
 spóźnione kroki
 do ostatniego stukotu obcasów
 jeszcze dalekie świtanie
 jeszcze czerń pachnie
 spokojem hebanu
 jeszcze
 dotykam czaszy światła
 sokorą wysoką
 ponad latarniami
 księżycą wyostrzone sierpy
 nów
 spływa do serca
 srebrzystym dzwonieniem
 dotykam ziemi
 pod brukiem mojej ulicy
 zakwitły sasanki
 tak cicho
 a ja cała
 w gwiżdż kaskadzie
 od stóp
 do spojrzeń niebotycznych
 oczyma
 do życia przywracam
 ukamienowany pejzaż

rankiem
 nie ufam drzewom
 ręcznikowi
 szklance
 dotyk zastępuje oczy
 tylko fotel
 przyjazny
 idzie do mnie
 na ośmiu nogach

powoli
 obłaskawiam
 dwoistość kształtów
 odmawiam
 w czasie i przestrzeni
 słowo Być
 to pomaga
 uporządkować
 dopełnić

przecież
 tyle jeszcze
 do wieczora
 wiosny

byłam z deszczu
 byłam z ciepła
 byłam z wiary...

nie straszne mi
 dni bez wyjścia
 drzazgi na wskroś dłoni
 objęcia pustookiej

znam gorszy ból
 kikuty kwiatów spopielale
 serca skurczone niepamięcią
 strzępy dotyku na kamieniach

mówisz
 bariera
 której przekroczyć nie mogę

za nią
 nie moja ziemia w czekaniu
 na deszcz
 ablucję z szarości
 kołysze rozbudzone wnętrza

nie moje drzewo z piąstkami
 liści
 na piersiach nieba
 z którego strumieniem słońce

Anna Kicińska

może ocalisz
ciepły obraz zmierzchu
a może
nic
nie zrozumiesz
tylko noc
zadzwoń gwiazdami
na wędrówkę
po zdeptanych śniegach

może mi powiesz
skąd tyle pychy
tyle przebiegłości
w małych ludzikach
srebrzonych Księżycem
a On
taki ogromny
i taki prawdziwy
aż do bólu

Pokusa

Krawędzi życia uczepiona
dosięgam stopami
dna bólu.
Wiem, że pod nim
czeluście otwiera
kuszący bezmiar
ukojenia.

Skwitować siarczystym splunięciem
wszystkie kopniaki
od wszechmocnych
rozewrzeć
zbielałe palce
i runąć
w dół...

 legendy ziemi krasnostawskiej

Plon poprzedniego konkursu publikowaliśmy w „Nestorze” nr 2(4)2008. Nadspodziewanie legendy pisane przez dzieci spotkały się z wielką aprobatą i zainteresowaniem czytelników. Jak najbardziej i tego roku należy pogratulować trafionego pomysłu Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie, która przeprowadziła już VI edycję Powiatowego Konkursu Literacko-Plastycznego „Legendy ziemi krasnostawskiej”. Tym razem na łamach „Nestora” prezentujemy wszystkie nagrodzone prace literackie. Wyłonione one zostały 3 czerwca przez komisję konkursową, która obradowała w składzie: Joanna Kawęcka - nauczyciel plastyki w MDK, Dorota Korkosz - starszy kustosz PBP i Andrzej D. Misiura - poeta, redaktor naczelny czasopisma „Nestor”. Zgodnie z regulaminem, oceny prac dokonano w dwóch kategoriach: plastycznej (wpłynęło 50 prac) i literackiej (37 prac). Ich autorami byli uczniowie klas IV z 13 szkół podstawowych.

Nagrodę specjalną Czasopisma Artystycznego „Nestor” otrzymał **Jakub Sokół** za pracę „**Legenda o Szczeku, Wieprzu, karpach i koziółkach krasnostawskich**”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II, opiekun: Sylwia Szymańska.

Trzy nagrody otrzymali:

1. **Barbara Daniluk** za pracę „**Legenda o Krynicy**”, Szkoła Podstawowa w Krupem, opiekun: Monika Głowacka;
2. **Bartłomiej Krawiec** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II, opiekun: Sylwia Szymańska;
3. **Michał Sadło** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II, opiekun: Sylwia Szymańska.

Wyróżnienia:

1. **Kinga Berbec** za pracę „**O Władysławie Sławnym**”, Szkoła Podstawowa w Chłaniowie, opiekun: Dorota Kielbasa;
2. **Mateusz Kasprzak** za pracę „**Studnia bez dna**” Szkoła Podstawowa w Bzitem, opiekun: Małgorzata Krasowska;
3. **Szymon Sawa** za pracę „**Legenda o Małym i Chwieju**”, Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym, opiekun: Mirosław Iwańczyk,
4. **Łukasz Mazurek** za pracę „**Historia fontanny krasnostawskiej**”, Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej w Siennicy Nadolnej, opiekunki: Beata Frącek, Beata Wrońska;

5. **Elżbieta Kapelusznia** za pracę „**Legenda o rycerzu kowalu**”, Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej w Siennicy Nadolnej, opiekunki: Beata Frącek, Beata Wrońska;
6. **Paulina Demczuk** za pracę „**Legenda o ulicy Stokowej**”, Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie, opiekun: Dorota Szpakowska-Matczuk.

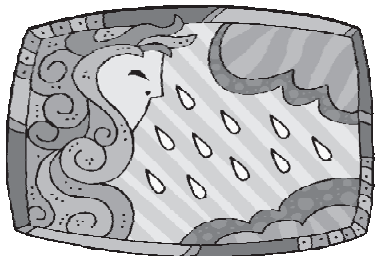
W kategorii plastycznej zadanie konkursowe polegało na zilustrowaniu wybranej legendy dowolną techniką plastyczną. Trzy kolejne nagrody w tej kategorii otrzymali:

1. **Gabriela Korowaj** za pracę „**Zapadły kościół**”, Szkoła Podstawowa im. Batalionów Chłopskich w Jaślikowie, opiekun: Agnieszka Jasińska-Galan;
2. **Grzegorz Miścior** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie, opiekun: Agnieszka Jasińska-Galan;
3. **Anna Rudnik** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie, opiekun: Teresa Miszczak.

Wyróżnienia:

1. **Diana Kozak** za pracę „**Królewski błazen w Krasnymstawie**”, Szkoła Podstawowa w Chłaniowie, opiekun: Dorota Kielbasa;
2. **Weronika Kubacka** za pracę „**Hrabina łabędziem**”, Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej, opiekun: Bożena Łaniewska;
3. **Dawid Kulawczuk** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej w Siennicy Nadolnej, opiekunki: Beata Frącek, Beata Wrońska;
4. **Kamil Matwiejczuk** za pracę „**Zatopione miasto**”, Szkoła Podstawowa im. Batalionów Chłopskich w Jaślikowie, opiekun: Agnieszka Jasińska-Galan;
5. **Aleksandra Panas** za pracę „**Legenda o Krasnymstawie**”, Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie, opiekun: Teresa Miszczak;
6. **Katarzyna Rotmańska** za pracę „**Legenda o Białej Damie**”, Szkoła Podstawowa w Bzitem, opiekun: Renata Marczeńska.

Za naszym pośrednictwem organizatorzy składają podziękowanie autorom prac literackich i plastycznych za ich udział w konkursie, dziękują nauczycielom za przygotowanie dzieci, gratulują nagrodzonym i wyróżnionym.



red.

Nagrodzone prace

Legenda o Szczeku, Wieprzu, Karpiach i koziołkach krasnostawskich

Dawno, dawno temu, żył sobie dzielny rycerz o imieniu Szczek. Wędrował wraz ze swoją drużyną wojów w poszukiwaniu przygód oraz miejsca, gdzie mógłby założyć własny gród. Pewnego dnia Szczek ujrzał piękny widok - wzgórze i dużą rzekę, do której wpadała mniejsza rzeka. Postanowił, że w tym miejscu zbuduje swój zamek. Nie wiedział jednak, że dostępu do wzgórza bronią złe i podstępne czarownice, które mieszkały w pobliżu. Za ustąpienie wiedzy zażądały jednak rzeczy bardzo dziwnej - opasłej świni. Świnia okazał się wielki wieprz, którego ludzie Szczeka hodowali w swoim obozie. Sprytny i przebiegły rycerz postanowił ulec żądaniu czarownic i zgodził się na dostarczenie wieprzka wielką łodzią na środek rzeki, z którego miały odebrać go czarownice. Jednak te miały tylko małą łódkę, która po przełożeniu wielkiego i ciężkiego świniaka zatонуła wraz z wiedźmami i zwierzęciem. Na okoliczność tego wydarzenia rzecę nadano nazwę Wieprz.

Pozbyszy się złego towarzystwa, Szczek wraz ze swoimi ludźmi zajął się budową drewnianego grodu. Jednak nie było to łatwe, bowiem w jaskini mieszkał biały niedźwiedź. Z racji tego, że zwierzę było inne niż wszystkie, rycerze Szczeka nie chcieli go zabijać, ale postanowili wypędzić. Niedźwiedź trafił do Chelma, gdzie potem został uwieczniony w godle tego miasta.

Pewnego dnia Szczek łowił ryby w rzece Wieprz i tam spotkał smutnego rybaka na łodzi. Rybak ów nazywał się Wars i szukał pięknej, tajemniczej dziewczyny o imieniu Sawa. Szczek odpowiedział mu, że słyszał o takiej, ale mieszka ona w Wiśle, a nie w Wieprzu. Wars grzecznie podziękował i popłynął ku Wiśle. Dalszy ciąg tej romantycznej historii zakończył się założeniem Warszawy.

Gród, który wybudował Szczek nazwano Szczekarzewem. Niebawem do miasta przybył król Jagiełło ze swoim orszakiem i kasztelan chciał ich ładnie ugościć. Poprosił więc swojego kucharza, aby podał coś smacznego na stół. Kucharz przygotował dwa dorodne karpie, podane w szafranie, które królowi i gościom wybornie smakowały. Później wraz z prawami miejskimi, nadanymi przez króla dwa słynne karpie zostały uwieńczone w herbie miasta. Po kilku latach ten sam król z żoną Sońką, która była Rusinką, przybywszy do Szczekarzewa przyczynił się do zmiany nazwy miasta. Królowa ujrawszy z daleka gród oraz otaczające go wody powiedziała: „Ach, jaki krasnyj staw” i od tego czasu miasto nazywano Krasnystaw.

W dowód wdzięczności Szczek obdarował parę królewską śliczną kozią rodziną. W powrotnej drodze do stolicy Jagiełło pozostawił najładniejszą kozę w herbie Lublina, a rozbrykane koziołki zapędziły się aż do Poznania i do tej pory są symbolem tego miasta.

Jakub Sokół
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II
w Krasnymstawie

Legenda o Krynicy

W dawnych czasach, na południowo-wschodnim krańcu Polski była mała wioska bardzo często nękana najazdami tatarskimi. Tatarzy zabierali niemal cały dobytek ludzi, którzy tam mieszkali. Uprawdzali także kobiety i dzieci. Ludzie nie mieli sił do obrony swej ziemi, więc z niepokojem patrzyli w stronę obszernych pól i przepięknych lasów, otaczających wioskę. Mieszkańcy tej żyznej ziemi postanowili opuścić swoją wioskę i powędrować w odległe tereny kraju, aby zachować chociaż resztki swojego dobytku, aby ich dzieci mogły spokojnie spać.

Pewnego dnia do tej małej wioski przyjechał młody rycerz wracający z potyczki zbrojnej z Tatarami. Był wychudzony i spragniony. Wstał do pierwszej chaty i prosił o pomoc: „Dobrzy ludzie, dajcie choćby łyk wody i kromkę chleba, abym mógł się posilić”. Gospodarz przywitał go smutnym, lecz życzliwym uśmiechem: „Pomożemy czcigodny rycerzu, czym chata bogata. Nie mamy tego wiele, ale zawsze radzi jesteśmy gościom. Usiądź proszę i odpocznij, zaraz żona coś przygotuje”. Młody rycerz zdumiony słowami gospodarza usiadł, aby odpocząć przed dalszą podróżą. W czasie, kiedy żona gospodarza przyrządziła posiłek, gospodarz opowiedział rycerzowi smutną historię wioski. Ten, posiliwszy się, powiedział: „Za wasze dobre i życzliwe serce, gospodarzu, pomogę wam bronić waszej wioski. Widziałem opodał wzgórze, zbudujemy tam wieżę wysoką, aby z daleka można było zobaczyć najeżdżącą”. „Cóż nam z tego dobre panie - powiedział gospodarz - kiedy ludzie nie zdołają uciec?” Na to rycerz odpowiedział: „I ludzi uratujemy. Pod wieżą wykopimy tunele w cztery strony świata, którymi ludzie uciekną”. Jak powiedział młody rycerz, tak też uczyniono. Wszyscy mieszkańcy pomogli przy budowie wieży i podziemi od niej biegnących. Po skończonej ciężkiej pracy rycerz wyruszył w dalszą podróż, lecz obiecał mieszkańcom, że wróci tu ponownie. Mijał czas, mieszkańcy wioski nie obawiali się już najazdów, bo dzięki wieży, którą zbudowali, mogli w porę uciec z całym dobytkiem. Kilkakrotnie potem

napadano wioskę, lecz bezskutecznie. Ludzie uciekali, zostawiając puste domy. Tatarzy wściekali się, że nie mają żadnych łupów. Postanowili więc zniszczyć wieżę, lecz była ona tak solidna, że nawet jeden kamień się nie odłupał. Do podziemi nie mieli odwagi wejść, więc zniszczyli doszczętnie całą wioskę, a jedyne źródło, które dostarczało wodę zasypali. Nie chcieli już tutaj wracać i myśleli, że mieszkańcy też nie wrócą. Jakże się mylili! Po kilku dniach ludzie powrócili do swej wioski. Ze łzami oglądali zniszczenia, lecz najbardziej ubolewali nad zasypanym źródłem, które biło od niepamiętnych czasów. Nagle wśród łkań i lamentów rozległy się radosne okrzyki. To rycerz przyjechał zobaczyć, jak radzą sobie mieszkańcy. Zeskoczył z konia i stanął w miejscu, gdzie kiedyś biło źródło. Teraz była tam tylko ubita ziemia. Zmartwiony, wyciągnął miecz i wbił go z żalem po rękojeść w ziemię, myśląc, że wszystko przepadło i mieszkańcy będą zmuszeni opuścić to miejsce. Lecz ku zaskoczeniu wszystkich spod miecza wytrysnęła woda, a rycerz wzniósł oczy ku niebu dziękując Bogu za pomoc.

Od tamtego dnia wioska nosi nazwę Krynica, symbolizując bijące źródło. To rycerz nadał tę nazwę i postanowił się tam osiedlić. Pokochał wioskę i ludzi w niej mieszkających oraz wieżę stojącą na wzgórzu w lesie.

Barbara Daniluk
Szkoła Podstawowa w Krupem

Legenda o Krasnymstawie

Przed wiekami nad brzegiem malowniczo położonej rzeki rozciągała się piękna puszcza. Były tam groźne gąszcze, świetliste polany, niebezpieczne bagna i jeziora. W jednych z jezior mieszkał wodnik o imieniu Krasny. Było to stworzenie podobne do człowieka, ale małe i zielone. Miało długą brodę z trzciny, wyłupiaste oczy i włosy z sitowia. Wodnik nosił zawsze zaczarowany płaszcz, który mógł przybierać różne kształty.

Krasny lubił płać figle ludziom i bawić się z dziećmi. Często, kiedy zaszła potrzeba, pomagał tym, którzy byli w opałach. Znali go dobrze mieszkańcy pobliskiego grodu i bardzo lubili.

Pewnej letniej nocy wodnik siedział nad brzegiem swojej sadzawki, podziwiał rozgwieżdżone niebo i słuchał śpiewów dochodzących z grodu. Nagle zauważył na skraju łunę i dym. Pożar szybko zbliżał się do miasteczka i otaczał je ze wszystkich stron. Krasny wiedział, że jeżeli on nie pomoże, to mieszkańcy zginą w płomieniach. Tylko duża ilość wody mogła ugasić żywioł.

Wodnik ze swojego zaczarowanego płaszcza szybko zrobił wielki worek i zebrał do niego całą wodę ze swojego stawu. Szybko wzbił się i poleciał nad osadę. Ujrzał z góry przerażonych ludzi, wołających o pomoc. Mieszkańcy stracili już nadzieję i myśleli, że zginął w płomieniach. Wówczas wodnik rozwiązał worek i wylał z niego cały swój staw. Woda szybko ugasiła pożar. Uradowani mieszkańcy wznosili okrzyki: „Krasny staw swój poświęcił, aby nas uratować, Krasny staw nam podarował, Krasny wodą ze stawu ugasił pożar!”

Wszyscy byli bardzo szczęśliwi, że udało się uratować ukochaną osadę. Zaprośli wodnika na wspaniałą ucztę, na której podano przepyszne dania z karpi, których było pod dostatkiem, ponieważ wraz z wodą ze stawu wylał Krasny mnóstwo ryb.

Dla uczczenia dzielnego i ofiarnego wodnika, który poświęcił swój staw, aby ugasić pożar, miasto nazwano Krasnystaw, zaś w herbie umieszczono dwa karpie, na pamiątkę tych, które spożywano podczas uczyty na cześć wodnika.

Bartłomiej Krawiec
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II
w Krasnymstawie

Legenda o Krasnymstawie

Dawno temu na wschodzie Europy znajdowała się mała miejscina, w centrum której znajdował się staw. Był on tajemniczy i budził strach w mieszkańcach, za każdym razem, gdy ktoś zbliżył się do stawu i dotknął wody, natychmiast zmieniał się w biały kwiat.

Pewnego razu do miasta przyjechało dwóch braci Krasny i Staw, by znaleźć karczmę i odpocząć w niej po ciężkiej i długiej podróży. Czekając na kolację, przysłuchiwali się rozmowie mieszkańców. Opowiadali oni o dziwnych i niewyjaśnionych zjawiskach, jakie mają miejsce nad stawem. Zapytali się więc grzecznie, co dokładnie dzieje się z ludźmi, gdy dotkną tej tajemniczej wody. Podczas rozmowy dowiedzieli się, że w stawie są dwa karpie, które niegdyś były pięknymi siostrami, lecz zła wiedźma rzuciła na nie klątwę. Czar ten miał trwać, dopóki ktoś nie wyłowi ich z wody. Utrudnieniem tego zadania była zaklęta woda zamieniająca ludzi w kwiaty.

Następnego dnia dwóch śmiałków postanowiło spróbować swoich sił i wyłowić dwa karpie. Przez kilka dni budowali mocną i dużą łódkę, która miała ochronić ich przed wodą i pomóc zdobyć ryby. Pomimo trudności udało się. Gdy dopłynęli do brzegu,

przed nimi ukazały się dwie piękne istoty, na które niegdyś rzucono klątwę. Bracia od pierwszego wejrzenia zakochali się w kobietach z wżajemnością, a na ich cześć wydano huczne wesele.

Na znak pamiątki po niezwykłym wydarzeniu, miejscowość nazwano Krasnystaw. A za jej herb uznano dwa karpie.

Michał Sadło
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II
w Krasnymstawie

Wyróżnienia:

O Władysławie Sławnym

W dawnych czasach, kiedy rządili jeszcze królowie, a w lasach i na drogach grasowali zbójnicy, żyła sobie pewna rodzina, a w niej trzech synów. Najstarszy, piętnastoletni miał na imię Witek. Średni, Wacek miał trzynaście lat. Chłopcy byli zdrowymi młodzieńcami, tylko do pracy nie bardzo się rwali. Natomiast Władysław, choć miał pięć lat chętnie pomagał rodzicom. Ojciec był kowalem i ciężko pracował. Matka zbierała zioła i robiła z nich różne lekarstwa, bo mały Władzio był chorowity. Lata mijały, chłopcy dorastali, a rodzice starzeli się. Starsi bracia chcieli wyruszyć i zobaczyć jak żyją ludzie w świecie. Tak też uczynili. Obaj zabrali, co było w domu najcenniejsze i pozostawili starych, schorowanych rodziców z najmłodszym Władysławem. Chłopak miał wtedy szesnaście lat, ale doskonale radził sobie z opieką nad matką i ojcem. Zaczął też zajmować się ziołarstwem, tak jak jego rodzicielka, która przekazała mu receptury sporządzania lekarstw. Kiedy jednak rodzice zachorowali, okazało się, że żadne z ziół nie może pomóc. Władysław czuł się bezradny. W niedługim czasie zmarli, a Władek gorzko rozpaczał. Został zupełnie sam na świecie. Postanowił, że musi wynaleźć lekarstwo na chorobę, na którą cierpieli jego rodzice. Całymi dniami błąkał się po lesie i szukał nowych roślin. Ludzie zaczęli brać go za dziwaka, ale on nie zważał na to. A oni dokuczali mu i kpili coraz bardziej.

Pewnego lata w okolicy zaczęły chorować dzieci. Była to ta sama choroba, na którą zmarli rodzice Władysława. Ludzie sprowadzali różnych medyków. Nikt nie chciał posłuchać prostego chłopca. Kiedy zachorowało jedyne dziecko bogatego kupca sprowadzono najdroższe lekarstwa z dalekich stron. Dziecku nic nie pomagało, było umierające. Zrozpaczona matka potajemnie poszła do Władysława i poprosiła o zioła. Wróciła do domu i podała je chłopcu. Na drugi dzień synek ozdrowiał. Kiedy kupiec dowiedział

się o tym, kazał wyprawić przyjęcie na cześć Władysława. Sprowadził go do swojego domu. Ludzie z najdalszych stron zaczęli przybywać po zioła. Imię jego rozsławiło się wszędzie. Najbliżsi sąsiedzi mówili o nim „nasz Władysław Sławny”, a miejscowość tę zaczęto nazywać Władysławin.

Kinga Berbec
Szkoła Podstawowa w Chłaniowie

Legenda o ulicy Stokowej

Było to w odległych i zamierzchłych czasach. Na południowy wschód od Lublina leżało miasteczko Szczekarzew. Mieszkali w nim prości ludzie, zajmujący się uprawą roli i drobnym handlem. Borykali się z różnymi problemami, ale największym był brak wody. Wprawdzie przez środek miasta płynęła rzeka *Wieprz*, ale mieszkańcy obrzeży mieli do niej bardzo daleko. Niektórzy musieli pokonywać nawet parę kilometrów, wśród nich wdowa, której mąż zaginał, a ona sama wychowywała siedmioro dzieci. Chodziła parę razy dziennie z wiaderkiem po wodę. Najgorzej było w zimie, kiedy rzeka zamarzała i trzeba było wykuwać przerębel.

Mijały lata. Kobieta często modliła się o to, by w pobliżu domu trysnęło źródło. Po ciężkiej zimie nastała wiosna. Śnieg zaczął topnieć. Wokoło pojawiło się dużo wody. Zaczęły śpiewać ptaki i drzewa się zieleniły. Słońce mocniej grzało, a na podwórku u wdowy wody ciągle przybywało i przybywało. Zaniepokojona kobieta poprosiła o pomoc sąsiada, który zaczął przekopywać jej ziemię wokoło. Jakie było zdumienie, gdy spod łopaty pracującego mężczyzny wytrysnął mały strumyczek. Wdowa ze łzami w oczach krzyknęła, że to cud, o który tyle lat się modliła. Teraz wody nie brakowało ani jej, ani jej dzieciom. Wszyscy sąsiedzi skorzystali z tego dobrodziejstwa.

Od tamtej pory wiele się w miasteczku zmieniło, a źródło bije nadal. Na pamiątkę tego wydarzenia mieszkańcy nazwali źródło Stok, a ulicę przy nim ulicą Stokową.

Paulina Demczuk
Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

Legenda o rycerzu kowalu

Dawno, dawno temu do Krasnegostawu przyjechał na swoim rumaku Gryfie rycerz Kędzior. Przyjechał, aby zwyciężyć w turnieju rycerskim, który odbywał się właśnie w zamku. Wielu rycerzy

przyjechało na zawody. Każdy z nich miał swojego giermka, ale nie miał takiego Kędzior. Jeden z mieszkańców chciał zostać giermkim sławnego rycerza, a był nim nadworny kowal, który nazywał się Włodzimierz. W owym czasie do miasta przyjechał również król Kazimierz Wielki, ponieważ zawody odbywały się na jego cześć. On też miał dekorować zwycięzcę. Po kilku dniach prób rycerz Kędzior niestety złamał rękę i nie mógł wystartować w pojedynku. Poprosił więc Władka, aby za niego wziął udział w szrankach, a sam przebrał się za giermka. Władek zacięcie walczył za Kędziora. Dzielnie pokonywał kolejnych przeciwników. Wielkie było zdziwienie mieszkańców miasta kiedy odkryli, że rycerzem okazał się ich kowal.

Król Kazimierz w nagrodę pasował Władka na prawdziwego rycerza. A on przez długie jeszcze lata dzielnie strzegł swojego kochanego miasta Krasnystaw.

Elżbieta Kapelusznia
Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej
w Siennicy Nadolnej

Studnia bez dna

W zamierzchłej przeszłości w małym miasteczku Bzowiec była sobie studnia, którą mieszkańcy nazywali „Studnią bez dna”. Nosiła taką nazwę, ponieważ sądzono, że owego dna nie ma naprawdę.

Pewnego razu chłopczyk bawiący się obok przypadkowo wrzucił do niej piłeczkę i usłyszał jakiś dziwny, niespotykany dźwięk. Słyszając go, pobiegł do swoich rodziców, a oni zwołali wszystkich mieszkańców miasteczka, aby powiadomić o tym dziwnym zdarzeniu. Każdy z osobna zastanawiał się i bezskutecznie poszukiwał wyjaśnienia. Waluś, bo tak nazywał się chłopiec, podsunął pomysł swoim rodzicom, że może wejść i zobaczyć kto tam mieszka. Rodzice oczywiście nie zgodzili się, ponieważ wiedzieli, że jest to zbyt niebezpiecznie, ale wśród zgromadzonych mieszkańców znalazł się jeden śmiałek, który zaproponował, że zjeździe do studni. Był nim znany wszystkim kowal Maciej, który nieraz słynął ze swojej odwagi i sprytu. Najpierw połączono wszystkie drabiny znajdujące się w miasteczku. W ten sposób powstała ogromna drabina, po której Maciej zszedł do dna studni. I o dziwo! Zobaczył tam wioskę, która była obsadzona wokoło wysokimi kwiatami, a woń ich rozchodziła się na wszystkie strony świata. Przypominał sobie, że zna te kwitnące krzewy.

Niegdyś matka opowiadała mu, że są gdzieś hen daleko pachnące drobne kwiatki zwane bzami, które mają wielką moc uzdrawiania wszelkich chorób i dolegliwości. Jeśli kto je odnajdzie wraz

z krainą, w której rosną przyniesie wszelkie szczęście dla wszystkich. Dumny z siebie kowal Maciej po wydostaniu się z tajemniczej studni opowiedział wszystkim, co widział i oddał Walusiowi zagubioną, szmacianą piłeczkę.

Mieszkańcy Bzowca postanowili na pamiątkę owego zdarzenia zmienić nazwę swego miasteczka na Bzite, ponieważ od tej pory cała była obrosnięta leczniczymi bzami, a od bzów aż się bzilo.

I tak jest do dzisiaj, chociaż miasteczko zmalało i przeobraziło się w wieś, a bzy chyba utraciły swą czarodziejską moc.

Mateusz Kasprzak
Szkoła Podstawowa w Bzitem

Historia krasnostawskiej fontanny

Wiele lat temu zdarzyło się, że Krasnystaw odwiedził znany kompozytor Fryderyk Chopin. Wszyscy mieszkańcy ogromnie się ucieszyli. Pianistę na rynku miasta powitał starosta. Oprował artystę po rynku. Fryderykowi najbardziej podobał się ratusz. Tam właśnie odbyła się kolacja na jego cześć. Gość odegrał dla zebranych kilka swoich utworów. W pewnym momencie po przeciwnej stronie rynku zaczęła płonąć kamienica. Natychmiast wezwano straż. Wszyscy ruszyli gasić groźny ogień. Fryderyk dzielnie pomagał strażakom. Pośpiesznie czerpano wodę całymi wiadrami z Wieprza i podawano z rąk do rąk. Kiedy pożar został ugaszony, z domu wydostała się kobieta z synem na ręku. Gorąco dziękowała ludziom za okazaną pomoc. Wówczas podszedł do niej Fryderyk i podarował sakiewkę pieniędzy na odbudowę domu.

Mineły dwa lata. Niespodziewanie Chopin ponownie pojawił się w Krasnymstawie, a na spotkanie wyszła mu pamiętna kobieta. Zwierzyła się muzykowi, że jej syn pięknie gra na fortepianie, że dom swój odbudowała, a z reszty pozostałych pieniędzy ufundowała na pamiątkę pożaru sprzed dwóch lat fontannę na miejskim rynku. Chopin zapytał dlaczego fontannę. Odpowiedziała, że fontanna ma dla niej podwójne znaczenie, a w szczególności wypływająca z niej woda. Po pierwsze to ona gasi ogień, a po drugie szum delikatnie przelewającej się wody przypomina muzykę darczyńcy, który pomógł jej w życiu. Fryderyk był bardzo wzruszony.

Do dziś dnia na rynku znajduje się fontanna, która przypomina o tamtych wydarzeniach.

Łukasz Mazurek
Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej
w Siennicy Nadolnej

Legenda o Małym i Chwieju

Dawno, dawno temu, żyło sobie dwóch przyrodnych braci Jan i Wacław. Pochodzili z bardzo biednej rodziny. Kiedy byli już dorośli, postanowili wyruszyć w świat, aby zarobić na życie. Znajdowali pracę u bogatych gospodarzy na wsi. Kiedy mówili, że są braćmi, nikt im nie wierzył, bo byli zupełnie różni pod względem budowy i charakteru. Jan był niskiego wzrostu, ale pracowity i rozsądny, starszy zaś Wacław, był bardzo wysoki i szczupły, a praca szybko mu się nudziła i nigdy nie mógł wytrwać w postanowieniu, miał po prostu chwiejny charakter. Z czasem ludzie mówili na młodszego Mały, a na starszego Chwiej.

Mijały lata - przebyli całą Polskę wzdłuż i wszerz. Będąc w naszych stronach, zauważyli, że jest tu dużo niezagospodarowanych pól, a w pobliżu nie ma żadnej wioski. Pomyśleli więc, że skoro zbierali przez te lata dużo pieniędzy, czas aby wybudować sobie domy, osiedlić się i założyć rodzinę. Podjęli decyzję, że tu jest ich miejsce. Rzeka, która płynęła środkiem tego terenu, była ich granicą - tak właśnie podzielili się ziemią. Po jednej stronie rzeki mieszkał Mały, a po drugiej - Chwiej. Tak od ich przezwisk powstała wieś o nazwie Małochwiej. Z czasem przybyło ludzi i obecnie są już dwa Małochwieje - Mały i Duży.

Szymon Sawa
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

KSIAŻKI NADESŁANE

- Anna Nogaj, *Szeptem za Tobą*, Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2008, ss. 48;
- Iwona Chudoba, *Oderwana od cienia*, wiersze, Wydawnictwo TAWA, Chełm 2009, ss. 80;
- Stanisława Wiśniewska, *W powiewach wiatru*, Drukarnia Kresowa, Chełm 2009, ss. 65;
- Bogumiła Prymaczuk, *W lustrze czasu*, Polianna, Krasnystaw 2009, ss. 70;
- Marian Cichosz, *Modlitwa o miłość do wrogów*, Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2009, ss. 96.

Stanisława Wiśniewska

Twórczy ślad

Z mozaiki słów
wybieram myśli
sklejam wersy
wycinam wyrazy

i wiersz
jak konik polny
mocą
czarodziejskiej różdżki
spod rąk
się wymyka

i zostawia
ślad
twórczej drogi



Stanisława Wiśniewska, *W powiewach wiatru*, Drukarnia Kresowa, Chełm 2009, ss. 65.

Fascynuje mnie cud życia

Rozmowa z Edwardem Franciszkiem Cimkiem, poetą i publicystą, członkiem Związku Literatów Polskich.

- W tym roku mija 35 lat od Twojego literackiego debiutu i 75 lat od Twoich urodzin. Ważne są te daty...

- Każda rocznica w życiu człowieka jest niby znak przydrożny, na którym widnieją prze-wędrowane lata. I nie wiadomo, co jest na tej drodze jeszcze się wydarzy. W młodości chodziłem po drogach sercu mi bliskich. Były to wiejskie gościńce, polne drożyny i brukowane „kocimi łbami” szosy. Podążałem nimi w przyszłość. I marzyłem, żeby wejść na prosty, jasny trakt własnego losu. Jednakże nieraz się pobłądziło. I oto doczekałem się jubileuszu. Dziękuję Panu Bogu za ten piękny, rocznicowy dar. Tylko doskwiera pytanie: jak się spełnić na drodze, jaka mi jeszcze została? A czas pomyka i dni coraz krótsze...

- Twoje dzieciństwo, jakże ważne dla każdego twórcy, przypadło na czas wojny. Jakie ono było?

- Niezwykłe. Pamiętam powrót ojca z kampanii wrześniowej. Posiłał się przy stole, a ja dotykałem guzików z orzełkami na jego mundurze. Pamiętam strach przed Niemcami. Bywali na Czajkach. Brali za druty wiejskich zakładników; innym razem kogoś zabili. Z przerażeniem oglądaliśmy z bratem na wsi ciała rozstrzelanych. Z czasem zacząłem u naszej pani nauczycielki uczyć się prywatnie niemieckiego, a także w utajeniu pobierałem lekcje języka ojczystego i historii Polski z geografiam. Niespodziewanie wojska niemieckie uciekły. Wkroczyli sowiet. Zabierali zboże, ziemniaki i bydło. I więzili mężczyzn. Nasz tato szczęśliwie powrócił z aresztu. Tylko mama bardzo się rozchorowała. I bieda rodzinie ciągle dokuczała.

- Tak jest, że młody człowiek zawsze czegoś pragnie i szuka. Czego Ty pragnąłeś i szukałeś?

- Z dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć, że szukałem, jak wielu młodych ludzi tuż po wojnie - lepszego życia, niż mieli rodzice. W latach szkolnych miałem szczęście do dobrych nauczycieli, którzy rozbudzili we mnie miłość do książek i pęd do wiedzy. To długo w dorosłym życiu procentowało. Nie ustrzegłem się też grzechów młodości i osobistych tragedii. W dniu, kiedy maturą wieńczyłem naukę w ogólniaku - zmarła mi mama. Chciałem zostać księdzem katolickim i przez rok byłem w lubelskim seminarium. Jednak pisane mi było założyć rodzinę i zostać nauczycielem.

- Jesteś znanym i uznanym poetą, szczególnie tu na Lubelszczyźnie - krainie, której mówiąc kolokwialnie, oddałeś część swojego serca i kropelki potu...

- Wiele z moich wierszy poświęciłem rodzinnym stronom. Serce nakłaniało. Spłacałem dług wdzięczności, a zauroczenia czerpałem z przeżyć i zamyśleń. Poezją sam się karmiłem i dzieliłem z innymi. Po drodze spotykałem się z uznaniem, ale dobrze poznałem także gorycz rozczarowań. Po latach żywię przekonanie, że nie zmarnowałem minionego czasu.

- Na Twoich oczach zmienił się świat. Wyrastałeś w blasku naftowej lampy. Pamiętasz stukot żelazniaków, i ta wieś, której już nie ma, bo ona umarła, jak powiadał śp. Tadeusz Nowak. Dzisiaj jest to inny świat. Jak go odbierasz?

- Nie ma już naszego rodzinnego domu, a w dawnym sadzie starzeje się kilka jabłoni. We mnie żyją wspomnienia naftowej lampy, furkotu kołowrotka i żelaznego wozu. Moje pokolenie zaczynało życie na wsi, której śladów szuka dziś w skansenach i muzeach, a kończy wśród elektronicznych gadżetów, których działanie trudno mi zrozumieć, a potrzebę posiadania tym bardziej... Choć wybór między wozem na żelaznych obręczach a autem jest oczywisty. Wokół się toczy przemienione życie. Nowa rzeczywistość - zmotoryzowana, elektroniczna, opleciona globalną siecią, często wrzaskliwa, pełna blichtru i tandety. Żyje się wygodniej i łatwiej, ale czy szczęśliwiej? Mnie jednak wciąż fascynuje cud życia, człowieczy los, piękno i zmienność natury. A ta zachwyca i trwoży zarazem.

- Co jeszcze powinien uczynić 75-letni Poeta i czego należy mu życzyć?

- Zapewne już niewiele zdołam w swoim życiu dokonać. Ale póki co, ciągnie mnie do pisania. Korzystam więc z dobrodziejstw życia rodzinnego, układam wiersze, zapisuję wspomnienia, a niekiedy służę młodzieży i starszym żywym słowem. Natomiast życzliwość okazywana przez przyjaciół na tę okoliczność jest miłym i wdzięcznym dla mnie podarunkiem. Spełnione życzenia dobrego zdrowia, szczęścia w rodzinie i wiernych przyjaciół pozwolą mi jak najczęściej czerpać z lirycznej zadumy.

Rozmawiał: Jan Henryk Cichosz

Iwona Chudoba

* * *

słodycz życia
upaprana czekoladką
cukrem pudrem
przyprószone włosy
garść bakalii
zamiast słów
aromatu krople
tak dla niepoznaki

degustuj każdy dzień
nawet
małymi porcjami

Kiedy?

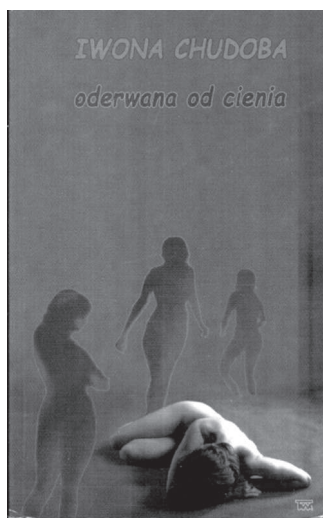
kiedy noc jest zbyt krótka
by odepchnąć szelest dnia

doby brakuje
by pochłonąć całość

wierzę w boską sprawiedliwość
w czasach niesprawiedliwości

oderwana od cienia
gubię się w promieniach słońca

kiedy pogodzę się z myślą
że bliscy muszą odejść?



Iwona Chudoba,
Oderwana od cienia, wiersze,
Wydawnictwo
TAWA, Chełm 2009,
ss. 80.

Ewa Magdziarz

„Spotkania” nie tylko ze Słowackim

Rok 2009 - Rok Słowackiego, 200. rocznica urodzin i 160. rocznica śmierci poety - te daty skłaniają do refleksji. Myśląc o Słowackim, niezmiennie myślę o Alinie Kowalczykowej - profesor w Instytucie Badań Literackich PAN, wybitnej znawczynie twórczości poety, a także o Cyprianie Norwidzie - ostatnim wielkim twórcy romantyzmu i patronie II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie, w którym pracuję jako nauczyciel języka polskiego od 1999 r.

Spotkanie profesor Aliny Kowalczykowej było dla mnie niezwykle ważne i inspirujące, ponieważ umożliwiło mi udział w programie „Nauczyciel - Humanista Poszukujący”, a także udział w kursach organizowanych przez Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja”, którego konsultantem naukowym jest właśnie Pani Profesor. Ww. przedsięwzięcia pozwoliły wielu nauczycielom na kontakt z wybitnymi naukowcami i przedstawicielami świata kultury. Dla mnie niezapomniane były zajęcia z profesor Kowalczykową - „spotkania” nie tylko ze Słowackim.



W walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Stowarzyszenia Nauczycieli Humanistów „Prowincja” uczestniczyli m.in. (na zdjęciu od lewej strony): prof. Janusz Tazbir, Andrzej Wajda, Krystyna Zachwatowicz, dr Julia Tazbir, prof. Alina Kowalczykowa, prof. Marek Stanisław (Warszawa, luty 2009).

W czasie kursu „Integracja wiedzy humanistycznej”, który odbył się w Czudcu w 2000 r., na konwersatorium „Dramat w teatrze” profesor Kowalczykowa wnikliwie analizowała twórczość dramatyczną polskich romantyków w kontekście dramatu europejskiego. Romantycy wiedzieli, że

że ich dramaty nie będą wystawiane we Francji, w związku z tym nie musieli liczyć się z cenzurą. Pisząc swoje dzieła, nie byli także ograniczani przez osoby wystawiające sztuki (wtedy „reżyserowaniem” zajmował się najstarszy aktor albo dyrektor teatru), dlatego polskie dramaty romantyczne są tak znakomite. Wiele wnikliwych przemyśleń na temat teatru I połowy XIX w. można znaleźć w książce Aliny Kowalczykowej *Dramat i teatr romantyczny*.

Na kursie „Literatura - filozofia - sztuka” (Czudec, 2001 r.) konwersatorium „Biografia i autoportret” w dużej części również poświęciła Juliuszowi Słowackiemu. Profesor zadała przewrotne pytanie: czy jego biografia jest, czy może być „prawdziwa”? Biografię trzeba wciąż aktualizować, czytać w sposób podejrzliwy, ponieważ jest ona zawsze wyborem. Ciekawe przemyślenia dotyczyły faktów z życia Słowackiego analizowanych w kontekście III cz. *Dziadów* A. Mickiewicza - wszak Słowacki był pasierbem doktora Augusta Bécu. Odpowiedzią poety na dramat Mickiewicza była *Godzina myśli*. Z utworów Słowackiego i jego portretów z tamtych lat wyłania się ciekawy obraz - dziecko pobladłe, uczuciowe, wrażliwe i marzycielskie. Poeta stylizował się na kogoś, kto wiele przeżył, a miał niewiele lat - to nie tylko niezwykle dziecko, ale już romantyczny poeta. Pamiętać należy, że autokreacja odbiega od realiów. Na podstawie *Godziny myśli* można powiedzieć, że jest to biografia ustylizowana. O fascynującej biografii i twórczości poety pisała Alina Kowalczykowa w książkach *Słowacki* (1999 r.) i *Juliusz Słowacki* (2003 r.).

O tym wybitnym romantyku mówiła także na konwersatorium „Tradycja i manipulacja” w czasie kursu „Filozofia - sztuka - edukacja europejska” (Czudec 2001 r.). Tradycja jest wyborem z dziedzictwa. Manipulacja - to interpretacja tego, co się wybrało. Na tradycji romantycznej był wychowany bohater narodowy - Józef Piłsudski, który bardzo cenił twórczość Słowackiego. Warto pamiętać, że to właśnie marszałek Piłsudski sprowadził do kraju prochy Słowackiego w 1927 r.

W listopadzie 2008 r. Wydawnictwo STENTOR zorganizowało w III LO w Zamościu spotkanie z profesor Aliną Kowalczykową - autorką książki *Romantyzm. Nowe spojrzenie*. Nauczyciele polonisci mieli okazję wysłuchać wykładu burzącego wiele stereotypów związanych z epoką romantyzmu. Autorka mówiła także o relacji człowieka i Boga w poemacie dygresyjnym *Beniowski*. Samotna noc spędzona przez Słowackiego w bazylice Grobu Chrystusa w Jerozolimie była niezapomnianym przeżyciem, które wpłynęło na mistycyzm w jego twórczości. Pod wpływem tych niezwykłych wrażeń powstały poematy *Anielli*, *Król-Duch*, *Genezis z Ducha*, a także dramaty *Książd Marek* i *Sen srebrny Salomei*.

Dla społeczności II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie wyjątkowo ważne są uroczystości związane z Cyprianem Norwidem - Dzień Patrona, *Zadumki Norwidowe*, Konkurs Norwidowski. Od 2000 r. konkurs miał zasięg wojewódzki, a od 2004 r. - zasięg ogólnopolski. W czasie finałów konkursu mieliśmy okazję gościć wybitnych naukowców, m.in. prof. Jadwigę Puzyninę, prof. Grażynę Halkiewicz-Sojak, prof. Stefana Sawickiego, prof. Józefa Ferta, prof. Wiesława Rzońcę. W przygotowaniu kilku edycji konkursu pomocą służyła także prof. Alina Kowalczykowa - pomagała w opracowaniu tematów konkursów w kategorii literackiej - *Paryż romantyków* (II Ogólnopolski Konkurs Norwidowski), *Bóg romantyków* (V Ogólnopolski Konkurs Norwidowski), wielokrotnie udzielała konsultacji dotyczących bibliografii do kategorii literackiej, przekazała do biblioteki szkolnej wiele cennych książek, m.in. dzieła Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego. W czasie II Ogólnopolskiego Konkursu Norwidowskiego w kwietniu 2005 r. prowadziła warsztaty metodyczne „Teatr romantyczny”, wygłosiła także wykład w czasie finału konkursu nt. „Paryż polskich romantyków”, w którym nie zabrakło rozważań dotyczących Juliusza Słowackiego. W związku z Rokiem Słowackiego w regulaminie konkursu w kategorii literackiej zaproponowaliśmy temat: *Bóg romantyków - Norwida i Słowackiego. Interpretacja i analiza porównawcza utworów* (por. książka *Romantyzm. Nowe spojrzenie*). W czasie uroczystości finałowych w czerwcu 2009 r. profesor Alina Kowalczykowa wygłosiła wykład *Bóg Słowackiego i Norwida*, w którym zaznaczyła, że oblicza Boga ukazane w utworach polskich romantyków zależały od wydarzeń historycznych. Słowacki i Norwid należeli do różnych pokoleń romantyków. Świat romantyków był światem bez ojczyzny, dlatego romantycy zwracali się ku Bogu, bo rozum nie był gwarantem odzyskania jej. Bóg nie wziął ojczyzny w obronę, powstawały więc teksty buntownicze, m.in. *Kordian* Słowackiego. Dla poety niezwykle ważna była podróż na Wschód. W poemacie dygresyjnym *Beniowski* Słowacki pisał, że Bóg naprawdę kocha tych, którzy podejmują wielkie działania: „rozhukanych koni On nie kielza”. Stwórca objawiał się poecie w naturze, w cudowności świata - wylaniał się z wielkich stepów Ukrainy, z rozległej przestrzeni gór. Religijność Norwida - należącego do ostatniego pokolenia romantyków - była religijnością najczystsza. Poeta buntował się przeciwko niedoskonałości człowieka, a Boga uwielbiał. Dla pokolenia Norwida Bóg był jedynym autorytetem. Mówiąc o religijności poety, należy przywołać tragedię *Ślodycz* ukazującą, czym jest wiara w Boga. Romantycy buntowali się przeciwko światu, bo pragnęli wolności, która jest dla Polaków niezwykle ważna także dzisiaj.

W czasie finału V Ogólnopolskiego Konkursu Norwidowskiego w II LO gościliśmy uczniów ze szkół ponadgimnazjalnych z Częstochowy, Ciechocinka, Rzeszowa, Wyszki, Lubartowa, Starachowic, Białej Podlaskiej, Sejna, Radomia, Wyszki, Mielca, Kalisza, Będzina, Płocka, Radzionkowa, Legionowa, Warszawy, Lublina, Tarnobrzega, Poznania, Słupska, Garwolina, Wrocławia, Puław, Suwałk, Płocka i Krasnegostawu. II miejsce w kategorii literackiej zajęła Katarzyna Martyna piszącą pracę pod moim kierunkiem. Uczennica wybrała do interpretacji *Hymn (Smutno mi, Boże!)*, *Tak mi, Boże, dopomóż*, *Pieśń V z Beniowskiego* Słowackiego i *Moją piosnkę [III]*, *Pielgrzyma*, *Krzyż i dziecko* Norwida. Podsumowując przemyślenia dotyczące kreacji Boga w utworach Norwida i Słowackiego napisała, że mistycyzm obu poetów różni się od siebie. Podkreśliła jednak fakt, że tematy najważniejsze w epoce romantyzmu, takie jak Bóg i ojczyzna, zajmowały istotne miejsce w twórczości dwóch wybitnych romantyków.

Polonistów cieszy fakt, że uczniowie chętnie biorą udział w konkursach literackich wymagających od młodzieży wykraczania poza podstawę programową, w której obecnie znajduje się twórczość A. Mickiewicza, J. Słowackiego, Z. Krasińskiego i C. Norwida. Jeżeli chodzi o nową podstawę programową do języka polskiego, to w ścisłym kanonie lektur, w tzw. „sercu” literatury polskiej, znalazły się tylko dwa utwory z epoki romantyzmu - III część *Dziadów* i *Pan Tadeusz* A. Mickiewicza. Na etapie szkoły ponadgimnazjalnej omówienie utworów polskich romantyków w szerszym zakresie będzie zależało od poziomu klasy (podstawowy, rozszerzony) i od decyzji nauczyciela polonisty. W związku z tym warto wśród uczniów popularyzować także inne formy upowszechniania literatury i sztuki.



Dyrektor II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie - Edward Kawęcki dzielił się refleksjami w czasie „Zadumek Norwidowych” (listopad 2007).

Wieczory poetyckie *Zadumki Norwidowe* organizowane przez II LO to spotkania skłaniające do refleksji. Przejmująco brzmiały fragmenty z *Czarnych kwiatów* Cypriana Norwida będące zapisem ostatnich spotkań: *W następnym tygodniu pośpieszyłem znowu zejść do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (...) i ten powiedział mi: „Jutro lepiej zajdź do Juliusza. (...) Te słowa usłyszawszy (...), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem. Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było i było to tak, że wszedłszy pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzonej (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonań, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił.*

Jakże uniwersalny charakter mają słowa Juliusza Słowackiego z *Przypowieści i epigramatów* przywoływane w czasie uroczystości upamiętniającej Święto Niepodległości:

XXXV

„Szli krzycząc: „Polska! Polska!” - wtem jednego razu

Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyniży,
Szli dalej krzycząc: „Boże! ojczyzna! ojczyzna!”.
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?!”.

Rocznice urodzin i śmierci są okazją do przypomnienia dorobku wybitnych Polaków, a przecież warto, aby o tym dziedziectwie pamiętać nie tylko od święta, w czym mogą pomóc patroni szkół. W Krasnymstawie patronami szkół są m.in. wybitni romantycy - Adam Mickiewicz (Szkoła Podstawowa nr 1) i Cyprian Kamil Norwid (II Liceum Ogólnokształcące). Zespół Nr 4 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej w Małochwieju Dużym planuje nadanie placówce imienia Juliusza Słowackiego. Mamy więc nadzieję na kolejne spotkanie z romantycznym twórcą i profesor Aliną Kowalczykową, która już obiecała, że przyjedzie na tę uroczystość. Być może będziemy mogli mówić o „zagłębiu romantyków” w powiecie krasnostawskim, jak wyraziła się w rozmowie ze mną profesor Grażyna Borkowska.

Ewa Magdziarz

Mistyka i Sacrum

Izabela Drabińska, córka nauczycielki Marii Rycerz Dypa, do osiemnastego roku życia mieszkała w Krasnymstawie. W 1979 roku wyjechała do Bydgoszczy i tam zdobyła zawód technika technologa ceramiki. W roku 1983 wyszła za mąż i zamieszkała na stałe w Bydgoszczy. Pierwsze wiersze zaczęła pisać dla własnych dzieci. Są to kołysanki. Zadebiutowała wierszem „Deszczowa bajka” na łamach pisma „List” w nr. 9/94. Następny wiersz „Silentium” ukazał się w czasopiśmie „Ogniwo” nr 8/32. Utwór „Miriam” wydrukowano w piśmie „Rodzina Radia Maryja” nr 1/60 styczeń 2001. Jej wiersze wydrukowano też w tomiku pt. „Wybór wierszy”, VIII Konkursu Poezji Religijnej im. ks. Józefa Tischnera w 2000 roku, a następnie w „Wyborze wierszy” w tomiku pokonkursowym IX Konkursu Poezji Religijnej w Ludźmierzu w 2001 roku, a także w almanachu poezji religijnej „A duch wieje kędy chce...” w 2007 roku. Trzynaście jej kołysanek zostało wykorzystanych do publikacji dla potrzeb wprowadzenia dla logopedii na Uniwersytecie Jana Kazimierza w Bydgoszczy.

O twórczości Izabeli Drabińskiej niełatwo pisać. Jej wiersze wymagają nie tylko znajomości egzegezy biblijnej Starego i Nowego Testamentu, a nawet znajomości teologii. Autorka doskonale jest obeznana z wiedzą z zakresu religii chrześcijańskiej i jej liturgii. Wiersze są trudne, oryginalne, wyjątkowe, przepojone mistycyzmem, opromienione blaskiem Sacrum i nadzmysłowością świata. Poetka wykazuje się umiejętnością kontemplacji Boga, medytacji, znajomością literatury w zakresie postaci świętych, bogactwem różnych form poezji religijnej np. rodzajów pieśni, modlitw itp., co świadczy o jej bogatym życiu duchowym.

U Izabeli Drabińskiej źródłem poezji jest nie tylko talent literacki, ale wszechogarniająca i płomienna wiara w Boga, z którym się transcendentnie stapia, którego czuje w sobie, jak św. Faustyna Kowalska, czy św. Teresa z Avila lub Hildegarda z Bingen. Jednocząc się ze Stwórcą w wierszach-modlitwach, zwraca uwagę na ich jakość, piękno, potęgę i moc. Bóg, Trójca Święta, Chrystus, aniołowie i święci występują w wierszach, tworząc poetyckie spektakle: narodzin, męki Pańskiej, Zmartwychwstania, Chrystusa w Kanie Galilejskiej, św. Franciszka, św. Magdaleny. Bo też te wiersze to doskonałe, uduchawiające misteria, pokazujące sceny biblijne np. „Alleluja”, „Przez krzyż”, „Przy grobie Pańskim”, „Jezus z rozłożonymi rękami”, „Bracia św. Franciszka”, „Ciagle w Twym objęciu”, „Pospieszmy”.



W utworach Izabeli Drabińskiej, podobnie jak w filmach Krzysztofa Kieślowskiego, pojawiają się elementy dekalogu wspaniale wplecione w treści utworów, co niezaprzeczalnie świadczy o znajomości sztuki poetyckiej. W świecie pięknym, pełnym barw, różnorodności kształtów i muzyki, podobnie jak Jan Kochanowski dostrzega poetka najdoskonalszego Artystę i Mistrza. Na tle egzegezy biblijnej poetka odśłania „dolinę swej duszy”, „ogród swojego wnętrza”, z którego snuje obszar czegoś nietykalnego na kształt mlecznej przędzy niebios, a więc uniżenie wobec Boga i świata, odnajdywanie Boga w każdym człowieku, dzielenie się słowem Bożym z innymi.

Jej wiersze są też „dobrą nowiną”, dają radość, nadzieję, piękno. Opromienione światłem wiary i blaskiem, mają ogromną moc, dotykając serc, zachęcają do modlitwy, medytacji, kontemplacji. Jest to twórczość oparta na własnych przeżyciach na co dzień i od święta, odzwierciedla głębię istnienia o wymiarze metafizycznym i eschatologicznym.

Irena Iwańczyk

Izabela Drabińska

Alleluja

Magdaleno
kogo przy grobie
szukasz,
Jezusa?
Oto On
prawdziwie
zmartwychwstał
Nie ma go
w grobie -
On stoi
przy tobie
Poznaj
serce twego Pana
w dzieciach
w Ewach
w Adamach
w kapłanach
Jezusa
serce miłujące
rozpoznasz -
Ono ciągle żyjące.

Izabela Drabińska

Przez krzyż

Pobili Go
a On kochał
Opluli Go
a On kochał
Długo kopali
a On kochał
Do naga rozebrali
a On kochał
Krople krwawe
po ciele spływały
a On kochał
Do krzyża
dłonie przybijali
a On kochał
W stopy
gwoździe powbijali
a On kochał
W bólach konał
i wciąż kochał
Pragnąc kochać
poprzez cierpienie
Pragnął
nad wszystko
dać ludziom
ZBAWIENIE
Umarł za nas
i my z Nim umieramy
Zmartwychwstał
i my
w Nim i przez Niego
zmartwychwstaniemy.

Pospieszmy

Pospieszmy
znów do Kany.
Tam sześć
stągwi stoi.
Napełnijmy je
wodą
po brzegi.
Jezus znowu
wodę w wino
przemieni.
A my uczynimy
cokolwiek
nam powie.
Zatem w Kanie
powtórnie
cud ogromny
się stanie.
Oto pustkę i smutek
Pan przemieni
w pełnię radości
za przyczyną
Matki Pięknej Miłości.

Izabela Drabińska

Psalm

A kiedy Cię
 Zawołam
 Przyjdiesz Panie
 Będiesz przechadzał się
 Po polach
 I winnicach
 Duszy
 Kiedy się zjawiasz
 Robi się ciepło
 Rozpromieniasz
 Oblicze swe
 Nade mną
 I rozświećta się
 Cała dolina
 Duszy
 Odwiedzasz
 Moje przestrzenie
 W czas pokoju
 Nadchodzisz
 W powiewie
 Cichego wietrzyka
 Nie ma Cię
 W huraganie
 Żadnej nawałnicy
 Bo wszędzie Jesteś
 Oprócz grzechu
 Wołanie
 Biegnie w Twoją stronę
 Wyczekuje...
 Abyś przemknął
 Po moich ogrodach
 I wprowadził
 Ład i spokój
 Do mego wnętrza



Jubileuszowa Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu

Na początku sierpnia do Zwierzyńca po raz dziesiąty zjechali z całej Polski miłośnicy X Muzy, a także goście z zagranicy, m.in. z Rosji, Ukrainy, Czech, Słowacji czy Włoch. Uczestników Akademii, jak co roku, skusił bogaty program podzielony na wiele cykli filmowych. W programie LAF-u znalazło się około 350 filmów, które były wyświetlane na 6 ekranach.



Rektor Piotr Kotowski z okazji jubileuszu LAF-u otrzymał maskotkę - ogromnego bobra.

Letnią Akademię Filmową rozpoczął, tradycyjnie już, rektor Piotr Kotowski, i zaczął się prawdziwy maraton filmowy wzbogacony o liczne imprezy towarzyszące - warsztaty, koncerty i spektakle teatralne.



Reżyser Pupi Avati oraz producent filmowy i scenarzysta Antonio Avati w ujmujący i wyczerpujący sposób odpowiadali na liczne pytania publiczności.

Gwiazdą 10. Akademii był włoski reżyser Pupi Avati, który przybył do Zwierzyńca ze swoim bratem Antonio Avatim - producentem filmowym i scenarzystą. Spotkanie z tym wybitnym, ale mało znanym w Polsce reżyserem dopełniła retrospektywa jego filmów. Trudno wymienić wszystkie

tytuły, gdyż w programie znalazło się ich aż 21! Obejrzenie każdego filmu Avatiego było niezapomnianym doświadczeniem - począwszy od jednego z jego wcześniejszych horrorów „Dom o śmiejących się oknach” (1975 r.), przez obraz „Magnificat” (1993 r.), którego akcja rozgrywa się w średniowiecznym włoskim miasteczku, po film „Przyjaciele z baru Margherita” z 2009 r. nawiązujący do wspomnień reżysera z okresu dzieciństwa.



W czasie spotkania z reżyserem Pupi Avatim i jego bratem Antonio sala kina „Skarb” była wypełniona po brzegi.

Do Zwierzyńca przyjechali także inni zagraniczni twórcy - oto kilka przykładów. Po projekcji filmu „Camera obscura”, prezentowanego w ramach cyklu „Odkrywanie Ameryki”, z widzami spotkała się Maria Victoria Menis - reżyser z Argentyny. Pokaz filmu „Kredens” wzbogacony został rozmową z Jacobem Dammasem - reżyserem z Danii mającym polskie korzenie (jego matka jest Polką). Odbłyło się również spotkanie z Czechem Vitem Janečkem - reżyserem filmu dokumentalnego „Nawiedzenie”.

Po pokazach filmowych odbywały się także spotkania autorskie z polskimi reżyserami, m.in. z Tomaszem Wolskim („Szczęściarze”), Grzegorzem Linkowskim („Niewygodny”), Marcinem Koszałką („Wyrok na życie”), Jackiem Głombem („Operacja Dunaj”). W cyklu „Stronnicza historia polskiego kina” prezentowany był film „Pokój z widokiem na morze”. Po pokazie odbyło się spotkanie z reżyserem Januszem Zaorskim. Warto również wspomnieć o filmie „Jeszcze nie wieczór” - debiucie fabularnym Jacka Bławuta. Na Akademii nie mogło zabraknąć także najnowszego filmu Andrzeja Wajdy „Tatarak” - przejmującego obrazu o śmierci - prezentowanego w ramach cyklu „W polskim obiektywie”.

Stałą pozycją programu Akademii jest cykl „Klubowy karnet” zawierający repertuarowe propozycje dla Dyskusyjnych Klubów Filmowych. „Che. Rewolucja” (2008 r.) to piękna hagiografia słynnego El Comandante. Natomiast film „Kobieta w Berlinie” (2008 r.) ukazuje koszmar wojny

niszczącej obie strony światowego konfliktu. Kontrowersyjny obraz filmowy „Obywatel Milk” warto obejrzeć chociażby ze względu na świetną grę Seana Penna nagrodzonego Oscarem w 2008 r. za rolę męską. „Trzy królestwa” Johna Woo to widowiskowa ekranizacja jednej z najważniejszych powieści w literaturze chińskiej. Oczywiście w tym cyklu nie mogło zabraknąć najnowszego filmu Woody'ego Allena „Vicky Cristina Barcelona” ze świetną Penelope Cruz nagrodzoną za tę rolę Oscarem '2008 za drugoplanową rolę kobiecą. Inne cykle filmowe to: „Z tamtej strony Tatr” (kino słowackie), „Bohemia stories” (kino czeskie), „Rosyjska panorama”, „Przystanek Budapeszt”, „Kino pod okupacją”, „Filmy w sieci” - trudno wymienić wszystkie! Filmy można było obejrzeć w kinach, ale także pod gołym niebem. Po nocnych seansach na dziedzińcu zabytkowego browaru zwierzynieckiego odbywały się jeszcze koncerty, m.in. zespołów: „Drewutnia”, „Testamentum Terrae”, „Słoma i Przewietrze”, „Hrdza”. Do historii LAF-u przeszła także projekcja plenerowa komedii „General” Bustera Keatona z 1926 r., do której muzykę skomponował i wykonał na żywo z Orkiestrą Symfoniczną im. Karola Namysłowskiego z Zamościa - Rafał Rozmus. Dużym zainteresowaniem cieszył się niezwykle koncert Gendosa - muzyka z Tuwy, autonomicznej republiki w ramach Federacji Rosyjskiej.

Nie sposób opisać wszystkich ważnych wydarzeń jubileuszowej Akademii, dlatego zachęcam do przejrzania strony internetowej LAF-u (www.laf.net.pl). Daje ona wyobrażenie o randze tej niezwyklej imprezy filmowej, których tak wiele odbywa się ostatnio w naszym kraju w czasie letnich miesięcy. Warto wspomnieć, że w Akademii uczestniczyli laureaci VII Powiatowego Konkursu Filmowego organizowanego przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon” działający przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury. Dzięki współpracy z Piotrem Kotowskim - wiceprzewodniczącym Polskiej Federacji DKF i przewodniczącym jury w kategorii: praca filmowa/fotograficzna w ww. konkursie - laureaci otrzymują od PF DKF akredytacje na Letnią Akademię od 2001 r.

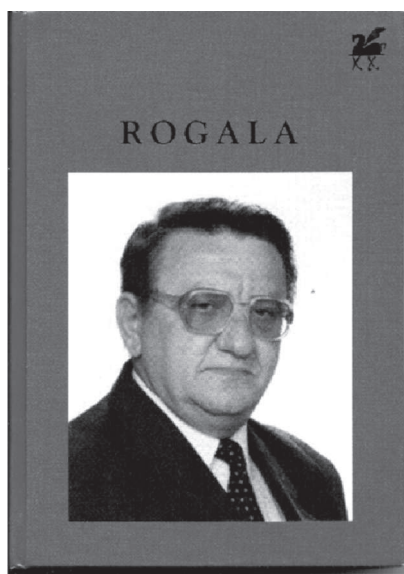
10. edycja LAF-u przeszła już do historii. Uczestniczyłam w 9 edycjach Akademii, gdyż jest ona dla mnie zawsze inspirującym doświadczeniem. Będę mogła wzbogacić program MDKF-u „Iluzjon” na kolejny rok o obrazy filmowe obejrzone na LAF-ie. Być może uda się także zorganizować spotkania autorskie z poznanymi tam reżyserami. Na zaproszenie MDKF-u przyjechali przecież do Krasnegostawu Piotr Szczepański - reżyser filmu „Aleja Gówniarzy” i Marek A. Drażewski - reżyser filmu „Dzięki niemu żyjemy”.



Do Zwierzyńca przyciąga bogaty program Letniej Akademii Filmowej.

Lańcowicze z niecierpliwością czekają na kolejne spotkanie z X Mużą w gościnnym Zwierzyńcu! Ci, którzy jeszcze nie byli w sierpniu na LAF-ie, będą mogli już za rok przyjechać na urokliwe Roztocze. Mieszkańcy Lubelszczyzny to szczęściarze, bo mają blisko! Jednak miłośników Akademii nie zraża odległość - niektórzy jadą do Zwierzyńca 16 godzin i dłużej! Pupi Avati stwierdził, że droga do Zwierzyńca zajęła mu tyle, ile lot do Melbourne.

Ewa Magdziarz
Opiekun MDKF „Iluzjon”



Stanisław Rogala, *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2008, ss.184.

Stanisław Rogala

* * *

i nie wyciągnęłaś rąk
nie zawołałaś
umawialiśmy się inaczej
promyk słońca wpadł przez uchylone okno i zabrał
ciebie
zawsze obiecywałaś, że go nam zostawisz, ale on był
łaskawszy niż my dla siebie. Uniósł Cię - nasza Trosko
- do krainy, o którą my się modlimy
ten dzień był za piękny na śmierć

Nowe odkrycie Ikar

nie jest prawdą
że Ikar poniósł śmierć
z powodu marzenia
o locie ku słońcu

brakło mu
deszczowych chmur
kamienistej drogi
kolczastego
chleba powszedniego
więc zaczął nurkować

Rozmowa ze studentką

mówisz mi
że chorowała twoja siostra

a ja patrzę
w twoje niebieskie oczy

mówisz
że umarła po trzech miesiącach

a ja byłbym
przy tobie do końca życia

mówisz
że jeszcze przyjdiesz na kolokwium

akceptuję
pełen płonnej nadziei

prowadzimy
dialog o śmierci i życiu

Stanisław Rogala

* * *

Bóg umarł
już nikt
nie wezwie mnie do złożenia
ofiary Abrahama
nie każe dźwigać
kamiennych zakazów
nie porazi
hiobowymi wieściami
już nikt

pod pustym niebem
toczę walkę samotnie

Bóg umarł
a ja ciągle
oskarżam go
o swój byt

* * *

jest we mnie tyle słońca
że schną trawy
drzewa stają się cieniem
morza plażami
a po piasku
biegają nagie dziewczyny

jest we mnie tyle deszczu
że kwitną łąki
pola chlebem porastają
żniwiarze klepią kosy
a pod namiotami
dziewczyny rodzą synów

jest we mnie tyle ognia
że płoną lasy
ptak kamieniem spada
popieleją gwiazdy
a mężczyźni ostrzą miecze

co jest we mnie
że do znudzenia
niszczę i odradzam
ziemię

* * *

stoję przed Twoim Krzyżem
a spoglądam w niebo
słońca chmur wiatru
szukam
chleba powszedniego
jakby mi szept
nie starczał

Mariusz Kargul

Trzy dni z Dehnelem

Introdukcja

Jacka Dehnela „męczyłem” przez kilka dobrych miesięcy. Mimo natłoku pracy i telewizyjnych obowiązków (związanych z udziałem w programie „Łossskot”), wcześniej czy później odpisywał na maile. „Słowo stało się ciałem” w ostatnich dniach listopada ubiegłego roku. Autor „Lali” skonstatował, że jak już wyruszać na dzisiejsze „Kresy”, to tylko na dłużej. Dzięki temu odwiedził kilka tutejszych uroczych grodów i miasteczek. Towarzyszyłem mu w tej literackiej peregrynacji w charakterze szofera, konferansjera, „menadżera” i przewodnika. W pamięci zostało kilka niezwykłych chwil, gestów, zdarzeń. Pozwólcie, że się nimi z Wami podzielę i mam nadzieję, że nie dostanę za to od Jacka laską po głowie.

Dzień 1.

Krasnystaw, 26 listopada 2008

Autor „Balzakianów”, zdeklarowany przeciwnik podróżowania „busami”, przybył do Lublina pociągiem przed piętnastą. Jechałem po niego samochodem z Krasnegostawu z wieloma różnorodnymi uczuciami. Obawy (czy wszystko się uda?) walczyły o lepsze z nadzieją (że jednak się uda). Wiadomo, ile w kontaktach międzyludzkich zależy od pierwszego wrażenia. Z powodu robót drogowych na trasie spóźniłem się trochę. Jacek czekał spokojnie na dworcu PKP, siedząc sobie na parapecie okiennym. Od razu było widać (po gustownym kożusku), że wybierał się na wschód. Oprócz tego miał charakterystyczne okulary, sygnet, sakwojaż i nieodłączną laseczkę. Jednym słowem - poeta jak się patrzy!

W Krasnymstawie spotkanie prowadził chełmski literat Henryk Radej. Odbyło się ono w Krasnostawskim Domu Kultury. Ludzie nawet dopisali. Gość oraz prowadzący stanowili dobrze uzupełniający się duet. Tego samego dnia miałem okazję przekonać się, że Jacek Dehnel to „teatr jednego aktora”. Dał po prostu świetny popis czytania własnych tekstów i autokomentarzy. Na pewno nie było nudno, oj nie! Organizatorzy zastosowali pewien „wabik”, informując przed spotkaniem, że przyjedzie „ostatni polski poeta namaszczony przez Czesława Miłosza”. Na ile to poskutkowało - nie wiadomo. W każdym bądź razie, w którymś momencie, sam zainteresowany zauważył, że złośliwi twierdzili swego czasu, iż dostał Kościelskich za to, że... przespał się z naszym noblistą.

Trzeba przyznać, że Radej też odpowiednio przygotował się do imprezy. Jak na prawdziwego polonistę przystało, dobrze „odrobił lekcje”. Obyło się więc bez prowizorki i nietrafionych pytań. Przydarzył się nawet swego rodzaju test sprawności. Na koniec spotkania prowadzący poprosił gościa o pokaz wiązania krawata, na co ten przystał z ochotą i bezbłędnie wywiązał podwójny windsor, czym wywiązał się z postawionego przed nim zadania. Obalił tym samym ewentualne podejrzenia, że ktoś go w tym wyręcza przed nagraniami „Łossskotu”.

Swój kunszt recytatorski Jacek potwierdził lekturą fragmentu „Balzakianów”. Robił to z takim przekonaniem, że kiedy trzeba było, uczestnicy spotkania pokładali się ze śmiechu, by za chwilę popaść w zadumę. Duża w tym zasługa odpowiedniej modulacji głosu i smaku estetycznego. Wybrał w dodatku niesamowicie sugestywny fragment (z „Tołki Zarębskiej”). Na tyle sugestywny, że po trochu mógł się w nim odnaleźć każdy z nas - celne studium ludzkiej natury, chciwości i potrzeby bycia kochanym za wszelką cenę.

Twierdzi się, że są poeci, którzy nie powinni czytać swoich utworów na głos. Nie ma to zastosowania do autora „Rynku w Smyrnie”. On powinien to robić obowiązkowo na każdym spotkaniu z czytelnikami. Dzięki temu, studiując teraz cokolwiek z jego dorobku, niemal zawsze słyszę tan sam miły dla ucha głos autora.

Środę w Krasnymstawie zakończyła kolacja w pewnej pizzerii i nocleg w jednym z podmiejskich zajazdów. To już niemal tradycja, że prawie każdy autor mający tutaj spotkanie, „ładuje” potem na pizzę i śpi blisko lasu. Jak na razie nie było żadnych reklamacji, a i dla członków Grupy Literackiej A4 jest to nie lada gratka móc tak sobie pogawędzić „od serca” z tym czy innym pisarzem, jeszcze bardziej niwelując dzielący wszystkich z początku dystans. Działo się tak m.in. w przypadku Andrzeja Stasiuka i Tarasa Prochaški, więc i Jacek Dehnel nie miał specjalnych powodów do narzekania.

Dzień 2.

Zamość - Chełm, 27 listopada 2008

Plan wizyty w Zamościu przewidywał spotkanie z młodzieżą w I Liceum Ogólnokształcącym im. Akademii Zamojskiej. Rzecz działa się w bibliotece szkolnej, a wprowadzenia dokonał znany zamojski poeta i polonista Piotr Linek. Jackowi owo audytorium również przypadło do gustu. Będąc w końcu niewiele starszym od swych słuchaczy, opowiedział im „jak to z normalnego człowieka robi się poeta”. Poradził im też, by nie dążyć za wszelką cenę do życia z pisania. Wszak to

ciężki kawałek chleba, a jest jeszcze tyle innych ciekawych rzeczy do robienia (np. szydełkowanie, koronkarstwo, wypłatanie koszyków). Na koniec spotkania padło kilka rozsądnych pytań z sali - także o życie prywatne autora.

W Zamościu pozostawiliśmy pod opieką, niezastąpionej w takich sytuacjach, Bożeny Fornek z Zamojskiego Domu Kultury, która „przekazała” nas w ręce prezesa Towarzystwa im. Bolesława Leśmiana, Sławomira Bartnika. To księgarz, bibliofil i chodząca „kopalnia wiedzy” o Zamościu. Aura nie sprzyjała może za bardzo pieszym wędrownikom po mieście, ale sposób narracji naszego przewodnika był w stanie zrekompensować wszelkie niedogodności. Obowiązkowo był więc Rynek Wielki, odnawiane aktualnie fortyfikacje, kolegiata, kamienica zwana „centralką”, w której mieszkał Bolesław Leśmian, dziesiątki dykteryjek, anegdot i ciekawostek.

Skoro już się rzekło o Leśmianie, to widać los tak chciał, że Jacek Dehnel - choć pośrednio - mógł i tutaj ponieść pewne zasługi. Jak się bowiem okazało, zna potomka rodziny Sunderlandów, z którymi Leśmian pozostawał w zażyłych kontaktach, a tenże potomek ma dostęp do wielu rodzinnych pamiątek, mogących stanowić nie lada sensację dla wszystkich miłośników poezji „zamojskiego rejenta”. Wiadomość ta zbiegła się w czasie z planowaną promocją książki Adama Kulika „Leśmian, Leśmian....”

Później były jeszcze pierogi w nowo otwartej (bardzo stylowej) restauracji na Rynku i swobodne rozmowy przy kompcie z suszu. Siedzieliśmy przy stoliku wykonanym w formie sań. W pewnym momencie poczułem, jakby te sanie niosły nas w czasie i oto za chwilę przysiadzie się do nas, na pierogi i kompot, także autor „malinowego chruśniaka”. Czas biegł jednak nieubłaganie do przodu i trzeba było żegnać się z ciepłym „zapieckiem”, erudycją pana Bartnika i zamojską Starówką. Ruszyliśmy w dalszą drogę do Chełma.

I właśnie wtedy przydarzyło mi się coś, co do tej pory nie miało miejsca w kontaktach z „obwożonymi” przeze mnie autorami. Otóż nagle, ni stąd ni zowąd... skończyło mi się paliwo. I to pod każdą postacią - zarówno benzyna jak i gaz. Za godzinę spotkanie w Chełmie, a my utknęliśmy pośrodku Siennicy Królewskiej Dużej, jakieś kilkanaście kilometrów od celu. Zrobiło mi się niesamowicie „tyso” w zaistniałej sytuacji, ale Jacek przyjął wszystko ze stoickim spokojem i zapytał tylko, ile mamy jeszcze czasu. Całe szczęście, że to nie centrum dżungli amazońskiej, tylko sporej wsi, więc zaraz znalazła się pomocna dusza. Starszy mężczyzna, którego nawet nie znałem, podwiózł mnie swoim polonezem do najbliższej stacji benzynowej, gdzie zaopatrzyłem się w co trzeba.

Na pytanie o gratyfikację, odpowiedział, że nie ma sprawy, bo sam jest emerytowanym kierowcą i wie jak to jest w trasie. Być może i ja komuś kiedyś pomogę. I tacy to są właśnie ludzie na tym naszym „wschodzie”. Wziąłem sobie jego słowa do serca, wstyd przed Jackiem schowałem za pazuchę i dowiozłem go już bez żadnych przeszkód do stolicy ziemi chełmskiej. Tutaj przekazałem go znowu pod opiekunów skrzydła Henryka Radeja i Danuty Makaruk (szefowej Grupy Literackiej „Lubelska 36”), którzy poprowadzili spotkanie w Chełmskiej Bibliotece Publicznej. Jak wieść niesie, wieczór autorski w Chełmie też należał do udanych.

Dzień 3.

Chełm - Radzyń Podlaski, 28 listopada 2008

Rano spotkaliśmy się na przekąsce w barze mieszczącym się w piwnicach legendarnego „gmachu PKWN”, czyli dawnej siedziby władz wojewódzkich, kiedy to jeszcze Chełm był miastem wojewódzkim (podobnie jak Zamość). Przyznam szczerze, że powiało „starym systemem”, a to za sprawą wystroju lokalu i jego umiejscowienia. Potem przyszła kolej na herbatkę w pokoju Radeja, który pracuje tu, ale o kilka kondygnacji wyżej. Kilka pamiątkowych zdjęć, wymiana zdań i pożegnanie z naszym gospodarzem oraz Danutą Makaruk, która dosłownie Jackiem się zachwyciła. Nie ona zresztą jedna.

Do Radzynia Podlaskiego jechaliśmy z Chełma przez Stołpie. Chciałem Jackowi pokazać w tej miejscowości unikatową wieżę z XI wieku, ale zdążył mi zasnąć, więc już nie „katowałem” mego pasażera zabytkami naszego regionu. W Łęcznej dołączył do nas młody, obiecujący pisarz i student polonistyki KUL, Maciej Topolski. To zdecydowanie ożywiło atmosferę podróży, a przy jej końcu panowie byli już na „ty”. Drogi do Pałacu Potockich, gdzie miało się odbyć spotkanie, nie szukaliśmy zbyt długo.

W gościnę przyjął nas Dariusz Magier (pracownik Archiwum Państwowego, mieszczącego się w tym budynku) i Adam Świć (wtedy nauczyciel jednego z radzyńskich gimnazjów). Nasi gospodarze „odwalają” kawał dobrej roboty w swym mieście, gdzie założyli prężnie działające Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych, redagują i wydają interesujący kwartalnik kulturalny „Kozirynek” i „Wschodni Rocznik Humanistyczny”. Na spotkaniu może nie było tłumów, przez co każdy mógł mieć Jacka tak trochę dla siebie. Jacka-poetę, Jacka-pisarza, Jacka-showmana i Jacka-gawędziarza. Piątek, 28 listopada, niestety, szybko chylił się ku końcowi.

Dzięki zapobiegliwości Adama Świcia, nasz wspólny gość wrócił do Warszawy jeszcze tej

samej nocy wynajętym samochodem z kierowcą (panem Józefem, o ile dobrze pamiętam). Było coś urzekającego w naszym pożegnaniu na pałacowym dziedzińcu. W tych ostatnich wspólnie spędzonych chwilach z Jacka zdążył całkiem „wyparować” wszelki dystans i „gwiazdorstwo”. Staliśmy tak we czterech (z A. Świciem i M. Topolskim), niczym grupka facetów, którzy równie dobrze mogą za chwilę zacząć coś śpiewać, jak i kopać piłkę rzuconą nagle nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo.

Poza Czasem

Znam kilku poetów i pisarzy rangi lokalnej, z którymi trudniej się porozumieć, niż z nim, a to przecież prawdziwa gwiazda na firmamencie literackim, a nie mechanicznie rozdmuchiwana sława. Jacek Dehnel należy ponadto do tej wąskiej grupy autorów, którzy po powrocie do domu nie zapominają niemal automatycznie o miejscach, w których byli. Do dzisiaj utrzymuję z nim kontakt; nie tylko zresztą ja z poznanych tutaj przez niego osób.



M. Kargul i J. Dehnel, foto H. Radej

Bez żadnych gratyfikacji lub innych „form wdzięczności”, napisał felieton o przywracaniu pamięci i czytelnikom, genialnym krasnostawskim poecie Stanisławie Bojarczuku (którym go zainteresowałem), po czym zamieścił to na portalu internetowym „Wirtualnej Polski”. Potem na „Nieszufladzie”, którą redaguje także w Internecie, podał informację o II Konkursie Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a Ty pisz!” (organizowanym co roku w walentynki przez Krasnostawski Dom Kultury i Grupę Literacką A4), a całkiem niedawno zgodził się bezinteresownie na udzielenie mi obszernego wywiadu do kwartalnika literackiego „Kresy”. Kiedy, niesiony falą dzikiej wdzięczności za to wszystko, napisałem mu w mailu: „A mówią, że wśród *Wielkich* nie ma *normalnych*”, odpisał krótko i treściwie: „E, tam!”. I to cały Jacek Dehnel.

Mariusz Kargul

Zbigniew Strzałkowski**Raj**

wjechać mercedesem do raju
 prosto na koktajl whisky z lodem
 obejrzeć wnętrze złożonych ram
 poflirtować z cudownymi amazonkami
 rozmieszyć dowcipem - chwyt pewny
 otworzyć notebook - giełda aż się poci
 czas ubić interes na wieczność
 kelner - powiedz że czekam
 na waszego szefa
 okay

Kim jesteś (nie)

człowiek stał się węzłem gordyjskim
 dla siebie samego
 zasupłanym wielokroć przez setki wieków
 nigdy nie potrafi
 wydostać się z getta historii
 nikt na człowieka nie czeka
 nikt człowieka nie chce zrozumieć
 nikt w człowieku
 nie widzi siebie samego

Wyrok

Judaszu
 próbują cię rehabilitować
 przedziwnymi argumentami propagandy
 nadając im antyewangeliczną prawdę
 trwałeś przy Mistrzu obłudnie
 dłonie ciążyły srebrnikami
 zagarniętymi po każdym cudzie
 gdzie się podziały - w jakim banku leżą
 zostałeś płatnym agentem bezpieczeństwa
 odszedłeś ze znakiem zapytania
 z żółtą skazą na twarzy

drzewo ze wstrętem nachyla gałąź

Kto puka

znów miałem sen dzieciństwa
 razem z aniołem zbiegłym z obrazu
 obróciliśmy miasto na drugą stronę
 apokalipsie cum figuris
 ulice zatłoczone barwą - kamienice ukośne
 pies fruwa bez homologacji
 sąsiadka niesie stos słodkich pieśni w odpust
 batożony koń jako Pegaz obiega brzegi łąk
 poeta z odprysków słów lepi esej prząsny
 kto wycofa pozew sądowy przeciw snom
 łazimy w poprzek pamięci
 zaglądając na chybił trafił w życie obce
 dłonie świerzbią od nadmiaru śmiechu
 staram się intuicyjnie zrozumieć
 moje miasto światłem rzeźbione
 ludzi biegnących na wszystkie strony
 na moment weszliśmy w inny wymiar przeżycia
 zadziwieni szukamy głosów dzieciństwa
 pukając ostrożnie w drzwi sennego miasta
 otwieramy zagubiony pamiętnik

Paragon

przez niedomknięte drzwi
 widzę siebie biegnącego ostatnią łaką
 naprzeciw gorącej smugi
 czy to skrzydło anioła urwane
 czy zaśpiew wysoki sejmiku bocianów
 pożegnanie zawsze jest spóźnione
 w poprzek rozpięto linę
 dokąd ona może poprowadzić
 kto ujmie na końcu dłoń
 co trzeba pozostawić bez leku
 ostatni uśmiech zostawiam tobie żono
 nie boję się być poza wszystkim
 tu się zaczęło i tu się kończy

Chorał jesienny

dzieciutek z kardynalską pioską
 uważnie ostukuje plecy brzóz
 pacjenci cierpliwie czekają

za oknem gore - całopalenie kolorów
 szczelnym płaszczem nakrywa ciała drzew
 szeleszczące liście odmawiają pacierz

wrzosowy dywan pachnie miodem
 to już ostatki jesieni - odlot spóźniony
 burza czeka na wezwanie wiatrów

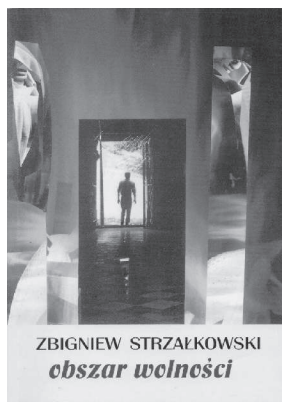
zodiakiem rok ponaglany
 zbliża się do mroźnej granicy
 będziemy niewolnikami śnieżnych snów

Zbigniew Strzałkowski

Brzeg niepewności

na strychu mieszka poeta boży
 na drzwiach wypisał krwią
 nie ma mnie
 prorokował żując postny chleb
 może naprawdę widział tajne wejście
 do raju - ostatniej Arkadii
 geniusz stuknięty nawiedzony
 pod wycieraczką kładł wiersze
 odkryłem ich treść w odbiciu lustrzanym
 chichot resocjalizacji naszych myśli
 uderzył mnie złośliwie
 jesteśmy na brzegu niepewności
 zagubieni w bełkocie słowotwórczym

poeta powiesił się w sobotę
 w przeddzień pożogi



Zbigniew Strzałkowski,
Obszar wolności,
 wiersze, POLIHYMNIA,
 Lublin 2007, ss. 140.

Dwie premiery w roku

Pomysł wydawał się mało interesujący i bardzo ryzykowny, ale Franciszek Piątkowski ze znanym sobie uporem i konsekwencją przekonywał nas do swojego planu. Zziębnięci, wlepiając oczy w buzujący ogniem kominek, słuchaliśmy z udawanym zainteresowaniem. Było kilka dni po premierze *Chaty za wsią* i kilka godzin po balu sylwestrowym. *Zrobiliście wspólną inscenizację, a z przypadkowych ludzi - całkiem dobrych aktorów - kadził Franciszek - W tym roku przypada już ostatnia, V edycja imprezy „Z Rejem do Siennicy” i dobrze byłoby, aby zakończyła się spektaklem teatralnym* - kuśił nieprzerwanie nasz rozmówca - *oddającym szesnastowieczną rzeczywistość, w której żył ojciec literatury polskiej. Amatorski Teatr Pokoleń sprawdził się i jestem przekonany, że mógłby sobie z tym zadaniem poradzić. Chciałbym, abyście to razem zrobili. Jest nawet taka sztuka Adolfa Nowaczyńskiego - krotochwila „Jegomość pan Rej w Babinie”, napisana przed stu laty...*

Po dwukrotnym czytaniu, zaczęliśmy rozpoznawać fabułę. Wniosek był jeden: potrzebny jest zupełnie inny scenariusz. Zgłębianie dziejów historycznego towarzystwa pod nazwą *Rzeczpospolita Babińska*, gdzie blisko pięćset lat temu w miejscowości Babin opowiadano sobie dla zabawy niewiarygodne historie, nasunęło mi pomysł, aby część tych łgarstw wykorzystać w scenariuszu. Głównym wątkiem sztuki pozostał spór o posag, który burzył spokój okolicznej szlachty, a Rej z Siennicy go rozstrzygał.



Tadeusz Kiciński tradycyjnie zajął się opracowaniem scenografii i przygotowaniem zadań reżyserskich, a mnie przypadało jeszcze niewdzięczne zadanie obsadzenia sztuki. Teraz czekaliśmy już tylko na oficjalny sygnał do prób.



Premiera komedii *Zelżyj po trzykroć* odbyła się 12 września w siennickim amfiteatrze. Kolejny sukces? Na pewno tak, uwzględniając absencję na próbach, krótki czas przygotowywania i występ w amfiteatrze, miejscu nieodpowiednim dla prezentacji teatralnych. Zawiodło też nagłośnienie, ale nie - wykonawcy. Okazało się, że sienniczcy amatorzy obronili widowisko jak zawodowcy. Wyraźnie dominowali odtwórcy ról, mający już swój debiut w *Chacie za wsią*, aczkolwiek wiele uznania należy się także nowicuszom z Siennicy i Krasnegostawu, którzy z dobrym skutkiem zasilili sprawdzoną kadrę. I tak zaistniała w Siennicy najtrudniejsza w realizacji forma sceniczna, jaką jest komedia.

Andrzej D. Misiura



Wykonawcy sztuki *Zelżyj po trzykroć*:

Magdalena Adamczuk, Agnieszka Bąk, Janina Brzysko, Karol Bojarczuk, Ewa Dziedzic, Grzegorz Grochocki, Maria Guz, Monika Kaluźniak, Paulina Kaluźniak, Halina Kargul, Bogdan Kargul, Marek Kapeluszný, Wojciech Leszczyński, Konrad Loba, Aleksandra Mocniej, Bogusław Mocniej, Henryk Mocniej, Artur Marczewski, Halina Muda, Paweł Magdziarz, Agnieszka Proskura, Artur Proskura, Agnieszka Soczyńska, Tomasz Soczyński, Paulina Stalmach, Wiesław Szydłowski, Patryk Truszkowski, Stefan Zając, Grażyna Zaworska.

Mali wykonawcy:

Daniel Dobosz, Dawid Dobosz, Magdalena Guz, Karol Guz, Magdalena Miszczak, Aneta Zaworska, Patrycja Zaworska, Natalia Zaj.

Scenariusz: Andrzej David Misiura.

Reżyseria i projekt scenografii: Tadeusz Andrzej Kiciński.

II reżyser: Andrzej David Misiura.

Wykonanie scenografii: Mariola Niewiadomska i Henryk Mocniej.

Współpraca: Magdalena Adamczuk i Eliza Bożek.

Koordinator: Irena Zaraza.



Amatorski Teatr Pokoleń przyciąga tłumy.

Foto M. Adamczuk

Marek Kusiba

Bajeczny Babin

Żabką przez Atlantyk

Po przeczytaniu felietonu o zaletach ziemi lubelskiej, żyznej w liczne talenty, w której biją liczne źródła polskiej duchowości, przysłał mi emalię Henryk Wójcik, zagorzały lublinianin i bibliofil, przypominając, że pierwsza książka wydrukowana w języku polskim wysłała spod gęsiego pióra Biernata z Lublina. Miała proroczy tytuł *Raj duszny* i była parafrazą z łacińskiego modlitewnika, a ukazała się w Krakowie w 1513 r. Natomiast w samym Lublinie w XVI w. zaczęły się ukazywać także pierwsze modlitewniki i książki hebrajskie. Autor *Żywota Ezopa Frygi, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego żył w krainie bogatej w przymioty i podmioty*. Jednym z takich podmiotów był Jakub Izaak Horowic, ojciec chasydyzmu polskiego, zwany „Widzącym z Lublina”, innym - Mikołaj Rej, ojciec literatury polskiej, gospodarzący polskim słowem tudzież plugiem w Siennicy Różanej.

Właśnie nadeszła stamtąd wieść, jak najbardziej gminna, o premierze w miejscowym amfiteatrze sztuki *Zelży po trzykroć*, opartej na kanwie komedii Adolfa Nowaczyńskiego *Jegomość pan Rej w Babinie*, a zaadaptowanej na potrzeby piątej edycji imprezy „Z Rejem do Siennicy” przez Andrzeja Misiurę i Tadeusza Kicińskiego. Jak napisała w *Kurjerze Lubelskim* Sylwia Hejno, Rej w Siennicy „gospodarzył i się pieniaczył w trakcie licznych procesów. Tymi doświadczeniami, podpartymi mocą pióra, wniósł wkład do Rzeczypospolitej Babińskiej - tworu dowcipkującej szlachty (m.in. Jana Kochanowskiego i Mikołaja Sępa Szarzyńskiego). Wyimaginowane państwo osadzone w podlubelskiej wsi, ku wesołości czytelników, obśmiewało Rzeczpospolitą Polską, którą rządzili rozbisurmanieni lenie i opoje”.

Tu muszę autorkę nieco poprawić, jako że poszła za bardzo na skróty (myślowe). U początków Rzeczypospolitej Babińskiej Polską rządził król Zygmunt August, który nie nadużywał raczej alkoholu. Jak w każdej epoce, tak i wtedy „obok bogów narodowych, bożków lokalnych były jeszcze bałwany epokowe” - jak napisał gdzieś Nowaczyński - ale bynajmniej nie skierował on swej „świeckiej krotuchwili” przeciw władcy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Także nie z powodu jego nieudanych rządów sędzia Stanisław Pszonka skrzyknął do Babina wesołe towarzystwo kpiarzy i wesołków trudniących się żartobliwą działalnością pseudoliteracką. Król przepadał za długimi polowaniami, na których przepadał, bywało, i na pół roku, mógł więc i zawitać do Babina, pytając, czy Babińczycy mają już swego monarchę.

W naszych czasach, po takiej odpowiedzi udzielonej prezydentowi, Rzeczpospolitą Babińską zająłby się skutecznie IPN. Mamy tak wspaniałe państwo, że utworzenie państwa karykaturalnego, i to jeszcze za przeproszeniem babińskiego, nikomu nie jest potrzebne do śmiechu i szczęścia. W Babinie nadawano urzędy anegdotyczne, ale idiotyzmem jest porównywać urzędy z czasów np. sarmackiego zepsucia z naszymi, czystymi jak łąka po spirytusie. Po Sarmatach szlachta polska odziedziczyła same wady narodowe, takie jak umiłowanie wolności, gościnność, męstwo i odwagę...

Jak pisał Teodor Waga w XVIII w., Rzeczpospolitą Babińską wymyślił szlachcic „dziwnie wesołego i żartobliwego humoru ku poprawie przez uczciwe żarty obyczajów narodowych i bezprawii niektórych w rządy wkradających się”. Natomiast w niemieckiej encyklopedii Zendlera nazwano wesołą Republikę Babińską „stowarzyszeniem głupców”. Zawistni Niemcy nie mogli inaczej zareagować na inicjatywę powstałą nad Wisłą, Tyśmienicą i Wieprzem.

Przypomina o tym Paulina Buchwald-Pelcowa w obszernym artykule „Europejska *republica litteraria* o polskim Babinie”; podlubelska wioseczka była obecna w książkach wydawanych w XVII i XVIII wieku w różnych krajach dzięki przedrukowi fragmentów *Roczników polskich* Stanisława Sarnickiego, który „stworzył podstawy do wykreowania sławy wesołej Rzeczypospolitej. U niego, jak u późniejszych autorów piszących o dziejach Polski, była to integralna część ogólnej historii kraju. (...) pruscy alabandrzy i francuscy kalotyńczycy łączyli się z Babińczykami w zabawie, w śmiechu, w żartach niewolnych od krytyki i ośmieszania wad”. Europa małpowała Babin, bo w krzywym zwierciadle anegdota „ostrzyły się dowcipy, także obyczaje” - jak pisał Wespazjan Kochowski o wiejskim Babinie. Jaka szkoda, że współcześnie dowcipy, tudzież obyczaje nie ostrzą się w jakimś Babinie współczesnym, niekoniecznie wiejskim - a na Wiejskiej...

Nie jest tak zapewne dlatego, że dewizą prześmiewczego bractwa babińskiego było łacińskie *Omnis homo mendax* (*każdy człowiek jest kłamcą*), czego nie można dziś odnieść, pod groźbą pudła, do niektórych obywateli „dusznego raju” IV RP. Nie mogę sobie też wyobrazić współczesnego włodarza na Belwederze oglądającego dobrowolnie (i dobrodusznie) sztukę *Zelży po trzykroć* lub wysłuchującego na swój temat uszczypliwej, trefnej (i trafnej!) facecji czy bajki komicznej...

Marek Kusiba

www.dziennik.com

Publikacja za: *Nowy Dziennik/Przegląd Polski*,
Nowy Jork, 18 września 2009.

Figliki

Mikołaj Rej**Trzeźwy a pijanica**

Pijany z trzeźwym bardzo różnie chodzą
W jednej gospodzie nigdy się nie zgodzą

Opilec nigdy nic dobrze nie czyni
A w swych postępkach podobien do świni

Jak wilk wyje, jako cielę ryczy
Jako gęś klekce, jako świnia kwiczy

Pijany traci majątność i sławę
Zdrowie, poćwiwość, każdą piękną sprawę

Pomierny człowiek w swym stanie uczciwym
ten jest obrazem prawym i życliwym

Nadobnie kwitnie zawždy stan pomierny,
Każdemu stały, z każdym na wsze wierny

Patrzaj, w opitym co najdziesz takiego,
Co by zdobyło stan zachości jego?

Na wrota

Kto tu jedzie tymi wroty,
Zostaw w polu kłopoty

Puszczajcie wrota każdego,
Lecz wždy patrzcie poćwiwego

Jedziesz li tu na niezgodę
Raczej w karczmie miej gospodę

Kto tu kradnie, każdy wisi,
By więc miał i kożuch lisi

Byś miał i burmistrza brata.
Ruszysz li tu, osrasz kata.

...
Szlachcic beż sławy
Jest osieł prawy

...
Sprawy każdego
Mają sędziego

...
Żywot poćwiwy
To skarb prawdziwy

...
Prawdy proroka
Strzeż jako oka

...
Kto prawdę traci
Drogo to płaci

...
Piękna robota:
Przy sławie cnota

Z teatrem do Fajslawic

Fajslawice są pierwszą gminą, w której zainaugurowano serię spektakli „Zełżyj po trzykroć”. 4 października na zaproszenie Wójta Gminy i Towarzystwa Przyjaciół Fajslawic siennicki Teatr Pokoleń przeniósł setkę widzów do podlubelskiego Babina sprzed 450 lat. Na scenie pojawili się bohaterowie znani z historii. Wśród nich ojciec literatury polskiej określany w ostatnich latach jako Rej z Siennicy. Widzowie mogli się przekonać, że zabawa na scenie jest naprawdę interesującą formą rozrywki i warto w nią inwestować. Po spektaklu gości przyjął zastępca wójta Krzysztof Gałań. Wykonawcy otrzymali upominki.

W tydzień później kolejnym miejscem, w którym oczekiwano na przedstawienie była Żółkiewka. Teatr przyjęty został tam nie mniej serdecznie. Klimat jaki panował podczas prezentacji pozostał na długo wśród, coraz lepiej radzących sobie artystów. Trzeci występ zaplanowany jest w Siennicy Nadolnej na 18 listopada, a później w innych gminach powiatu krasnostawskiego..



Henryk Radej



Od czasu do czasu robię sobie małą przyjemność (przynajmniej raz na kwartał) i zamawiam przez internet książki oraz płyty z muzyką i filmami. Ostatnio otrzymałem (wreszcie!) długo poszukiwane felietony Andrzeja Dobosza „Ogrody i śmietniki” (Biblioteka „Więzi” 2008) oraz płytę Sambora Dudzińskiego „ekle” (projekt etno funky show). Felietony czytam zawięście i napiszę o nich innym razem. Muzyka spod ręki Dudzińskiego rozbrzmiewa u mnie teraz non-stop, a ja delektuję się jej bogactwem, różnorodnością stylów i kulturą muzyczną oraz literacką jej autora.

Sambora Dudzińskiego pamiętam dobrze i kojarzę z Zamościem. Tutaj poznał świat i kulturę (nie tylko sceniczną) pod okiem nie mniej słynnych rodziców, aktorów teatru „Performer”. Jego młodzieńcze występy podczas różnych zamojskich imprez kulturalnych zawsze zaskakiwały wysokim poziomem i oryginalnością form muzycznych. Aż wreszcie przyszedł czas na dojrzałe życie artystyczne na własny rachunek. Cieszy, że Sambor Dudziński nie dał się skomercjalizować i pozostał wierny sobie i swemu stylowi. Nadal jest wszechstronnym multi-instrumentalistą, wokalistą, kompozytorem i performerem. Wykonawca bawi się i raduje (także słuchaczy) tym, co robi. Na płycie panuje swoboda grania bez narzucanych form i radość ze spotkania z przyjaciółmi. W świecie dźwięków i rytmów oraz improwizowanych wypowiedzi artysta porusza się z finezją i poczuciem humoru. Z powodzeniem udało mu się połączyć stylistycznie teksty własne, lubelskiego barda J. Kondraka, czy J. Słowackiego z bitgorajską melodią ludową i znanymi standardami muzyki pop: „Fever”, „Summertime”.

Tytuł „ekle” kojarzy mi się znaczeniowo z eklektyzmem (różnorodnością stylów), ale jest to moje rozumienie tytułu. Jakże przejmująco i aktualnie brzmi tu w stylu żałobnego zawołania fragment „Grobu Agamemnona” Słowackiego:

*Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzą;
Pawiem narodów byłeś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą. -
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu - gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię - bom smutny - i sam pełen winy!*

Sam Dudziński popisał się wyszukany brzmieniem i celnymi metaforami w przepięknej piosence autorskiej „Chcę do ciebie”:

*Miłość to biały ptak
wleciał do twojej klatki
piersiowej*

*klatki-pułapki sercowej
Albo latasz jak on
albo z nim walczysz na noże -
on jest większy, silniejszy od ciebie
bez niego pusto i smutno
na niebie.*

Chwilami można znaleźć tu trochę poetyki Niemena i Grechuty, a także orientalne zaśpiewy. Ach, ten Sambor!

To teraz już wiadomo, dlaczego nie pokazuje się go w telewizji i rzadko słyszy w radiu. Do „Tańca z gwiazdami” na pewno się nie nadaje, a po Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, EXPO w Japonii i po wielu koncertach w kraju i za granicą, m.in. w Hiszpanii, Finlandii i USA (Chicago) Dudziński bije na głowę niejedną tzw. gwiazdę sezonu. Tylko, że on autentycznie śpiewa siebie i swoje piosenki i jest przekonujący w swojej sztuce. Jeszcze nie raz o nim usłyszymy.

Henryk Radej

Maurycy Witkowiak



Kawa stygła w filiżance. Pawłowski potarł zmęczone oczy i oparł się łokciem o blat stołu. Był już taki wykończony, a jeszcze musiał jechać za chwilę do działu dystrybucji energii, gdzie zazwyczaj tracił energię zupełnie.

Umówił się także po pracy z inżynierem Lewandowskim, który miał mu przedstawić plany pomiarowe nowej centrali i falowników. Wyobrażał sobie teraz jego ostrą, beznamietną twarz pochyloną nad projektami, których sztywne, uporządkowane linie, misternie dopracowane szczegóły, zdawały się oskarżać go, że sam jeszcze nie jest taką prostą, maszynową kreską. Ale nie był nią, i nadal dziwił się prostocie życia swoich kolegów z Elektromontażu, którzy nigdy nie jedli słodczy, nie chodzili do kina ani do muzeum, patrzyli na niego tak jak jedna śrubka spogląda na drugą, nie spodziewając się nawet, że on nie odpowiada im tym samym.

Konin to było dla niego straszne miasto, elektrownia górowała nad wszystkim, zupełnie jak jakaś nowa świątynia. Aluminium dawno już spadło z drugiej ligi, parki opustoszały. W takie letnie dni jak teraz, jest tu nie do zniesienia. W biurze parno, duszno mimo klimatyzacji, słońce przedziera się przez szyby i jest bezlitosne, telefony dzwonią, faks daje sygnał, na skrzynce piętrzą się i zderzają ze sobą nieodebrane maile, jak kolorowe boje przy brzegu.

Znowu te morskie porównania... Już któryś raz w głowie Pawłowskiego odezwał się tępy ból, dotąd tak gwałtownie tłumiony. Choć opędał się przed tymi wizjami i wlepił wzrok w ekran komputera, one nie dawały mu spokoju. Wreszcie cichutko wpłynęły do środka i wewnątrz inżynierskiego ciała znalazły sobie bezpieczną kryptę, gdzie spokojnie leżały, wyczekując. I teraz znów... Morze, brzeg, głos przyprływu, kamienna dróżka prowadząca do miasteczka. Nagle dzwoni telefon i wizja znika.

Osiem godzin mija bardzo powoli. Pawłowski ma ochotę pozbyć się tej cholernej koszuli i krawata. Idąc do samochodu rozgrzanego od sierpniowego słońca, jeszcze raz spogląda w kierunku grubych i jakby tłustych od oliwy kominów fabryki, wycelowanych w niebo jak jakieś gigantyczne armaty. W głowie ma znów szum morza, kolejny raz widzi tę samą dróżkę prowadzącą do rybackiej osady. Podczas jazdy nerwowo włącza radio, próbując zagłuszyć myśli. Sam jednak zaczyna liczyć:

„Dwieście pięćdziesiąt pięć kilometrów, cztery godziny drogi i - jestem. Tak dawno nie widziałem mamy. A jeśli potem pójdę w dół ulicy, na ten błyszczący rynek (poczuje stopami twardość i ciepło nagrzanego słońcem bruku) i stanę przed tym starym domem z czerwonej cegły... z pelargoniami na tarasie, z pelargoniami w żółtych donicach... jeśli zapukam do tych drzwi w kolorze ochry, to otworzy mi Ona - ona w letniej sukience, ona z oczyma błyszczącymi jak dojrzałe, słodkie jeżyny (czy teraz te oczy tak błyszczą jeszcze?) czy... Cztery godziny drogi i stanę oko w oko z przeszłością i ze straconymi szansami. Malownicze.” Zawsze, gdy przypominał sobie dom, te małe pobliskie wioseczki, jego oczy, zazwyczaj mętne i nie dostrzegające szczegółów, stawały się wyczulone do bólu i wrażliwe jak żywa tkanka.

Miał nadzieję, że Lewandowski szybko zapozna go z parametrami technicznymi swoich wynalazków i będzie mógł jechać dalej. Ale nie. Inżynier przyjął go w iście pańskiej pozie z bosymi stopami na białym dywanie, pośród rozrzuconych papierów, projektów, wyliczeń, cyrkli, kątomierzy.

Do picia podał mu jałową, gazowaną wodę. Pawłowski był pełen rezygnacji.

- Co z Tobą, Jacek? - spytał nagle Lewandowski, ściągając okulary. Przecież widzę, że mnie w ogóle nie słuchasz, nawet nie patrzysz na to, co objaśniam. Jesteś już myślami na urlopie?

- Urlopie? spytał Pawłowski z niedowierzaniem. Nie, on nie zdążył nawet pomyśleć o wolnym tygodniu, bał się, że nie będzie już możliwości wytłumaczenia „dlaczego nie przyjechał”.

- Nie, to tylko... zmęczenie, ten upał, który... - próbował się usprawiedliwiać

- Masz rację - odparł Lewandowski z naiwnym uśmiechem. Zaraz włączę klimatyzator. Sam go skonstruowałem. Zobaczysz jak działa to cudo.

*

Dział kadr firmy „Elektromontażyści” miętosił w swoim papierowym wnętrzu podanie o urlop złożone przez Pawłowskiego. Dział kadr, potem dział księgowości, dział zarządzania zasobami ludzkimi, dział inwestycyjny, dział do spraw współpracy z kluczowymi klientami - one wszystkie, niemalże spersonifikowane, jak nowe Parki zajęły się jego losem, dyskutowały. Dział inwestycyjny miał obiekcje, ale dział kadr ostatecznie przekonał go drogą mailową przy współudziale działu do spraw kluczowych klientów. Dział księgowości z kolei wskazał na oczywiste kwestie prawne, które teraz muszą znaleźć zastosowanie.

Pawłowskiego natomiast z dnia na dzień ogarniała swoista apatia, tak iż, gdy praca już się kończyła, on jeszcze siedział przy rozgrzanym od słońca biurku, z szeroko otwartymi oczyma. Bolał go kręgosłup.

Kolejnego dnia, po wyjściu z biura postanowił zająć się knajpą „Okruchy dni”, położonej w innej części miasta, w sąsiedztwie Parku Chopina. Tak dawno tego nie robił. Zapomniał już swoich młodych lat. Gitara, smak whisky, dziewczyny, a zwłaszcza... Jakaś bójka na pięści, ktoś źle spojrzał, opowieści barmana, przesiadywanie do późna i sny o potędze. Przecież miało się zacząć, miało być to COŚ, jego kariera, jego marzenia, kobiety, jego... A potem została tylko ta cholerna politechnika, która go przestawiła, jak przestawia się zwrotnicę albo raczej rozmontowała - jak rozmontowuje się podzespoły. Jakie uczucie towarzyszyło mu w ostatnich latach, gdy przechodząc przez hale produkcyjne, widział jak w temperaturze sześciuset stopni łączy się jakieś dwa minerały, dwa stopy? Wszystko było tak potwornie namacalne i dotykalne. Wszystko było możliwe na podstawie pewnych i wyliczonych praw, nie było miejsca na niepewność, ryzyko. Pawłowski tak naprawdę kochał świat, ale ten objawiał mu się teraz jako skończony, twardy niegościnnie i zamknięty. Śrubka jest tylko śrubką, a centralka tylko centralką. Koniec.

A teraz? Siedzi w knajpie, przy mahoniowym stole, w szklance whisky. To już postęp. Przypominał sobie ten smak, do którego nie dorośli pewnie jeszcze jego zasrani koledzy inżynierowie.

I jakby z jego błyszczącej szklaneczki wyszły Magda, pięknonoga Jola, nareszcie Joanna na kształt i obraz pięknych rusalek. Przy drugiej kolejce proporcje zaczęły się mieszać i zamazywać. Pamięta tylko, że wyszedł z „Okruchów dni” grubo po północy, a droga do domu wydłużyła się niemiłosiernie. Goniła go też jakaś melodia, tak to chyba było „Sail away” Chrisa Rea.

Był już spakowany, z szafy wyciągnął zakurzone zielony plecak. Palił papierosa i czekał, sam nie wiedział na co. Raz po raz podchodził do okna, sprawdzał godzinę, zupełnie jakby czekał na towarzysza podróży, a przecież wiedział, że pojedzie sam.

Czas - jednostajnym przemijaniem. W łazience - brudne lustro, zagadkowa i zarośnięta twarz. Wszystko martwe. Za szybą. Droga, kałuże, wyschnięte drzewo, tak proste i groteskowe, jak naszkicowane przez dziecko. Ani jednego listka. Lato umarło, pękło. Znowu. Pawłowski przypomniał sobie starą legendę, że pewnego razu, pod koniec sierpnia, ludzie zdadzą sobie sprawę, że lato tak naprawdę się nie kończy, owoce dalej kwitną i są słodsze niż kiedykolwiek, a drzewa są nadal zielone, tak głęboko i prawdziwie jak nigdy dotąd.

Drzwi dworca skrzypią. Pawłowski wchodzi, kupuje bilet. Idzie na peron. Pociąg już tam stoi. Pawłowski nie wsiada, cofa się, myśli. Po chwili gwizdek konduktora odbiera mu ostatnią nadzieję.

„Joanna mogłaby nie chcieć... a mama... może... zresztą... ja sam nie wiem i nie umiem... nie potrafię... ja...”

Bukiet róż wylądował w koszu. W tej samej chwili w innej części miasta dym z kominów fabrycznych ochoczo strzelił w górę i leniwie piął się aż po samo niebo. Słońce omdlewało z pragnienia, a poręcze schodów parzyły ręce. W parkach i na ulicach wiatr podwiewał dziewczynom spódniczki i odślaniał ich opalone nogi.

Pociąg ruszył, a złowrogie gwizdy zdawały się jakoby oskarżać Pawłowskiego, który nerwowo palił papierosa i stał jak wrośnięty w twardy bruk.

I poszedł marzyć o Joannie, dalekiej opończy jej nagich ramion, o pachnących mokrym piaskiem rybackich wioskach, o jej kształtnych piersiach, o domach z czerwonej cegły.

Maurycy Witkowiak
(Poznań-Podolany 2009)



Ewa Klajman-Gomolińska

Rzeź komunistów (fragmenty)

Po kolei konać - wszą twych włosów być. Po kolei drażnić twe powieki - łzą źrenicy kwaśną być. Po kolei szumieć w twych uszach - jak ocean... z rekinami i na dnie twego żołądka położyć się płamą świtu krwawego. Po kolei dusić cię jak okruszek... rosnać, brzmieć w twym przelyku i drzeć, byś nie zdążył wypłuć. Po kolei zamknąć się jak muszla i jak muszla twe serce, niczym tę perłę prawdziwą zatopić w mym ciele - twym ciele - ciepłem niech połączy nas wiatr. Po kolei niszczyć cię od trzewi, charcząc w twym przewodzie, pełznąć w twych gonadach jak mały ślepy kret i niechcący, jak ten ślepiec, pożreć cię we mgle, strawić jak posiłek dla ubogich, ubrać się w twe szaty, przywdziać twe rozmiary, zniknąć z własnej tożsamości, przyodziać twą dumę lajdaka i nałożyć makijaż prostacki jak twój każdy gest, nauczyć się ukłonów za opłacone oklaski i męczyć się jak koszmarnym snem, każdym przeżytym dniem. Pytasz się cynicznie, kiedy to nastąpi? Po kolei, najpierw zacznę od paznokci.

Nikt nie przeczuje smaku i woni doznać codziennie tych samych, lecz za każdym razem innych, nikt nie dotknie drżenia mej duszy słabej i silnej - *femme incomprise*.

Odwrociłam głowę i odeszłam. Nie potrzebowałam już Artura. Nie potrzebowałam już niczego, co należało do niego albo do nas. Musiałam stać się wolna. Paraliżujący strach i chciwy głód gardła, powtarzający się co dziesięć minut, nie pozwalał mi żyć. Muszę się wykrzesać z tego chaosu i z tej beznadziei nieporozumień. Co mnie obchodzi ten kraj, ta polityka i ten głupi Artur? Woskowe figurki, cieszące się każdego ranka z mego widoku, przestały być dla mnie ważne. Właściwie nic się nie liczyło. Mój mózg przytył dziesięć kilo i ja musiałam zrzucić tę wagę.

Pojechałam autobusem za miasto i z poczuciem wielkiego triumfu łapałam płucami ziewanie lasu i jego fallus. Pożądliwe ramiona Polski, miejsca, gdzie mój mózg był szczupły, chwyciły mnie już na krawędzi zapomnienia. Obudził mnie dopiero warkot nadjeżdżającego samochodu. Podniosłam rękę i z dużą dozą wstydu machnęłam kilka razy. Auto zatrzymało się niemal natychmiast - ku mojemu zdumieniu - z bardzo przystojnym kierowcą. „To się zdarza tylko księżniczkom” - przemknęło mi przez chwilę.

- Dokąd jedziemy?

Miał przyjemny, niski, nieco stłumiony głos, wywołujący lekkie wibracje w dole brzucha.

- Do Polski - odpartam pośpiesznie, bo nie chciałam zniechęcić siebie ani jego.

- Słucham?

- Chcę wrócić do mojego kraju... proszę mnie podwieźć do większego miasta, skąd miałabym samolot. O ile pan może, oczywiście...

- Przecież stąd ma pani samolot!

- Nie, ja stąd nie mogę, nie mogę... naprawdę... z przyczyn osobistych, to znaczy po prostu...

- Po prostu ma się kłopoty - zaśmiał się głośno i prowokacyjnie, jakby chciał powiedzieć: „wiem o tobie wszystko”. A może było to z odrobiną rozczerowania. Dość szybko i niedbale wymówił nazwę miejscowości, do której jechał i już, zdawałoby się naprawdę od niechcenia, dorzucił:

- Wsiadasz?

Wsiadłam, nie miałam wyboru. Musiałam to zrobić. Uśmiechałam się do niego i prowadziłam obyczajowo-kulturalną rozmowę. Kierowca szybko zapomniał o sposobie nawiązania naszej znajomości i zaczął opowiadać o swoich problemach w pracy i złych stosunkach z żoną. Kiedy przeszedł do ich pożycia łóżkowego - machinalnie chwycił mnie za kolano i rozpoczął wędrówkę ludu. „Teraz albo nigdy” - myślałam. W końcu ujechaliśmy już kilka kilometrów...

- Chcę się z tobą kochać - wylałam z siebie te słowa jak piwo z puszeki.

- Jasne, tu jest taki lasek - prawie ochrypl, nozdrza rozsadzało mu powietrze, a spod pach buchał rozpaczliwy odór potu. Był jak goryl, który po miesiącu diety miał dostać banana.

- Od razu się kapnąłem, jak tylko zaczęłaś machać - jego głos przypominał tym razem, że mutacja obeszała się z nim okrutnie. Nie rozumiałam tylko, dlaczego jeszcze za kierownicą poprawia sobie włosy lub wciska mi łapę w krocze.

- Opanuj się, jeszcze nas pozabijasz!

- Ale ty nerwowa! Zawsze jestem taki, gdy mam chłopcę, poza tym ty jesteś niczego sobie. „Artur mi nigdy nie powiedział czegoś podobnego” - pomyślałam z żalem. Wjechaliśmy w ten zapowiadany lasek, ja się już nie mogłam doczekać, a facet charczał i ślinił się.

- Poczekaj, nie teraz, nie w samochodzie - byłam już nawet zirytowana.

- Dlaczego nie tu, a gdzie chcesz?

- Na trawie.

- Dobra, lecimy na murawkę.

Wysiadł tak szybko, że nie zdążyłam mrugnąć okiem, a już wyciągał mnie z samochodu jak więźnia.

- Uspokój się, zaraz to zrobimy. Masz jakiś koc?

- Koc... to znaczy taki pled. Jego intelekt spadł do poziomu dwulatka. Wizja tego, co mam pod spódnicą przysłoniła mu w tym momencie zielone światło dla cywilizacji. Wyszarpował z ba-

gaźnika jakąś szmatę, jęcząc tak jakby już miał ejakulację. Artur nigdy nie jęczał, gdyż jego sporadyczne wzwody i jeszcze rzadsze orgazmy tak bardzo go dziwiły, iż nie było czasu na jęki. Kiedyś po stosunku, jeszcze w Polsce, płakał mi w rękaw jak dziecko i pytał infantylnie, jak to się stało. Poradziłam mu wtedy, żeby poczytał Wisłocką lub Starowicza. Dlaczego byłam z tym facetem tak długo? Człowiek to jednak durna istota. Otrząsnęłam się szybko z tych wspomnień, bo astmatyczny oddech mojego przyszłego kochanka znalazł się już na mej szyi.

- Chodź, bo zwariuję - bełkotał.

„A to zwariuj!” - skomentowałam chłodno w myślach.

Powalił mnie jak drewnianą kłodę na śmierdzącą benzyną szmatę, gniótł mi cycki i uwiierał w udo.

„Zwierzę, zwykle zwierzę. Mężczyzna z mózgiem zalany spermą nie różni się niczym od wygłodniałego wilczura ujeżdżającego zdychającą jamnicę, względnie otwór po judaszu w drzwiach” - uśmiechnęłam się mimowolnie do swoich myśli.

- Eee... - wysapał mój partner widząc ten uśmiech.

Moja ręka delikatnie ześlizgiwała się z jego pleców i szukała czegoś ważnego w kieszeni bluzy. Wpijał się akurat zębami w mój pępek, gdy znalazłam pojemniczek. Trysnęłam gazem w jego oczy błyskawicznie, nie zdążył nawet zmienić wyrazu twarzy. Zsunął się ociężałe ze mnie, beknął i zasnął. Automatycznie zerwałam się z koca i pobiegłam do samochodu. Z torby wyjęłam potrzebne mi narzędzia i czym prędzej wróciłam do śpiącego. Delikatnym, ale zdecydowanym ruchem odsunęłam nogawki jego spodni do kolan. Po chwili wahania zdjęłam też skarpetki. Zardzewiała piłę, taką tylko znalazłam u gospodyni na strychu, odkaziłam spirytusem, po czym dokładnie przemyłam skórę mężczyzny.

- Do roboty! - dodawałam sama sobie otuchy. Piłowanie nogi było bardziej skomplikowane niż sądziłam. Kość pod piłą strasznie skrzypiała i na dodatek śmierdziało jak przy piłowaniu paznokci, tyle że intensywniej.

- Nie dam rady w ten sposób, ja się zamęczę! - było mi siebie żal.

Wzięłam do ręki tasak do mięsa. Niepokoiły mnie tylko te wrzaski wydobywające się ze stłumionego skarpetami gardła faceta. Bałam się, że ktoś może usłyszeć. Ale nagle mężczyzna ocknął się, jego wzrok przerażonej jałówki na osamotnionej polanie zdumionej, że byk jej nie pokrył był nie do zniesienia.

- Gdzie jest gaz? - nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie zostawiłam pojemnik. Ryczący bawół ze skarpetami w gębie uniósł się i tym samym

odebrał mi możliwość wyboru. Tasakiem uderzyłam go mocno w twarz. Ukośnie. Teraz padł chyba na dobre. Mdły zapach krwi przypomni mi, że nie dokończyłam jeszcze dzieła. Zamachnęłam tasakiem z całych sił, bez opamiętania, po czym waliłam go chyba z tysiąc razy, aż wreszcie stopa oddzieliła się od reszty. „Czy ta noga była aby obcięta tuż nad kostką?”. Była poharatana - to pewne, jednak poczucie, że zrobiłam to nieprofesjonalnie było przytłaczające.

- Nie potrafię nawet obciąć porządnie nogi tuż nad kostką!!! - mój zwierzęcy ryk pokrył konary wszystkich drzew tego lasu. Nie wiem, czego było więcej: wściekłości czy rozpacz, ale był to ból komunistycznej agonii. Nie wiem, jak długo trwał ten seans, lecz kiedy się ocknęłam, bór jeszcze chwilę obwieszczał swym mieszkańcom, że Polka nie potrafi nawet obciąć nogi tuż nad kostką.

Już bez emocji i niezdrowej ambicji zabrałam się do obcięcia drugiej nogi. Może dlatego, że się trochę wyluzowałam, a może po prostu dlatego, że przestało mi zależeć tak bardzo. Nie wiem, co zadecydowało ostatecznie - jedno było bezdyskusyjnie jasne - nogę obcięłam o wiele ładniej. Nie było to dzieło mistrza, nie popadamy w skrajność, ale przy moim braku doświadczenia (nie licząc tego niefortunnego pierwszego razu) uznać można ten wyczyn za udany. Aby dodać sobie otuchy do następnych tego typu zadań, a zarazem pochwalić siebie za tak szlachetne uczynki, drżącym głosem wyszeptalam:

- Jaka piękna noga obcięta tuż nad kostką!

(...)

Lubię biały kolor. Nawet, jeżeli jest lekko przybrudzony. Taki właśnie był w tym pokoju. Biel jest nieskazitelna, więc i ja tak się czułam, wchłonięta w ten kolor. Przestało mi przeszkadzać, że nie mogę się poruszyć. Wyobraziłam sobie, że jestem drzewem i mam twarz pomarszczoną jak jego kora. Drzewo im starsze tym piękniejsze, a moja twarz zyskiwała szlachetności w miarę upływu lat. Dawno już nie czułam się tak bezpiecznie i spokojnie. Drzwi uchyliły się i lekarz, jak zwykle z przeprosinami w oczach za zakłócenie spokoju, wszedł subtelnie i bezszelestnie.

- Jak się czujesz, maleńka?

„Jaki on miły” - pomyślałam i ze szczerym uśmiechem odparłam:

- Dziękuję, bardzo dobrze.

- Pozwolisz, że najpierw cię zbadam.

Miał zimne ręce i wyjątkowo gładką skórę. Jego palce! Jakże długie i smukłe! Taki człowiek nigdy nie robi krzywdy.

- Możemy porozmawiać?

- Ależ oczywiście!

Podobało mi się brzmienie jego głosu. Chciałam go słuchać jak najwięcej.

- Gdzie jest twój mąż?

- Artur... nie wiem... właściwie to ja go zabiłam...

- Zabiłaś swojego męża? Jesteś pewna?

- Tak.

- Co czujesz? Jest ci przykro?

- Jest mi obojętnie.

- Jest ci obojętnie, że Artur nie żyje?

- Jest mi obojętnie, że ja go zabiłam.

- Uważasz, że nie ma w tym niczego złego?

- W czym?

- W morderstwie.

- Rzecz jasna, to jest złe. Ale ludzie tacy jak ja nie podlegają ocenie za tego typu wykroczenia.

- Chwileczkę, nie rozumiem. Jacy ludzie?

- No, tacy jak ja.

- To znaczy kto?

- Zarażeni.

- Zarażeni? Czym jesteś zarażona?

- Zostałam zarażona wirusem komunistycznym w czasie pracy. Jestem nieuleczalnie chora. Należy mi się, jak sądzę, wysokie odszkodowanie. Ale proszę się nie obawiać, nie zarażam...

- Czy wracasz znów do tej masakry, o której często mi opowiadasz?

- Tak, wtedy się wszystko zaczęło. Tyle krwi. Sam wiesz, jak łatwo się zarazić przez krew. Musiałam mieć wtedy jakieś drobne skaleczenie, nie pamiętam, w każdym razie stało się.

- Czym się objawia twoja choroba?

- Nogami obciętymi tuż nad kostką i krwią we włosach, zwykle dziecka. Jest to dokuczliwe, jednak niebolesne.

- Ale ja w dalszym ciągu nie rozumiem powodu tych strasznych morderstw. Z tego, co wiem, tylko jednej ofierze obcięłaś kończyny. Resztę zamordowałaś w dużo obrzydliwszy sposób.

- Cóż, samo życie. Problemy, komplikacje, stres, Jesteś lekarzem, wiesz, jak życie potrafi zdołować człowieka, a zwłaszcza kruchą kobietę. Choroba nie wybiera. W miarę upływu czasu dolegliwości są coraz częstsze i bardziej przykre.

- A co się zmieniło, od kiedy Artur nie żyje, co się dzieje w twoim sercu? Myślisz o nim? Pamiętasz chwile, gdy byliście razem?

Niepotrzebnie ciągle wracał do tego Artura. Tak bardzo lubiłam go słuchać, patrzeć na jego okulary i czuć dotyk jego ręki. Nie znosiłam tego tematu: Zdechły Artur i jego wpływ na psychikę młodej niewiasty.

- Chcesz pójść ze mną na spacer?

- Słucham?

Byłam zaskoczona, a jednocześnie czułam jak odzyskuje uczucie w członkach, z sekundy na sekundę przybywało mi energii.

- No, co jest? Pytam się, czy masz zamiar się przejść? Jest ładna pogoda, leżysz tu tyle dni. Pokażę ci nasz ośrodek. Na zewnątrz jest park, fontanna, na pewno ci się spodoba. To jak?

- Pewnie, że chcę. - Głos drżał mi z emocji.

- W takim razie wpadnę do ciebie po obiedzie.

Wyszedł cicho, jak i wszedł. A ja leżałam z oczami pełnymi łez i dziękowałam Bogu za to, że pokazał mi jak wygląda miłość.

Spacerowaliśmy długimi godzinami. Pachniało wkoło szczęściem, gdy trzymał mnie za rękę. Słońce kurczyło się z zimna, gdy odchodził. Był dobry, więc i ja byłam dobra. Bo taką chciał mnie widzieć. Nie zabijałam więc nawet dokuczliwych nocą koszmarów. Czekałam tylko chwili, gdy znowu go zobaczę i będziemy sami. Nazywał mnie „maleńka” i tak pięknie potrafił patrzeć w oczy. Zbliżała się niedziela, więc się zapytałam, czy będziemy mogli w ten dzień spacerować dłużej.

- Nie, przykro mi, na weekend jadę do domu.

- Ano tak, nie pomyślałam. Sądziłam, że mieszkasz w szpitalu. Zaśmiałam się, by ukryć rozczarowanie.

- Dzieciaki już mnie dwa tygodnie nie widziały, a żona aż się rozplakała przy ostatnim telefonie.

Dzwony biły w moich skroniach, a potok żalu i rozpacz mieszał się z Niagarą ludzkiego bólu w Niagarę losu ludzkiego.

- Nie mówiłeś, że masz żonę... Ten głos był obok mnie.

- Ależ maleńka, nie rozmawialiśmy o mnie, tylko o tobie...

- Dlaczego mówisz do mnie „maleńka”?

- Jak to dlaczego? No... przecież jesteś moją pacjentką, poza tym... nawet cię lubię. Ja bardzo emocjonalnie podchodzę do moich pacjentów.

- Pacjentka... pacjentka... lubić...

- No, maleńka, wracamy, ty cała drżysz. Lepiej odpocznij.

Do samych drzwi nie powiedzieliśmy ani słowa.

- Możesz coś dla mnie zrobić przed odjazdem?

- Tak?

Znowu patrzył mi się prosto w oczy, a ja konałam na taflę miłości.

- Wypij ze mną kawę...

- Tylko tyle... zaśmiał się... zawsze przecież piję z tobą kawę w czasie naszych rozmów. No, wchodź, maleńka!

Przy kawie, rytualnie już, wypytywał się o rozmaite szczegóły z mojego życiorysu, a ja, rów-

nież rytualnie, udzielałam soczystych odpowiedzi. Jego głos miał tę samą barwę, wzrok emitował to samo ciepło, nadal nazywał mnie „maleńka”, mimo że nie kochał mnie. Miał głupią żonę i parkę goryli, a ja noclegi i żarcie w psychiatryku. Serwował mi kawę i romantyczne spacer w zamian za informacje do jego naukowych publikacji. Byłam dla niego przedmiotem niezbędnym do wykonania pracy.

- Chcę jeszcze.

- Co takiego, maleńka?

- Chcę jeszcze kawy.

Wziął mój kubek i podszedł do stołu. Trochę rozlał. Spieszył się do żony.

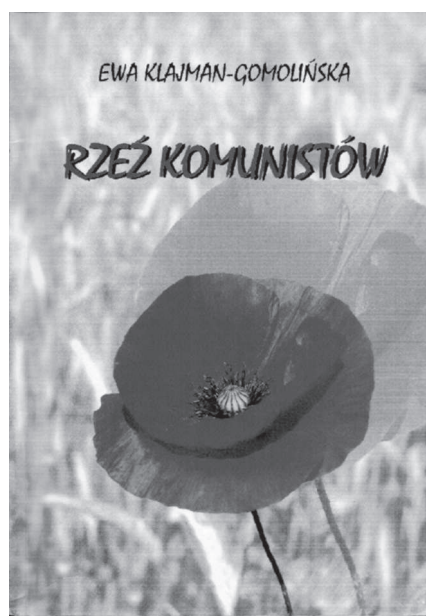
- No, to co mi powiesz, maleńka, przed odjazdem? Mam nadzieję, że będziesz grzeczna?

Uśmiechał się w przerwach pomiędzy kolejnymi łykami kawy. Już nie mogłam skupić się na odpowiedzi, obserwowałam jego reakcję.

- Czemu nic nie mówisz? Znowu drżysz, zimno ci?

Nagle spojrzał na moją zaciśniętą rękę, na której między palcami ukazywały się stróżki krwi. Otworzył moją dłoń i zobaczył zmiażdżone szkło ampułek, częściowo powbijane w skórę. Zrozumiał, widziałam to w jego oczach. Miał do mnie żal, wielki, jak ja do niego. Oboje się oszukaliśmy i oboje zadaliśmy sobie ból. Zsunął się z krzesła powolnie. Poczekalam na zgon. Zamknęłam mu oczy, nie chciałam zapamiętać takiego ich wyrazu.

Ewa Klajman-Gomolińska



Lubelski kryminał, krasnostawski wątek

Kryminał Marcina Wrońskiego *Komisarz Maciejewski. Kino Venus* to druga odsłona bardzo dobrze przyjętej przez czytelników i krytykę opowieści o tytułowym komisarzu lubelskiej policji z początku lat 30. XX w. Wroński ponownie misternie buduje intrygę, wykorzystując cały aparat możliwości, jakie daje dwudziestolecie międzywojenne ze swą barwną mozaiką polityczną, zróżnicowaniem wyznaniowo-etnicznym czy wyraźnymi kontrastami kulturowymi i społecznymi. Pisarz, z właściwym sobie wyczuciem, zręcznie łączy fakty z fikcją literacką, osadzając wymyśloną akcję kryminału wokół istniejącego przed wojną lubelskiego kabaretu „Frascati”. Czytelnik ponownie spotyka wyraźnie naszkicowanych, znanych już sobie bohaterów, ale - jak się okazuje - ich z pozoru w pełni określone osobowości nabierają nowych cech, do tego dochodzą kolejne, nie mniej charakterystyczne postacie. Niezmienną zaletą prozy Wrońskiego jest bez wątpienia to, iż jest zbudowana na solidnych podstawach. Autor, aby oddać klimat przedwojennego miasta, specyfikę oraz charakter międzywojennej policji ucieka się do żmudnych poszukiwań w lokalnej lubelskiej prasie międzywojennej, archiwach i opracowaniach naukowych. Korzysta również z merytorycznej pomocy historyków i policjantów, że wymienię tu przede wszystkim dr. hab. Roberta Litwińskiego z UMCS, niekwestionowanego autorytetu w dziedzinie przedwojennej PP na Lubelszczyźnie. Pomimo tego, iż fabuła rozgrywa się w międzywojennej scenarii, Wroński dotyka problematyki ponadczasowej. W pierwszym kryminale (*Komisarz Maciejewski. Morderstwo pod cenzurą*) była, ogólnie mówiąc, triada: media - polityka - pieniądze, a w drugiej mamy handel żywym towarem. Do tego dochodzą oczywiście inne aspekty i boczne wątki wzajemnie się przenikające lub z siebie wynikające.

Niejednokrotnie o Wrońskim mówi się, że jest „lubelskim Markiem Krajewskim”, ale jest to chyba krzywdzące dla tego pierwszego. Obydwaj osiągnęli pewien poziom, wypracowali swój styl, choć nie należy zapominać, że pionierskie szlaki retrokryminału przecierał Krajewski. Ostatnio to właśnie Krajewski konsultował się z Wrońskim przy pisaniu kryminału „lwowskiego” *Głowa Minotaura*. No, ale chyba przecież nikt nie powie, że Krajewski to taki „wrocławski Wroński”. Dla czytelnika spoglądającego z pułapu Wyżyny Lubelskiej bohater Wrońskiego - Zyga Maciejewski z przedwojennego Lublina jest zdecydowanie bliższy, bardziej swojski, wręcz namacalny w odróżnieniu od postaci Eberharda Mocka policjanta z Wrocławia (Breslau) wykreowanego przez Krajewskiego.

Jaki jest związek kryminału z Krasnymstawem? Krasnostawski wątek, na potrzeby niniejszego artykułu, jest nieco „marketingowo naciągany” i wiąże się z osobą nadkomisarza Makowieckiego - negatywnego bohatera, szefa lubelskiej policji, a tym samym przełożonego Maciejewskiego. Krasnostawski epizod, przywołany dosłownie, pojawia się wówczas, gdy Wroński przypomina historię kariery Makowieckiego, pisząc jak to w restauracji w Białej Podlaskiej Makowiecki pod wpływem alkoholu wyrzucił publicznie za drzwi zastępcę starosty, bo uważał, że przywitał się z nim z niedostatecznym szacunkiem, a w gospodzie w Krasnymstawie o mało nie doszło do strzelaniny na podobnym tle. Faktycznie, Marian Leon Makowiecki był postacią autentyczną, od 1 listopada 1921 r. do 1 lipca 1922 r. pełnił funkcję komendanta powiatowego w Krasnymstawie. Kierował także komendami w Tomaszowie Lubelskim, Włodawie, Białej Podlaskiej i Lublinie, następnie przeniesiony został na Kresy i ostatecznie zwolniony dyscyplinarnie ze służby. W tym miejscu, odbiegając nieco od tematu, ale jednak warto wspomnieć (choćby jako ciekawostkę) inną autentyczną postać pojawiającą się gościnnie na łamach książki, jaką jest warszawski komisarz Leon Przygoda - ten sam, którego Juliusz Machulski rozstawił, „zatrudniając” w „Vabanku”. W rzeczywistości Przygoda, zanim trafił do stołecznego Urzędu Śledczego, pełnił funkcję komendanta powiatowego w województwie lubelskim w Siedlcach i Zamościu.

Proza w wydaniu Wrońskiego nie tylko dostarcza rozrywki, ale propaguje kulturę i historię Lublina i Lubelszczyzny. Wroński, niczym świadek wydarzeń, przedstawia przestrzeń, której już nie ma, odeszła bezpowrotnie, jak np. żydowska dzielnica z częściowo nieistniejącym układem ulic, czy wsie podlubelskie - obecnie dzielnice miasta.

Jak się ma lubelski kryminał? Chyba dobrze, a nowy *Maciejewski* w drodze... Jeśli zaś miłośnicy zagadek z paragrafem w tle nie lubią sanacyjnej rzeczywistości, mogą sięgnąć po współczesny kryminał z akcją w Lublinie pt. *Kształt ciemności* pióra Jacka Kalinowskiego.

Artur Borzęcki



Marcin Wroński,
Komisarz Maciejewski. Kino Venus,
„Red Horse”
Lublin 2008, ss. 378.

Edward Franciszek Cimek

Splot doznań i myśli serdecznych

Wrażliwe serce, bogaty umysł i talent są najcenniejszymi dobrami w codziennym życiu człowieka. Wielu te dobroczynne dary losu wyniosło nad powszedniość, przybrało liryzmem strof, opatrzyło puentami przesłań. W ten sposób przybyło nam poetów. Niektórzy już błyszczą sztuką wierszopisania. Inni jeszcze się zmagają z liryczną materią. Wszak trzeba ją rozjarzyć, rozplomić żywymi słowami. A kogo poetycki żywioł ujął, ten zwykle tkwi w nim trwale. Tej lirycznej mocy niewątpliwie uległ także poeta Marian Cichosz.

Staranna lektura jego poetyckiej książki „Modlitwa o miłość do wrogów” skłania do zamyśleń. Jest w tym tomie plejada wierszy różnorodnych. Każdy jest inny. Każdy inaczej się wdzięczy swoją subtelną wymową. Ale ta inność emanuje prostotą polszczyzny, źródłaną czystością myśli, blaskiem uczuć. Autor swe doznania w twórczych zamysłach przeżywał na nowo. A odbiorcę swoich strof zaprasza do wspólnego zgłębiania prawdy, dobra i piękna.

Wiersze pomieszczone w zbiorze, dzięki ich różnorodności, utworzyły barwną i ciekawą, liryczną mozaikę. W poetyckim świetle, w wiązkach porównań i przenośni, w kwiecistości epitetów, w niezwykłości odkrywczych skojarzeń, dojrzeć można językową staranność pracy ich autora. Bowiem poeta Marian Cichosz to wszystko wydobył ze skarbca swojej wyobraźni, z rozczarowań i zachwytów, z wierności Bogu, rodzinie i Ojczyźnie.

Już na początku tom zaciekawia utworem „Królowe samotności”. Jego strofy ujmują nastrojem:

*Chwile me codzienne - kryształki mądrości,
chwile miłe rozsądne, smutne i wesołe,
ciągle te same, z dnia na dzień,
królowe samotności.*

Ale zbiór zawiera też liryki o stronach sercu bliskich. Dostrzegł tam poeta niezwykle piękno przyrody. Stąd wiersze „Wiosna czyli widok z mojego okna”, „Jabłonie kwitnące jabłonie”, „Burza w lesie”.

Wdzięcznie rozpiął się poeta o urodzie ojczystego kraju. W liryku „Siennickie klimaty” są one „w sianie zatopione”, „w złoto oprawione, kiedy jesień polska”. „Lublin - miasto moje” jest niby „perła zastygła w koronie”. Nostalgia zabarwił „Warszawskie pejzaże”. I pochwalił „Wakacyjny luz na Roztoczu”. A „Ziemia ojczysta” jest „niewinna jak

spojrzenie dziecka, wesoła jak w górze skowronek”. Można w zbiorze przeczytać wiersz o zamku w Oleśnicy, „Śląski Wawel” i „Peregrynację do dobrych chełmskich czasów”, gdzie „wróci wędrowiec do miasta nad Uherką, aby złożyć pocałunek wdzięczności”.

Tytuły utworów odsłaniały głębię przeżyć autora, jego fascynacje życiem, więzią z najbliższymi. Stąd wiersze poświęcone najukochańszej Mamie, kochanej żonie Ewie, Kochanemu Ojcu i synowi Pawłowi.

Uwagę zwracają wiersze inspirowane wędrowkami autora po śródziemnomorskich miastach. Podziwia poeta jordańską „Perłę Natabejską”, miasto wykute w skale „na chwałę i cześć Pana” - legendarną Petrę. A „Pompeje” dlań to „miasto duchów - obudzonych z uśpienia”. Natomiast „Przecudna Caserta”, w której potężny pałac królewski zadziwiający przepychem, „zrodziła piękno tuż pod Neapolem”.

W niektórych utworach pobrzmiewają nuty ironii bądź rozgoryczenia. Wrażliwość na krzewiące się w codzienności zło, sprzeciw wobec niego, wyraził autor w swoich strofach odważnie i znacząco. Doskonałym przykładem tych wierszy są „Naród - suweren”, tudzież „Bajka o królu Popielu i jego dzielnych rycerzach”.

Wśród wierszy umieścił poeta w tomie także garść miniatur, traktując je jako zabawę słowem:

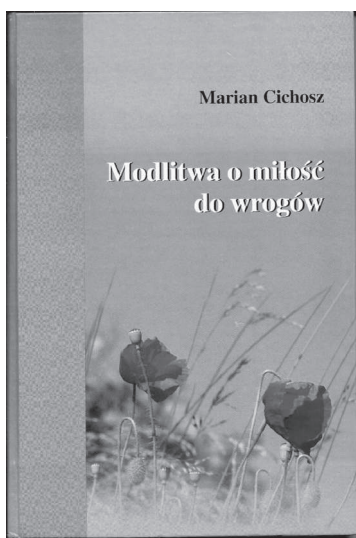
*Bawię się słowem bo ono
ma dziwną moc i siłę wodospadu
co żłobi z anielską cierpliwością
skały twarde jak stal.*

Ujmujące myśli i uczucia wiersze - „Wielkanoc” wraz z lirykiem tytułowym „Modlitwa o miłość do wrogów” wydają się być wiodące jak drogowskazy w człowieczej, ziemskiej pielgrzymce do wieczności.

*Mój Panie Boże daj mi znak,
abym nasycił się Twoją mocą,
bo Ciebie Panie jest mi brak,
o Tobie myślę dniem i nocą.*

Zbiór wierszy Mariana Cichosza został opatrzony wstępem „Pejzaże słowem malowane” autorstwa Mariana Janusza Kawalki. Ponadto sam poeta umieścił w formie postawia ciekawy szkic o sobie, zwieńczając niejako własny tom liryków. A całość w kolorowej, znakomitej oprawie jest udana i zachęcająca.

Edward Franciszek Cimek



Marian Cichosz. *Modlitwa o miłość do wrogów*. Polihymnia. Lublin 2009

Jan Henryk Cichosz

zeptanie wierszem

Anna Nogaj, rocznik 1980, w XVII Konkursie Literackim Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zajęła pierwsze miejsce na najlepszą książkę młodego autora, czego dowodem jest niniejszy tomik wierszy.

Poetka uczuciowo związana z Kielecczyną (miejsce urodzenia) i Lubelszczyzną (studia i praca) obdarza nas wierszami cichej liryki. Wiersze Anny Nogaj nie krzyczą, lecz są raczej pokorne wobec otaczającego nas świata. Poetka nie sili się aby za wszelką cenę być „poetką modną twórczynią”. Dla niej ważniejsza jest prostota języka ponad. Wiersze Nogaj są konkretne, ukazujące zjawiska i człowieka takimi jakimi są. Poetka dobrze wie, nawet gdy modli się wierszem, że wszelkie udziwnienia mogą li tylko niepotrzebnie zamazać poetycki przekaz.

*Pęka dojrzały owoc.
zamykasz oczy aby nie widzieć.*

*zbyt wąska jest droga od wtedy do
teraz, kiedy nie słyszysz szeptu
biblijnych wersetów.*

(*Przedświt*, s. 23)

Lecz myliłby się ten, kto chciałby zaszufladkować ten tomik, albowiem zawarte w nim wiersze są tematycznie nie do ogarnięcia, albowiem mamy tutaj wiersze modlitewne, filozoficzne, pokorne wobec przemijania i miłosne.

*lubię te spaceru między wersami
wtedy odwracam słowa. wysuwuję się
w przestrzeń*

*nowa strona kolejnym zwierciadłem
przechadzającym się po dziedzińcu myśli*

*i te rozmowy bez dna choćby z Herodotem.
już wiem że żadne zdanie nie kończy się
kropką. że to co jest było to co było stanie się*

(*Homo Viator*, s. 9)

Są również wiersze pisane pod wpływem lektur, takie choćby jak *Sonet do M.* lub *Jak w malinowym chruśniaku*.

*Nie hucz za uchem mały baku
Dziś twoje skargi nie pomogą
To nie jest przecież dawny chruśniak
Nie jest tu wcale malinow*

*Tu nie ma także oblubieńca
I jego panny z ogniem w oczach
Więc nie przysiądziesz na kokardzie
Splatanę z wiatrem w dwu warkoczach*

(*Jak w malinowym chruśniaku*, s. 42)

Chyba się nie pomylę, jeśli stwierdzę, że Anna Nogaj ponownie zaowocuje nowymi dobrymi wierszami, które sprawią czytelnikom i jej samej wiele satysfakcji.

Jan Henryk Cichosz



Anna Nogaj. *Szeptem za Tobą*. Wydawnictwo Polihymnia. Lublin 2008. ss. 48

Jadwiga Demczuk

Liryczne księstwko Zbigniewa Dmitrocy

W różnym czasie odkrywamy dla siebie twórców literatury i trzeba w życiu przerzucić wiele tomów, aby trafić na coś wyjątkowego. I trafiła mi się taka lektura. To *Zakaz przekraczania granicy* Zbigniewa Dmitrocy, książka poetycka, wydana niezwykle starannie przez Świat Literacki i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w 2008 roku. W myśl mądrej sugestii Ryszarda Kapuścińskiego, że przez materię książki trzeba brnąć, przedzierać się, mozolić, przystawać i spoglądać dokąd się zaszło, czytałam ją długo i z namysłem. Poeta oprowadza czytelnika po swoim „lirycznym księstwku”, pozwalając na przekroczenie granic wyobraźni, mimo tytułowego zakazu.

Jest to książka, której nie można ominąć, dlatego że wiersze Dmitrocy to fascynujące doświadczenie. Całe szczęście, że poecie wolno wszystko: kpić, krytykować, ironizować, wskazywać na absurd, a nawet... pisać o zwyczajnych sprawach. Piszę więc o czymś, o czym my milczymy, na co zobojeźnieliśmy, i układa słowa tak, że liczy się nie tylko szczerość, ale i ostrość widzenia świata, ponieważ „istota prawdziwej poezji/ nie zna przecież pojęcia/ dyplomacja”.

Co możemy odnaleźć w poezji Dmitrocy? To, co nosimy już w sobie. Możemy się w niej przejrzeć jak w lustrze. Wielu z nas nie lubi swojego odbicia. Upiększamy więc twarz, wkładamy garnitur poprawności i dopiero potem wychodzimy do ludzi. Te wiersze są jakby opowieścią o wielkiej samotności człowieka. Samotny jest ten, który upada i samotny ten, który leżącemu pomaga się podnieść. Samotny jest ten, który „zabełkotał do nas buńczucznie” i ten, do którego ktoś bełkocze. Jakaż dramatyczna jest samotność Fiutki, co szła do domu starców „cicho dyskretnie niemalże na palcach/ nikt się nie zachnął nie westchnął nie chlipnął/ nie było komu robić zbiegowiska”, a ona „mignęła za oknem (...) przy szosie czekał niepozorny fiacik”, który pomieścił „calutki dorobek” jej życia i odjechał w przedostatnią podróż, bo ostatnia, jak łatwo można się domyślać, została milcząco zarezerwowana dla śmierci. Fiutka pozostała tylko w wierszu, zamieniona w słowa i „pewnie nigdy się nie dowie/ że ktoś wzbogacił się na jej wyjeździe/ o wiersz co sobie znalazł pana”.

Ileż historii można opowiedzieć o tym, czego już nie ma. Takie utwory powstają wtedy, kiedy rodzi się potrzeba ostatecznego zrozumienia siebie i swego miejsca. Poeta wraca do przeszłości, do tego, co jest w nim najgłębiej ukryte i ze zdziwieniem stwierdza, że powrót do punktu wyjścia, kiedy to jeszcze układał sobie życie w swojej głowie, okazuje się niemożliwy „mapa mojej

młodości jest coraz mniej wiarygodna (...) Żaden kartograf nie odtworzy ścieżki/ którą szliśmy z mamą na pociąg do Ameryki (...) mam coraz mniej dowodów i coraz mniej świadków”. Przekracza granicę czasu i przestrzeni sprzed lat i uświadamia sobie, że „za późno postanowiłem wrócić pod dęby dzieciństwa”. Czy warto wystawiać pamięć na taką próbę? Z całą pewnością tak, bo właśnie w przeszłości istnieje nasze oparcie. Ale nie wolno zostać jej niewolnikiem. Należy z niej czerpać, idąc naprzód.

Poeta poznawał życie od najpodlejszej strony, dojrzywał, wybierał, ale nie dał się uwieść wielkiemu światu ten „potomek śródlądowych koczowników” i jak mówi w „Pokoiku z zimnym piecem”, po wielu poszukiwaniach: „Bezwiednie się nawróciłem na pejzaż z punktu wyjścia/ gdzie niepokazne kopuły łatwopalnych cerkiewek/ Gdzie naiwne figurki w koślawych kapliczkach/ nie umniejszają wiary uboższych budowniczych”.

Między artystą a resztą, rozpościera się przepaść, ale to przywilej twórcy. Po pierwsze - intelektualiści są ciężcy we współżyciu, a po drugie - miejsce egzystencji nie ma większego znaczenia, bo „prawdziwi poeci wypchnięci, poupychani gdzieś po dziurach, zakamarkach, piszą swoje na boku”. Możemy tylko snuć przypuszczenia czy powstałe teksty to genialna wyobraźnia, czy groteskowa rzeczywistość. Trudno bowiem odnaleźć się w świecie, w którym „coraz mniej miejsca w człowieku jest na Boga/ uczeni ogołacają drzewo niewiadomego (...) gdzie absolutem jest Pan Bóg Determinizm/ a wolność esencją najczystszej postaci zła/ na które nie ma miejsca w świecie bez tajemnic”.

Moje przemyślenia, to zaledwie niewielka część *Zakazu przekraczania granicy*, ale taka jest ta twórczość. Można o niej pisać i pisać, a będzie to tylko początek drogi. Poeta, oddając wiersze w ręce czytelników, nie ma już wpływu na ich losy. Z pewnością ktoś inny odkryje nowe pokłady w poezji Dmitrocy. W tym miejscu przytoczę już tylko takie słowa, że mnogość sensów, możliwych odczytań i interpretacji sprawia, że do tomiku chce się wracać.

Do kogo więc powinna trafić ta poezja? Do każdego, kto czuje i widzi więcej niż własny pępek, do takiego odbiorcy, który nie boi się przekraczania granic poetyckiej wyobraźni: „Nie święci przecież wiersze piszą/ nie dla aniołów i świętych”.

Poeta tworząc, a my czytając, przemieniamy się i „już nie jesteśmy tacy jacy byliśmy”. Choćby z tego prostego powodu warto sięgnąć po wiersze Zbigniewa Dmitrocy, abyśmy choć na chwilę stali się tacy, jacy chcielibyśmy być.

Jadwiga Demczuk

Zbigniew Dmitrocy, *Zakaz przekraczania granicy*, zbiór wierszy, SPP&Świat Literacki, Lublin(?) 2008, ss. 64.

Mariusz Kargul

„Taksim” suto zakrapiany „Winem truskawkowym”

Stasiuk na ziemi Bojarczuka

Na to wydarzenie Krasnystaw sporo czekał, ale w końcu się doczekał. Projekcję filmu „Wino truskawkowe”, opartego na motywach książki „Opowieści galicyjskie” Andrzeja Stasiuka przekładano z miesiąca na miesiąc. Oprócz pisarza, miał pojawić się także reżyser. Jako debiutant wystąpił w tej roli Dariusz Jabłoński. Niemal w ostatniej chwili okazało się, że nie może przybyć. W ramach swoistej rekompensaty, miłośnicy ciekawego kina i intrygującej lektury otrzymali nie lada gratkę. Oto trzy dni po oficjalnej premierze najnowszej powieści A. Stasiuka - „Taksim”, jej autor zagościł 1 października w progach Krasnostawskiego Domu Kultury. Trudno dociekać czy historycy literatury odnotują kiedyś, że Krasnystaw był, zaraz po Gorlicach, drugim miejscem, w którym promowano tę, już głośną książkę.

Pisarz dotarł na miejsce już w trakcie pokazu filmu, który spotkał się z różnym przyjęciem na widowni. Ogólna konkluzja wydaje się być jedna: proza Stasiuka jest niemal nieprzekładalna na język wielkiego ekranu. Skądinąd uznanie dla reżysera, że zmierzył się z tak wymagającym dziełem, jakim są „Opowieści galicyjskie”. To już klasyka literatury.

Po filmie odbyło się spotkanie z autorem „Taksimu”. Prowadzenie całego wieczoru objął w swoje ręce niżej podpisany. Stasiuk, mimo zmęczenia rysującego się na jego twarzy, był jak zwykle w świetnej formie. Przyjechał do Krasnostawu, bo po prostu chciał. „Jak bym nie chciał, to byś mnie nawet końmi z domu nie wyciągnął” - stwierdził na początku rozmowy. A było o czym rozmawiać. A to o pracy nad scenariuszem do filmu, atmosferze Beskidu Niskiego, podróżach bliższych i dalszych, oraz - rzecz jasna - o samym „Taksimie”.

Ostatnim punktem wieczoru była degustacja różnych gatunków win oraz ciasta truskawkowego przygotowana przez zamojski Skarbiec Wina. Pisarza spotkała tutaj pewna niespodzianka. Chcąc uczcić jego niedawne urodziny, organizatorzy, przy akordeonowym akompaniamencie niezrównanego w takich momentach Leszka Pliszki, wręczyli mu dmuchanego dinozaura, z odpowiednim uzasadnieniem: „W hołdzie wielkiemu polskiemu pisarzowi Andrzejowi Stasiukowi, społeczeństwo ziemi krasnostawskiej - miejsca, po którym stąpają tylko prawdziwi giganci literatury!”. Jubilat przyjął prezent z godnością i uśmiechem, a na drugi dzień ruszył dalej w trasę, bo taki to już jest, jak sam mawia, los współczesnego pisarza, że musi obwozić swą doczesność z miejsca na miejsce, dla czytelników.

Mariusz Kargul

Dariusz Jabłoński (ur. 1961) - reżyser filmowy, scenarzysta i producent. Ukończył łódzką szkołę filmową, był asystentem Krzysztofa Kieślowskiego. Kieruje studiem Apple Film Production. Od 1994 roku jest wiceprezesem, a od 1999 - prezesem Stowarzyszenia Niezależnych Producentów Filmowych i Telewizyjnych. Wyprodukował kilkadziesiąt filmów fabularnych, dokumentalnych, seriali i spektakli teatru telewizji. Filmy powstały we współpracy z polskimi stacjami telewizyjnymi: TVP, Canal+ Polska, HBO, ale także z udziałem zagranicznych stacji telewizyjnych: ARTE, CANAL+, WDR, MDR, SVT, CTV, oraz w koprodukcji z niezależnymi producentami z Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec, Francji, Szwecji, Izraela, Wielkiej Brytanii. Jest ekspertem w dziedzinie polityki audiowizualnej; w tym charakterze występował na wielu konferencjach zagranicznych i bierze udział w konsultacjach Komisji Europejskiej. Współzałożyciel organizacji polskich producentów, w tym Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych, której był pierwszym prezesem w latach 2000-2004. Członek Polskiej Akademii Filmowej i Europejskiej Akademii Filmowej.

Andrzej Stasiuk (ur. 1960) - pisarz, poeta, publicysta, eseista, dramaturg. Wydalony kolejno: z liceum ogólnokształcącego, technikum, zasadniczej szkoły zawodowej. We wczesnych latach 80. zaangażowany w działalność Ruchu Wolność i Pokój. Zdezerterował z wojska, za co półtora roku spędził w więzieniu. W 1987 roku wyjechał z Warszawy i zamieszkał w Wołowcu, w Beskidzie Niskim. Jest laureatem nagrody Fundacji Kultury (1994), Fundacji im. Kościelskich (1995), im. S. B. Lindego (2002), kilkakrotnie nominowany do literackiej nagrody Nike. W 2005 roku otrzymał Nike za *Jadąc do Babadag*, a w 2007 - nagrodę im. Arkadego Fiedlera - Bursztynowy Motyl - za *Fado*. Autor licznych felietonów prasowych („Tygodnik Powszechny”, „Gazeta Wyborcza”, „Tytuł”, „OZON”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i inne). Jego książki zostały przetłumaczone na wiele języków, m.in. na angielski, fiński, francuski, holenderski, niemiecki, rosyjski, norweski, ukraiński, węgierski, włoski i rumuński. Wraz z żoną Moniką Sznajderman prowadzi Wydawnictwo Czarne, specjalizujące się w literaturze środkowoeuropejskiej.



Leszek Pliszka i Andrzej Stasiuk, pośrodku budyń Mariusza Kargula. Foto Stanisław Kliszcz.

Artur Borzęcki

Dziennik pilota Młynarczyka w wersji wydawniczej

„Marszem Lotników” czyli oficjalnym hymnem polskich lotników, Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie rozpoczęła spotkanie, (4 września) z płk. rez. Witem Stanisławem Młynarczykiem, autorem książki pt. *Wirujące skrzydła*.

Pułkownik Młynarczyk, absolwent Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Na przełomie lat 70. i 80. był instruktorem na śmigłowcach SM-1 i Mi-2 i szkolił przyszłych pilotów (w tym także z zagranicy), służył w 56. Pułku Śmigłowców Bojowych w Inowrocławiu. Uczestniczył w szkoleniu kadr lotniczych w Kirgizji, a potem objął dowództwo nowo powstałej eskadry szturmowej Mi-24W. Po ośmiu latach pełnienia funkcji zastępcy dowódcy pułku przeniesiony został do dowództwa Pomorskiego Okręgu Wojskowego na stanowisko starszego inspektora ds. bezpieczeństwa lotów. Po likwidacji w/w stanowiska trafił do Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Lublinie, skąd w 2002 r. został przeniesiony do rezerwy. Po zakończeniu zawodowej przygody z wojskiem, pomimo tego że wcześniej związany ze Świdnikiem, zamieszkał w Krasnymstawie na os. Rońsko.

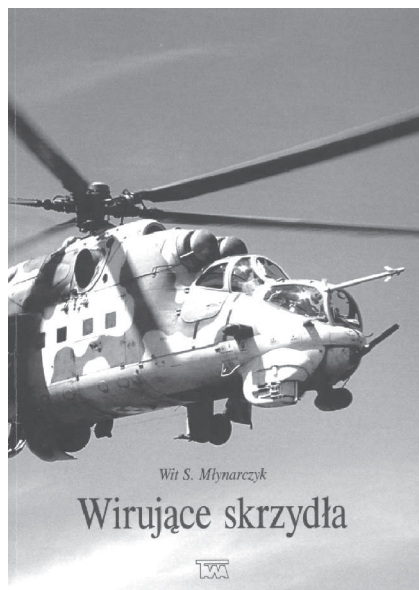


Podczas 30-letniej służby zaliczył ponad 2700 godzin lotów i ok. 1500 na stanowisku dowodzenia jako kierownik lotów. W tym czasie „zapisał” trzy osobiste dzienniki lotów - księgi ewidencji czasu, który lotnik spędza w powietrzu. Wspomnienia *Wirujące skrzydła* są poniekąd przetłumaczeniem tych trzech dzienników lotów z języka wojskowego na literacki i uzupełnieniem ich o inne historie z zawodowego życia pułkownika. Trzeba przyznać, że autor pisząc książkę, dobrze wczuł się w rolę adresata czytelnika - laika na gruncie wojskowości lotniczej, i użył języka łatwego w odbiorze.

Spotkanie prowadził Saturnin Naliwajko, prywatnie kolega pułkownika Młynarczyka. Naliwajko z właściwym sobie humorem „przeżytywał” autora z tematów lotniczych, a także bawił zebranych specjalnie na tę okazję wyszukаныmi „podniebnymi dowcipami”. Goście, w tym także koledzy Młynarczyka z jednostki w Inowrocławiu i przedstawiciele Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, zobaczyli również prezentację multimedialną obrazującą cały okres służby pułkownika oraz wystawkę z odznaczeniami, dyplomami i atrybutami lotnika typu kask czy hełmofon.

Miłym zaskoczeniem dla bohatera spotkania, ale również i zebranych gości był prezent w postaci modelu helikoptera, który wręczył pułkownikowi Saturnin Naliwajko.

Artur Borzęcki

**KSIAŻKI NADESŁANE**

- Ewa Klajman-Gomolińska, *Rzeź komunistów*, Instytut Wydawniczy Świadectwo, Bydgoszcz 2009, ss. 50;
- Franciszek Żurek, *Powiat krasnostawski w walce o wolność*, Norbertinum, Lublin 2009, ss. 268.

Tragedia na AIR SHOW 2009 w Radomiu



Po sobotnim ulewnym deszczu, niedziela zapowiadała się pięknie. Pogodny ranek zwiastował liczne atrakcje na odbywających się w Radomiu XI Międzynarodowych Pokazach Lotniczych AIR SHOW 2009. Dojazd na radomskie lotnisko odbywał się w żółtym tempie. Znalezienie miejsca parkingowego granoczyło z cudem, ale udało się. Dojście do kas to gigantyczna procesja ludzi, chcących obejrzeć popisy najlepszych pilotów świata. Jeszcze przed naszym wejściem na lotnisko, o godz. 10.30 rozpoczyna swój popis grupa akrobatyczna Zespołu Pilotażowego Królewskich Sił Powietrznych RED ARROWS na samolotach Hawk. Dla nas, laików, to co wyczyniają piloci angielscy, jest niewyobrażalne i wręcz niemożliwe do wykonania. A jednak, kilkadziesiąt tysięcy ludzi zgromadzonych na płycie lotniska, z zapartym tchem ogląda wyczyny „władców przestworzy”. Samoloty puszcza kolorowe dymy, zwiększa to atrakcyjność widowiska. Pokaz kończy wielkie serce przebite strzałą.

W przerwach między popisami następnych grup oglądamy Wystawę Statyczną sprzętu latającego: od najmniejszego śmigłowca, poprzez myśliwce bojowe: słynne F-16, Mirage, Su-27,



samoloty do akrobacji powietrznej po amerykańskiego giganta, transportowca C-17 Globemaster III. Jest na co popatrzeć.

Na niebie pojawia się 16 skoczków spadochronowych z flagami państw - uczestników pokazów.

Precyzyjnie lądują przed trybuną honorową.



Dochodzi godzina 13, komentator pokazów, red. Tadeusz Sznuć zapowiada pokaz akrobacji naddźwiękowego myśliwca Su-27 należącego do Białoruskich Sił Powietrznych. Ryk silników i już widzimy kolosa w powietrzu. Wykonuje kilka ewolucji nad lotniskiem i oddala się w kierunku miejscowości Małęczyn Stary, gdzie na bardzo niskiej wysokości wykonuje nawrót. Na chwilę ginie za drzewami... W chwilę po tym pojawia się czarny dym... to już koniec... Dwóch pilotów ponosi śmierć na miejscu...

Zginęli śmiercią lotnika!

Pokazy zostają przerwane...

Saturnin Naliwajko



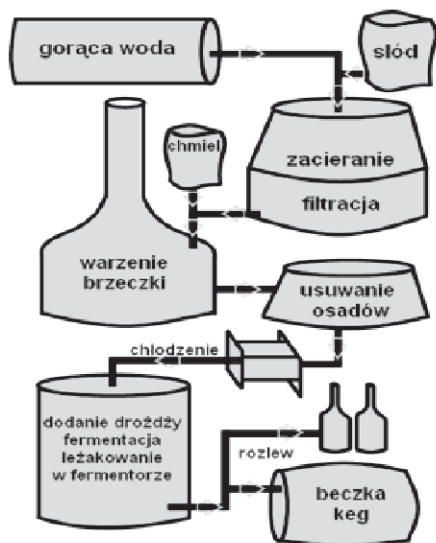
Nasz wysłannik Saturnin Naliwajko, zainspirowany klimatem książki *Wirujące skrzydła* Wita Młynarczyka podążył za zdobywcami przestworzy, aż do Radomia, z zamiarem przygotowania reportażu o ryzykownej sztuce lotniczej ekwilibrystyki. Na przeszkodzie stanęła jednak tragedia.

Andrzej David Misiura

Dobre piwo, stara receptura

Archeolodzy twierdzą, że najstarsze kadzie, w których warzono piwo pochodzą sprzed 4 tysięcy lat p.n.e. Ale od kiedy ludzkość zaczęła smakować ten trunek, zapewne prędko się nie dowiemy. Można jedynie przypuszczać, że pojawiło się po wypieczeniu pierwszego chleba (10 tys. lat p.n.e.), ponieważ do wytworzenia prymitywnego piwa wystarczy właśnie chleb i woda - dwa składniki, dzięki którym zachodzi fermentacja alkoholowa.

Piwo powszechnie produkowane jest ze słodu jęczmienia, pszenicy, żyta, ryżu, a nawet kukurydzy z dodatkiem chmielu, jednakże najważniejszym czynnikiem wpływającym na jego jakość są drożdże, których rozróżniamy ponad 150 szczepów. Mimo skrzętnie wypracowywanych i zapisywanych receptur, powtórzenie smaku i innych walorów w kolejnych nastawach jest mało możliwe - każdy jest inny.



Uproszczony schemat produkcji piwa.

Do podstawowych cech tego złocistego napoju zaliczamy m.in. nasycenie ekstraktem, charakteryzujące się specyficznym szczypaniem w język. A co ze smakiem? To niewiarygodne, ale mało kto sobie uświadamia, że smaki różnią się tylko cztery: słodki, gorzki, kwaśny i słony... chociaż w 2001 roku naukowcy wyodrębnili piątą o nazwie umami. Warto przypomnieć, że za rozpoznanie zawartości słodu odpowiedzialny jest początek języka, a jego koniec ocenia na przykład zawartość goryczki. Fachową oceną piwa zajmują się kiperzy, badając jego wygląd, zapach i smak.

Ich zadaniem jest określenie jakości i sklasyfikowanie produktu, co pomocne jest przede wszystkim w doskonaleniu receptur. Chociaż degustacja raczej nie polega na spożywaniu, to kiper niczym Gambrinus, z racji ciągłego kontaktu z alkoholem, musi mieć jednak, potocznie mówiąc, *mocną głowę*, aczkolwiek wcale nie z tego powodu jego zawód pretenduje do miana sztuki.



Legendarny Gambrinus, król piwowarów i piwoszy

Od lat, w trakcie Chmielaków Krasnostawskich odbywa się największy w Polsce Konsumentki Konkurs Piw. Tego roku, 22 sierpnia, oceniono 115 gatunków w 11 kategoriach. Spośród złotych medalistów po raz pierwszy w historii wybrano to wyjątkowe i przyznano mu Grand Prix Chmielaków - Królewskie Karpie. Szczęśliwcom okazało się piwo Konstancin Bardzo Mocny z Browaru Konstancin Sp. z o.o. Jego intensywne warzenie i wysoka zawartość ekstraktu nadają mu wyjątkowej wyrazistości. Niewątpliwie jakość zawdzięcza tradycyjnej metodzie produkcji polegającej na warzeniu w osobnych kadziach, w przeciwieństwie do browarów stosujących masową produkcję warki o wysokim ekstrakcie, która w chwili rozlewania do butelek rozcieńczana jest wodą z dwutlenkiem węgla.



Wybory Grand Prix. Foto. D. Kozyski

Ostatecznego wyboru dokonali dziennikarze akredytowani na czas Chmielaków Krasnostawskich 2009. Wśród nich byłem i ja. Przed przystąpieniem do oceny miałem poważne wątpliwości, czy zdołam rozróżnić jedenaście gatunków piwa, ale okazało się, że przy odrobinie dobrych chęci jest to możliwe. Moje typowanie potwierdzili inni.

Andrzej David Misiura

Wyniki Konsumenckiego Konkursu Piv Chmielaki 2009

Dnia 22 sierpnia 2009 r. odbył się największy w Polsce Konsumencki Konkurs Piv Chmielaki Krasnostawskie 2009, w którym oceniano **115 piv w 11 kategoriach**. Oto medaliści:

Kategoria I - Piwo jasne pełne o zawartości ekstraktu w brzeczce 10,1 - 11,0 °Blg
Złoty medal - Strzelec Jasne Pełne - Royal Unibrew Polska Sp. z o.o.

Kategoria II - Piwo jasne pełne o zawartości ekstraktu w brzeczce 11,1 - 12,0 °Blg
Złoty medal - Goolman Gold - Perła Browary Lubelskie S.A.

Kategoria III - Piwo jasne pełne o zawartości ekstraktu w brzeczce 12,1 - 13,0 °Blg
Złoty medal - Żywiec - Grupa Żywiec S.A.

Kategoria IV - Piwo jasne pełne mocne o zawartości ekstraktu w brzeczce 13,1 - 14,0 °Blg
Złoty medal - Strzelec Mocne - Royal Unibrew Polska Sp. z o.o.

Kategoria V - Piwo jasne pełne mocne o zawartości ekstraktu w brzeczce pow. 14,1 °Blg
Złoty medal - Konstancin Bardzo Mocny - Browar Konstancin Sp. z o.o.

Kategoria VI - Piwo ciemne o zawartości ekstraktu w brzeczce 11,1 - 12,0 °Blg
Złoty medal - Bierhalle Ciemne - Browar Bierhalle Warszawa

Kategoria VII - Piwo ciemne o zawartości ekstraktu w brzeczce 12,1 - 13,0 °Blg
Złoty medal - Skalak 13 tm - Pivovar Rohozec

Kategoria VIII - Piwo ciemne mocne o zawartości ekstraktu w brzeczce 13,1 - 15,1 °Blg
Złoty medal - Staropolskie Mocne Ciemne Porter - Browar Staropolski Sp. z o.o.

Kategoria IX - Piwo ciemne mocne o zawartości ekstraktu w brzeczce pow. 18,1 °Blg
Złoty medal - Żywiec Porter - Grupa Żywiec S.A.

Kategoria X - Napoje piwne - piwa smakowe
Złoty medal - Desperados - Grupa Żywiec S.A.

Kategoria XI - Piwa pszeniczne
Złoty medal - Bierhalle Weizen II - Browar Bierhalle Warszawa

Krasnostawskie Spotkania z Literaturą Młodzieżową

Był jest bezładną i dziewiczą substancją, której każdy może nadać swoje widzenie. Może wydobyć z niej piękno i niespotykane kształty. Może umieścić w nich duszę i wzbudzić myślenie. Może nazwać wszystko zadziwiającym słowem i podpisać własnym imieniem. Czy ten, kto podjął taką zabawę może czuć się artystą, a może małym bogiem? Bogiem słowa?

Pierwszy i drugi dzień października upłynęły krasnostawskim gimnazjalistom z Zespołu Szkół nr 1 na próbie zrozumienia na czym polega tworzenie literatury. Co prawda, nie ma recepty na dobry wiersz, ale zawsze można początkującym adeptom pisarstwa podsunąć pomysł jak korzystać ze, zdawałoby się prostego narzędzia, jakim jest język, i zdać sobie sprawę z jego możliwości.

Warsztaty literackie pod hasłem Krasnostawskie Spotkania z Literaturą Młodzieżową zainicjowane po raz kolejny przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie prowadził znany w środowisku poeta, redaktor naczelny Czasopisma Artystycznego „Nestor” Andrzej David Misiura. W trakcie dwudniowego spotkania uczniowie mogli przekonać się m.in., że rymy nie są najważniejszym elementem wiersza, a te pospolite mogą mu nawet zaszkodzić. Usilne skupianie się na nich może doprowadzić autora nawet do zagubienia się w treści. Najważniejszą więc rzeczą dla poety jest budowanie ciekawego i pięknego obrazu, w którym powinno znaleźć się jeszcze przesłanie. Obraz ten ma być fotografią wnętrza i koniecznie powinien oddawać świat piszącego, jego przemyślenia i refleksje. Powinien być napisany w sposób prosty, ale wcale nie prostymi słowami. Poeta powinien być poszukiwaczem oryginalnego języka, a z niego - niepowtarzalnej metafory, i koniecznie ma widzieć więcej niż inni, wówczas jego wiersze będą czytane zawsze i na różne sposoby.

Elżbieta Patyk

Henryk Radej

sły i osłomuły

Mój nieżyjący już prawie od ośmiu lat ojciec otrzymał od prezesa Głównego Urzędu Statystycznego pismo na jedną stronę, wydrukowane komputerowym maczkiem, z którego coś ma wynikać, oraz trzy kartki ankiet aktualizacyjnych, z których... nic nie wynika. Żeby zrozumieć o co chodzi prezesowi GUS-u, trzeba mieć zaliczoną przynajmniej maturę - najlepiej w liceum o profilu prawniczym albo też podyplomowe zarządzanie gospodarką. Prezes zapomniał, że chłopci na wsi mają zazwyczaj wykształcenie podstawowe, a co młodsi - trochę zawodowe z rolniczym. Zaczęło się więc bieganie od sąsiada do sąsiada, (bo taki sam list otrzymali wszyscy), potem do sołtysa z pytaniem, o co w tych papierach chodzi? A sołtys też po podstawówce...

Prezes pisze, że „Nowa klasyfikacja (zwana dalej PKD 2007) zawiera zmiany, które wprowadzone zostały w międzynarodowej standardowej klasyfikacji rodzajów działalności ISIC Rev. 4 oraz statystycznej klasyfikacji rodzajów działalności gospodarczych w UE NACE Rev. 2”. Dodatkowo prezes zwraca chłopom uwagę na udostępniony na stronie internetowej GUS system eREGON „umożliwiający osobom posiadającym bezpieczny podpis elektroniczny (...), składanie wniosków RG-1 lub RG-2 o wpis, zmianę cech objętych wpisem lub skreślenie podmiotu z rejestru „REGON”. Zaś „wychodząc naprzeciw potrzebom zgłaszanym przez respondentów, od 1 stycznia 2009 roku GUS wprowadził jako obowiązującą elektroniczną formę przekazywania danych statystycznych”.

Dzisiejsi mieszkańcy wsi na szczęście podpisać się umieją, ale na papierze. Zapewne GUS nie dysponuje danymi, ilu chłopów posiada aktualnie zweryfikowany podpis elektroniczny? Urzędnicy sądzą, że u każdego w oborze szumi Internet, a chłop nie ma nic innego do roboty, tylko rozsyła maile i dokumenty opatrzone swoim szyfrem. Nic bardziej mylnego!

Reszta jest jeszcze bardziej surrealistyczna, bo oto w pozycji pod numerem 46 widnieje gotowy wpis, że gospodarstwo rolne jest „podmiotem niepodlegającym wpisom do rejestru lub ewidencji”. Więc po co to całe zamieszanie korespondencyjne? Zaś w ostatniej rubryce uzupełniającej: „w bloku PKD 2007 należy zakreślić kod działalności przeważającej” - w odróżnieniu od PKD 2004, który zawierał „chów i hodowlę owiec, kóz, koni, osłów, mułów i osłomułów”, w kodzie 2007 zostały tylko konie, koniowate i kozy, natomiast wyginęły osły, muły i osłomuły.

Mam pytanie do prezesa GUS-u: kto tu jest koniem, kto osłem, kto zaś osłomułem?

Henryk Radej

Alicja Wiech

co chodzi?

Jeśli mam się wypowiedzieć autorytatywnie w kwestii problematyki w przedmiotowej sprawie, nie mogę opierać się wyłącznie na mniej lub bardziej wyważonych przesłankach natury ideologiczno-światopoglądowej. W istocie nieodpowiedzialne jest jeszcze rzeczowe poznanie charakterystycznych problemów w zakresie niezbędnym dla praktycznej realizacji hasła: „nic o nas bez nas, bo jak nie, to już po nas”. Biorąc pod uwagę pragmatyczny aspekt tego zawilego zagadnienia, trzeba być przygotowanym na każdą możliwą ewentualność. Bo jak by co, no to co z tego? A jak by nic - no to nic z tego! Proces może więc ewoluować w nieprzewidywalnym kierunku. Nagle możemy zostać postawieni wobec konieczności alternatywnego wyboru między dobrem i złem. Albo złem i mniejszym złem. Rządziej - między dobrem a dobrocią. Żeby tylko nie przedobrzyć. Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że możliwości mamy ograniczone specyfiką obiektywnej struktury omawianego zagadnienia. Tu nie można się ograniczać do subiektywizmu i abstrakcjonizmu stosowanych w postmodernistycznym aspekcie. Rozpatrując problem dogłębnie i szczegółowo, niezależnie od kwestii empirycznych, absolutnie nie wchodzi w rachubę jego relatywistyczna ocena moralno-etyczna. Rzecz jest w tym, że to nie ma nic do rzeczy. Poddając wnikliwej analizie przejawy ekstremalnego egocentryzmu i dokonując realistycznej syntezy przeanalizowanych przypadków, apriorycznie dochodzi się do zaskakujących konkluzji. No bo jeżeli intuicyjnie - ktoś komuś coś, albo z innej, diametralnie odmiennej perspektywy - nikt nikomu nic, to wnioskiem a posteriori jest - to po co to komu i na co? A to już niebezpieczna myśl. Może być przyczyną destrukcji i demontażu całego misternie zmontowanego przedsięwzięcia. Reakcja postronnych do tej pory osób może być z początku zbieżna z naszymi intencjami, aby niefortunnym zbiegiem okoliczności przyjąć jak najbardziej negatywne reperkusje. Jedni krzykną zaraz chórem: „a dlaczego by nie?” Tych ostro należałoby poddać bezwzględemu ostracyzmowi. Pozostali będą przekonywać: „a co to komu szkodzi?” Taka postawa akurat nam nic nie szkodzi. No, ale nie zabraknie na pewno głosów: „jak oni mogą, to my też!”. A to już zakrawa na niczym nieograniczony populizm i swoistą demagogię. To już bezpośrednio prowadzi do anarchii i nieuzasadnionego w żadnym stopniu bezprawia. Odzwękem może być jawny bunt, co w skrajnym przypadku może przerodzić się w nieskontrolowaną rewolucję. Trzeba by ją zastąpić kontro-

lowaną kontrrewolucją. W takich okolicznościach jedyną słuszną reakcją jest stanowczy odpór i uderzenie przeciwnika zdecydowanym przeciwuderzeniem w najbardziej czuły punkt. I daj Boże, żeby tak się stało, bo jak nie - to nie daj Boże! W istocie chodzi o eskalację działań prореformatorskich i jak najbardziej antyradykalistycznych. I nie ma co tutaj liczyć na kunktatorstwo którejkolwiek ze stron. Potrzebne są działania szybkie i zdecydowane, obliczone na trwałe, a nie tylko doraźny efekt. I taki powinien dominować imperatyw postępowania w tym przypadku. Esencją możliwości gruntownej walidacji pod względem praktycznym jest znana wszem i wobec koincydencja przypadków skrajnie zbieżnych, zastosowana tutaj w sposób deterministyczny. Realistycznie jednak patrząc, przejawy analogicznych poczynań potęgują potencjalne działania altruistyczne. Z natury rzeczy bowiem, przejawy radykalnego partykularyzmu stanowią w istocie egoistyczne symptomy charakterystyczne dla swoistych postaci absolutnie zdegenerowanych jednostek. Można by to zmienić, ale to i tak niczego nie zmieni. A co się tyczy skrupulatnie przemilczanych pejoratywnych skutków ubocznych, naszych z gruntu pozytywnych przedsięwzięć, z punktu widzenia niezależnego od punktu siedzenia, kwintesencja omawianego zagadnienia nie koliduje z wysublimowaną wiedzą w tym zakresie. W optymistycznej wersji dylemat wydaje się opanowany, a sytuacja rozwiązana pozytywnie i nieodwracalnie. Choć oczywiście dla drugiej strony będzie to proces negatywny z nadzieją na odwracalność. Lecz jeśli o mnie chodzi, to samokrytycznie muszę stwierdzić, że... nie wiem o co chodzi, a to już przechodzi ludzkie pojęcie. Trzeba zrozumieć, że jednak nie wszystko można zrozumieć.

Alicja Wiech

II edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Józefa Czechowicza

Tradycyjnie w czasie Lubelskiej Jesieni Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Lublinie, odbędzie się uroczyste wręczenie Ogólnopolskiej Nagrody Poetyckiej imienia Józefa Czechowicza.

O Laur mogą ubiegać się poeci, którzy w latach 2008-2009 opublikowali tomy poetyckie. Zgłaszane książki powinny trafić pod adres: Muzeum Literackie im. J. Czechowicza, ul. Złota 3, 20-112 Lublin, z dopiskiem „Konkurs Poetycki” do 30 października 2009 roku. Jury przyzna Nagrodę Główną: Laur Józefa Czechowicza oraz czek na kwotę 15 000 zł netto. Nagrodzona książka zostanie zaprezentowana na uroczystym wieczorze autorskim Laureata.

Bernard Nowak
Prezes Oddziału SPP w Lublinie

FAJSŁAWICE



ŻÓŁKIEWKA



POWIAT KRASNYSTAW





Żuk-Słabek

Galeria rzeźby



Agnieszka



Galeria rzeźby





Agnieszka Żuk-Słabek

Data urodzenia: 02.01.1977 w Siedliszczu.

Studia: UMCS w Lublinie, Instytut Wychowania Artystycznego,
dyplom z rzeźby w pracowni profesora Sławomira Mieleszki.

Galeria jednej rzeźby